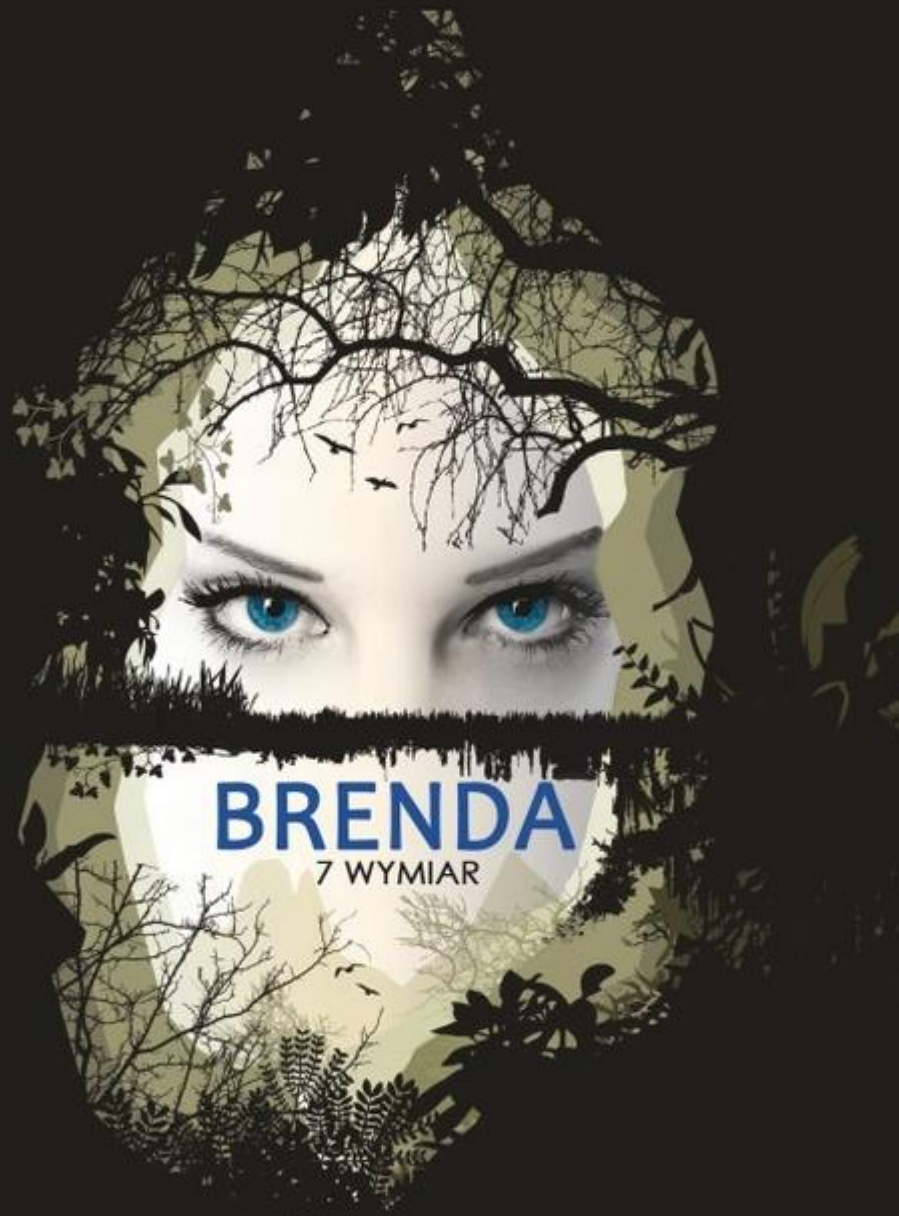


VIKTORIA ARMSTRONG



BRENDA
7 WYMIAR

TOM II

Strona redakcyjna

Projekt okładki

Kinga Konopko

Redakcja i korekta

Katarzyna Wróbel

Skład i łamanie

BC Projekt

© Copyright by Viktoria Armstrong

ISBN 978-83-938126-3-9

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione bez pisemnej zgody autora.

Druk i oprawa

Drukarnia Cyfrowa

OSDW Azymut sp. z o.o.

ul. Senatorska 31

93-192 Łódź



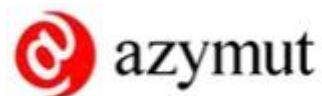
Napisałeś książkę i chcesz ją wydać? Zapraszamy do serwisu Rozpisani.pl. Znajdziesz tu szeroki zakres usług wydawniczych, dzięki którym Twoja książka trafi do księgarń. Pomożemy Ci dotrzeć do czytelników na całym świecie!

Kontakt

www.rozpisani.pl

info@rozpisani.pl

Publikację elektroniczną przygotował:



Podziękowania

Drugi tom był dla mnie wyzwaniem. Przede wszystkim do serca wzięłam sobie uwagi recenzentów po pierwszej książce. I tak chciałabym podziękować za ich trafne uwagi, które przyczyniły się między innymi do innego zakończenia w porównaniu z pierwszym tomem. Historia *7 wymiarów* będzie miała oczywiście ciąg dalszy. Podziękowania należą się też mojej rodzinie, dodającej mi skrzydeł, i serwisowi Rozpisani.pl. Dziękuję ponownie moim córkom, które zawsze — bez względu na mój nastrój — wspierały mnie. Ogromne podziękowania składam Kindze Konopko, która zamiast okładek tworzy dzieła sztuki. Dziękuję również aktorkom sztuki *Klimakterium* za nagranie filmów promocyjnych *Ametysty*.

I

Furia przetoczyła się przez porcelanowobiałą komnatę. Wokoło zadrżały magiczne witraże. Stojący po prawej stronie tronu kocioł zaczął wydzielać zapachy świadczące o zakończonym procesie tworzenia eliksiru. Dławiące opary współgrały z nastrojem królowej, która siedziała wyprostowana jak struna na swoim kanciastym tronie. Jej oczy błyszczały szkarłatem. Nie było widać białek, lecz jedynie soczystą czerwień, czyniącą upiorne wrażenie. Dłonie zacisnęła na poręczach tronu z wypolerowanej kości smoka, a jej palce zzieleniały z napięcia. Zwężone usta królowej i mocno zaciśnięte zęby spowodowały, że jej twarz przybrała mocno niepokojący wygląd.

— Jesteś nic nieznaczącym robakiem! — wrzasnęła królowa.

— Tak, pani — wymamrotał.

— Jesteś nic niewartym darmozjadem! Dałam ci siennik, cel życia, jedzenie, a nawet doświadczyłeś zaszczytu służenia mi. A ty?!

Dotknęła palcami naszyjnika z miedzi i srebra w kształcie trzech splecionych w walce smoków. W momencie gdy jej granatowe paznokcie musnęły wisiołek, oczy smoków błysnęły jasnym światłem. Lustrowała klęczącego mężczyznę przeszywającym wzrokiem. Zaczęła wypowiadać pod nosem zaklęcia, a brzęczenie przybierającej na sile formuły roznosiło się po sali. Dźwięk był natarczywy, jakby do pomieszczenia wleciał rój szerszeni. Mamrotała pod nosem swoje inkantacje, powodując u mężczyzny utratę tchu. Sługa złapał się za szyję, a jego źrenice się rozszerzyły. Próbował zaczerpnąć powietrza, ale tylko otwierał usta jak ryba wyciągnięta ze stawu. Gardłowym, lekko słyszalnym głosem wy dobył z siebie:

— Błagam...

— Ty mnie błagasz? Jakie to urocze. — Uśmiechnęła się do niego, obnażając zęby, wyglądające, jakby właśnie zostały wybielone i wyrównane na podobieństwo „gwiazd magów z podziemia”. — Przecież mnie nienawidzisz. Próbowalesz zbuntować moich służących i niewolników. Niesamowite, jaki jesteś słaby. Nigdy nie zrównasz się z kobietą. Przypominam ci, że ja jestem nawet więcej niż kobietą, jestem jedyną prawowitą władczynią tego świata. Królową królowych. Mam moc, o jakiej nawet nie śniłeś. To przez twój podgatunek setki lat temu mój lud musiał zejść do podziemia. Tacy jak ty czy Areon sprowadzają na nas

same nieszczęścia.

Mężczyzna leżał na podłodze, wpatrując się wytrzeszczonymi oczyma w królową. Z uszu zaczynały mu wypływać cieniutkie strużki krwi. Jego ręce próbowały zerwać niewidzialne obręcze zaciskające się na jego szyi. Paznokciami rozdzierał skórę, która zwisała teraz już płatami, obnażając nagie, niczym niechronione mięśnie i wnętrzności. Jego żywot dobiegał końca i mężczyzna miał pełną tego świadomość. Jednak nawet przez chwilę nie żałował, że starał się uwolnić mężczyznę spod jej władzy. Może on był tym pierwszym? Może przyjdą po nim następni? Z tą myślą zgasł, zwinięty w kłębek. Jego ciało zaczęło drgać w przedśmiertnych spazmach. Leżał bezwładnie na zimnej, marmurowej podłodze wysadzanej kamieniami na tle misternej mozaiki.

— Dradonie, podejdź tutaj. — Jej twarz opromienił ciepły, życzliwy uśmiech, a rysy złagodniały. Bez wątpienia była zjawiskowo piękna. Tylko oczy wciąż miały kolor wina.

Młody mężczyzna podbiegł szybko. Miał spuszczoną głowę i oczy wbite nieruchomo w podłogę. Tak jak nieszczęśnik leżący u jej stóp na szyi nosił subtelnie błyszczący łańcuszek. Jego gęste długie włosy były spięte z tyłu i spływały mu po niewiarygodnie umięśnionych plecach. Usłużność zupełnie nie współgrała z wyglądem mężczyzny. Miał ponad dwa metry wzrostu i ciało boga. Odziany w obcisłą szatę uwalniał wyobraźnię każdej kobiety, która na niego spojrzała.

— Tak, pani? — wyszeptał, wpatrując się nadal nieruchomo w podłogę.

— Gdybyś był tak miły, Dradonie, i przygotował dla mnie kąpiel w płatkach kwiatów oraz łożo. Muszę się zrelaksować. Zdrady zawsze mnie wykańczały. I zabierz te zwłoki, psują mi estetykę komnaty. A! Zawołaj też Evrina, mam zapotrzebowanie na jego usługi. Mam nadzieję, że ostatnimi czasy nie był eksploatowany przez inne królowe.

— Tak, pani.

Dradon wycofał się w kierunku drzwi, pozostając przodem do królowej. Przy drzwiach obrócił się i wyszedł do holu. Lubiała patrzeć, jak się oddala. Jego pośladki były takie nęcące. Po chwili powrócił z czyszczącą lampą. Wraz z nim przyszła również młoda kandydatka na czarownicę. Miała może jedenaście lat i piękne rude loki spięte z tyłu granatową wstążeczką. Ubrana w turkusowy habit

uczennicy, który był trochę na nią przyduży, stanowiła miły dla oka widok, mimo że w tamtej chwili mocno kontrastowała z obrazem komnaty. Nauki pobierała już od ponad roku, dlatego też dla wprawy mogła pomagać, jako mała czarownica, w komnatach królowej. Dotknęła lampy i wypowiedziała zaklęcie. Dradon oświetlił miejsce, w którym przed chwilą leżał nieszczęśnik. Dobrze jednak, że został usunięty przez innych podwładnych, tak zwanych czyścicieli. To nie był odpowiedni widok dla dziecka. Lampa miotała iskrami i barwami, wysysała pozostałości śmierci i krwi, jednocześnie impregnując marmury i ukryte w nich kamienie. Wszystko na powrót lśniło. Królowa siedziała nadal na tronie, a jej twarz zdradzała zadowolenie z efektu. Uśmiechnęła się do filigranowej, rudej dziewczynki.

— Sebille, podejdź do mnie, dziecko.

Dziewczynka dygnęła i zbliżyła się do królowej. Mimo swego wieku była dostojna w ruchach. Odznaczała się gracją i elegancją, które to cechy posiadała również jej matka.

— Tak, ciociu Mesto.

— Widzę, kochanie, że robisz postępy. Mama byłaby z ciebie dumna, moje słoneczko. — Poglaskała ją po głowie tak czule i delikatnie, że Sebille od razu wdrapała się jej na kolana i przyłgnęła do niej swoim drobnym ciałkiem.

— Ciociu, czy myślisz, że mogłabym mieć trochę wolnego od szkoły? Chciałabym się pobawić z dziewczynkami. One mają wolne w każdym tygodniu, a ja nie miałam już wolnego do trzech miesięcy. — Spojrzała na Mestę swoimi dużymi zielonymi oczami tak błagalnie, że niejeden kot by się nie powstydział.

— Eh, kochanie, no wiesz, ty jesteś księżniczką. Twoja mama chciała, abyś pobierała u mnie nauki. Wiesz, że nikt nie nauczy cię tyle co ja.

— No ale ciociu, przecież wiesz, że robię postępy. Mam najlepsze wyniki w klasie. Nigdy się nie spóźniam, a mój test na czarownicę dopiero za pięć lat. Czy te dwa dni wolnego naprawdę będą takim kłopotem? Prooszę...

— Eh, co ja z tobą mam. Dobrze, powiem nauczycielom, żeby dali ci te dwa dni wolnego.

— Trzy? — Spojrzała znowu na nią oczami niewiniątka.

— Nie przesadzaj, młoda damo. Jak przeholujesz, to będzie zero.

— Naprawdę dostanę te dwa dni?

— Tak, dostaniesz. Nawet możesz sobie wybrać które.

— Oj, ciociu, jesteś kochana. Dziękuję!

Mała z radości tak piszczała, że mało co bębenki w uszach nie popękały. Rzuciła się na szyję królowej i ścisnęła ją tak mocno swoimi chuchrowatymi rączkami, że omal nie udusiła swojej cioci.

— Dziękuję, dziękuję, ciociu.

Zeskoczyła z kolan i pognała w podskokach w kierunku komnat treningowych. Nad jej głową zaczęły migać kolorowe iskierki.

— Oj, nasza Sebi będzie się musiała jeszcze dużo nauczyć o kontrolowaniu mocy.

Do komnaty wszedł, zgięty wpół, kolejny służący i oznajmił, że kąpiel przygotowana, a Evrin jest do jej usług. Wstała z tronu z gracją, choć przy jej wzroście stanowiło to nie lada wyzwanie. Była potężną kobietą, choć nie grubą. Dorównywała wzrostem niejednemu usłużnemu. Włosy miała krótkie jak na sprawowanie takiego urzędu. Nie przejmowała się jednak konwenansami — proste jak sznurki blond włosy sięgały jej lekko za uszy. Nosiła powłóczystą suknię z materiału, który przy odpowiednim oświetleniu odkrywał jej wszystkie wdzięki. Biust miała obfity, ukryty pod eleganckim, choć nie tak niewinnym dekoltem obszytym czarnymi perłami, te zaś były cennym kamieniem w ich wymiarze. Sprowadzali je dla niej usłużni, którzy mieli zaszczyt pracować na własny rachunek. A przynajmniej tak im się wydawało. U ludzi byliby czymś pomiędzy szlachtą a mieszczanami, jednak tu, w niebieskim wymiarze, a właściwie w jego podziemiach była to klasa społeczna mająca sporą władzę w porównaniu z sytuacją innych mężczyzn. Szła powoli w kierunku komnaty. Gdy odsunęła jedwabie, które pełniły funkcję drzwi, zobaczyła w wannie przygotowaną kąpiel. Płatki falowały na wodzie, która parowała, tworząc wokoło mgiełkę. Rzuciła zakłęcie ciszy na zasłonę, tak by mogła się czuć swobodnie, zsunęła ubranie i weszła do wody.

— Evrinie! Umyj mnie, tylko nie zapominaj, co lubię. Miałam ciężki dzień.

— Tak, pani.

II

Max leżał rozciągnięty na zielonej trawie, z której gdzieniegdzie wystawały niebieskie kielichy kwiatów. Barwnik stanowił jeszcze pozostałość po niebieskich piaskach, które do niedawna królowały w tym wymiarze. Właściwie wszystkie owoce, liście i kwiaty były niebieskie. Sprawniejsze oko mogło dostrzec jednak pełną paletę odcieni. Na tle wszechobecnego koloru nieba z nieznanych przyczyn wyróżniała się zielona trawa. Słońce w zenicie prażyło, było bardzo gorąco. Co chwila jakiś insekt przelatywał Maxowi nad głową z nieznośnym brzęczeniem. Był tak zrelaksowany, że nawet jego wilkowi zachciało się psot i próbował kłapać zębami każdego przelatującego owada. Obok niego przysypiała Brenda. Leżała na brzuchu z podłożonymi pod głowę rękami. Rozpuszczone kruczoczarne włosy spływały jej po plecach i opadały na trawę. Czula się niebiańsko. Jej wakacje znacznie się przedłużyły. Już miesiąc temu powinna była stawić się na służbę, ale zupełnie jej się nie chciało wracać do podziemia. Aryman koncentrował się na intensywnych rozmowach z Vikiem i ustalaniem planów oraz strategii utrzymywania w przyszłości równowagi w Kotalinie. Jej mocodawcę tak pochłonęło planowanie i negocjacje, że do tej pory nie spenetrował demonów z niebieskiego wymiaru. Badanie demonów i ciemnych istot było jego obowiązkiem jako króla podziemia. Podczas gdy Brenda z Maxem odkrywali nowe ziemie, rada Kotaliny postanowiła przemianować niebieski świat na wymiar Ametysty w hołdzie za jej poświęcenie.

Na razie władcy nie pozwalali na migrację ludzi do nowego wymiaru. Zakaz obowiązywał do odwołania. Brenda z radością odkrywała ten nowy świat, choć musiała przyznać, że na obecną chwilę był on bardzo nudny, mimo że zniewalająco piękny. Wczoraj minęła wodospad, który miał początek na wysokości lasu, jednak nigdzie nie było widać góry, z której mógłby spływać, ani źródła, z którego wypływał. Po prostu zaczynał się w przestrzeni. Jego huk przenikał i zagłuszał wszystko wokół, a woda rozbijająca się o ziemię dawała przepiękne tło dla nigdy niezanikającej tęczy. Zaraz za wodospadem znajdował się niebieski las, gęsty i wręcz niezdrowo idealny. Drzewa nieznanego gatunku rosły jak pod linijkę. Jego regularne kształty były tak nietypowe, że Brenda wyczuwała tu rękę istot myślących. Żaden znany jej las, który porastał jej świat, nie był tak geometrycznie poukładany. Nie umknęło uwagi Brendy, że ostatnio driady, mimo zakazu Vika dotyczącego zasiedlania tych terenów, zaczęły migrować do puszczy. Z pełną świadomością Max i Brenda nie wchodzili im w drogę. Potrafiły zachowywać się bezwzględnie. Od wielu lat ich populacja stopniowo się zmniejszała. Elfy, które były potencjalnymi prokreatorami, wyginęły ponad dwieście lat temu, więc pozostali im tylko ludzie, a mężczyźni nie zawsze wykazywali zachwyty względem

zielonkawego odcienia ich skóry. Ciekawe, że postanowiły przenieść się do tego wymiaru, w którym jak okiem sięgnąć brakowało inteligentnego życia, a tym bardziej potencjalnych dawców nasienia. Pomijając problemy z trwałością gatunku, tu, w tych lasach i w tej kolorystyce, ich zdolności maskowania wydawały się mocno ograniczone. Tym bardziej ich decyzja o zasiedleniu tego lasu była bardzo zaskakująca.

Brenda podniosła głowę i przyglądała się niebu, które mimo pełni dnia usiane było gwiazdami. W tym wymiarze nie istniało też takie słońce, jakie znali ze swojego świata. Na niebie błyszczał pierścień, który wyglądał trochę jak ciastko z dziurką. Niebo było równie piękne jak reszta tego wymiaru. Tu wszystko było inne.

„Ciekawe, czy to dzieło Ametysty, czy też tak wyglądało to zawsze, a ona tylko przywróciła ten świat do życia” — zastanawiała się Brenda.

— Max?

— Mmyy?

— Myślę, że tu jest bezpiecznie. Wydaje mi się, że na ten moment nie mamy co dalej przeszukiwać tej krainy. Naznaczona wlała w to miejsce tyle życia, że jeśli nawet coś mogłoby być złe, dawno pewnie przeszło transformację albo umarło z nadmiaru szczęścia.

Max nigdy nie powiedział Brendzie o jego związku z Ametystą. Często podróżując po tym wymiarze, zastanawiał się, czy choć trochę ich miłość — jego i Ametysty — przyczyniła się od ożywienia tego świata. Miał cichą nadzieję, że jednak tak. Ametysta była niesamowitą i niedocenianą często kobietą. Bardzo mu jej brakowało. Teraz obok niego leżała Brenda i to głównie nią powinien się interesować. Nie wiedział, czy to, że przypadkiem przebywają na ziemi Ametysty tak długo razem, nie przyczyni się do popsucia ich związku. Jego uczucia do Brendy nie były już tak silne jak wtedy, gdy miał je obie. Często się kłócili, brakowało mu równowagi.

— Może masz rację, kochanie. Sądzę, że tereny, które do tej pory odkryliśmy, są bezpieczne. Wydaje mi się, że możemy zacząć zasiedlać ten rejon. Tak na wszelki wypadek ja bym zasugerował Vikowi, aby zechciał ogrodzić ten teren, zanim nie sprawdzimy reszty wymiaru. Wiesz, w razie czego, jakby nam coś umknęło.

— Czyli rozumiem, że wracamy? Max, tak bardzo mi się nie chce wracać do Arymana. Nie mam już siły na to latanie na wiatrach, lądowania w szafach i innych dziwnych miejscach. Wiesz, marzy mi się odkrywanie tego i innych wymiarów. Max, poszedłbyś ze mną?

— Wiesz, na pewno byłoby to ciekawe, ale na razie sędzę, że powinniśmy wrócić do Vika i powiadomić go o naszych wnioskach. — Prawda była taka, że nie uśmiechało mu się spędzać z nią więcej czasu. Stopniowo jej obecność zaczynała działać mu na nerwy. Nie było już tej iskierki co kiedyś. A może on nie umie być z jedną kobietą? Może po prostu potrzebuje dreszczyku emocji i niepewności?

— Masz lustro?

— Mam. — Wyciągnął spod siebie plecak i wyjął lustro wielkości chusteczki do nosa. Było zupełnie zwyczajne.

Brenda pocałowała Maxa gorąco w usta i wyszeptała:

— Dziękuję ci, Max, było cudownie, dzięki tobie naprawdę odpoczęłam.

Max uśmiechnął się do niej najczulej, jak umiał. Nie musiała wiedzieć, że jego odczucia były zgoła odmienne. Max wziął Brendę za rękę, dotknęli lustra i zniknęli.

III

Minęło już kilka miesięcy, odkąd Ametysta oddała swoje życie za Kotalinę. Słońca grzecznie pozostawały na niebie odpowiednią liczbę godzin. Meferie ponownie zaczęły kiełkować, a ich uprawy rozwijały się w zadowalającym tempie. Dzięki temu mieszkańcy znowu mieli pracę, coraz mniej też było niekontrolowanych wybuchów magii. Wszystko wracało do normy. Nawet Aryman wykazywał zadowolenie, udało mu się bowiem opanować w swoim wymiarze namnażające się demony. Granice królestwa stały się znowu bezpieczne, a smoki powróciły do zagród i odzyskiwały zdrowie. Vik wreszcie z satysfakcją przyglądał się postępom i zmianom, które następowały w jego królestwie. Polegli mieszkańcy zostali uhonorowani, a ich rodziny otrzymały sowite zadośćuczynienie. Teraz pozostała kwestia pustyni, jaka powstała po wybuchu, oraz stworzenia bezpiecznego połączenia między Kotaliną a wymiarem Ametysty. Dzięki portalowi byłoby możliwe rozpoczęcie procesu kolonizacji nowego wymiaru, a to dałoby nowe możliwości rozwoju oraz lepszego zagospodarowania różnych ras, które nie zawsze żyły z sobą w zgodzie. Brenda i Max powinni lada dzień pojawić się na zamku z informacjami o nowym świecie. Ponadto przez te kilka miesięcy udało mu się zakopać topór wojenny z Arymanem, co dodatkowo stanowiło wisienkę na torcie. Już od wieków nie było tak dobrych stosunków z królem podziemia. Vik podrapał się w czoło, analizując kolejne informacje, które wyświetlały się na magicznym jedwabiu wiszącym pośrodku gabinetu, jakby zawieszonym na sznurkach. Wszystko szło w bardzo dobrym kierunku. Z zamyślenia wyrwało go ciche pukanie. Spojrzał w kierunku hebanowych drzwi i kiwnął głową, wypowiadając przy tym zaklęcie.

— *Qhib!*

Do komnaty wszedł jeden ze służących.

— Wasza Królewska Mość wybaczy, ale przybyli pani Brenda i pan Max.

— Niech wejdą, od kilku dni na nich czekam.

Brenda i Max weszli do komnaty bez widocznego spięcia, jakiego można by się spodziewać w sytuacji, w której poddani odwiedzają króla. Byli w tej komfortowej sytuacji, że po takich przeżyciach łączyła ich przyjaźń, a wzajemne relacje nawet nie przypominały tych sprzed bitwy Arymana i Areona.

— Wasza Królewska Mość — wypowiedzieli powitanie w jednym

momencie, składając pokłon.

— Witajcie. Myślałem, że się już was nie doczekam. Jesteście głodni? Siadajcie. *Haus thia pub*.

W tym samym momencie jak spod ziemi wyrosły fotele oraz blat, który zawisł w powietrzu, wypełniony po brzegi smakołykami. Na złotych półmiskach leżały meferie i inne owoce. W przezroczystej misie chlupała fiołkowego koloru zupa z dodatkiem mięsa z almika. Max i Brenda podeszli do stołu. Wygodne fotele, jak wszystkie meble w ich świecie, dostosowały się do komfortu swych użytkowników. Na stole zamigotały kryształowe puchary z koką. Król pamiętał, że oboje byli entuzjastami tego napoju. Zresztą nie należało zapominać, że Brenda musiała pić kokę, jeśli miała pozostać istotą dnia.

— Opowiadajcie. Pomińmy zbędne formułki i konwenanse. Jaki jest jej wymiar?

— Tak w skrócie? Jest pusty. Jest też niebieski w wielu odcieniach. Ma przedziwne źródła wody, wypływające z przestrzeni, i lasy, rosnące prawie pod linijkę. Ma też zieloną trawę, podejrzewamy, że to wkład Ametysty. Nie spotkaliśmy tam żadnego inteligentnego życia, no może poza naszymi driadami. One jak zwykle nie dostosowały się do rozkazu Waszej Wysokości i już zasiedlają lasy. Poza tym nie znaleźliśmy nic oprócz nich i owadów na obszarze ponad dwóch kilometrów. Nawet w nocy nasze maty runiczne nie zarejestrowały żadnej większej formy życia. Przez te dwa miesiące nie widzieliśmy ani jednego demona. To dość niebywałe, biorąc pod uwagę, co słyszeliśmy do tej pory o tym wymiarze — zaraportowała Brenda.

— To bardzo intrygujące. Czy w takim razie waszym zdaniem jest on bezpieczny, by móc rozpocząć tam proces kolonizacji?

— Tak, Wasza Królewska Mość. Uważamy, że bez obaw możemy zakładać tam nasze miasta. Oczywiście nie zwiedziliśmy całego wymiaru, dlatego wydaje nam się, że na wszelki wypadek należałoby stworzyć bariery runiczne na granicy już rozpoznanego terenu. Z czasem będziemy mogli dalej zajmować te dziewicze tereny. Zastanawia nas jednak, gdzie podziiali się mieszkańcy tego wymiaru. W trakcie swoich podróży odkryliśmy jedno miasto, które było opustoszałe. W domach pozostawiono garnki i talerze, jakby nagle wszyscy zniknęli, pozostawiając w popłochu cały dobytek — kontynuowała.

— W takim razie będziemy musieli w przyszłości zbadać to miasto i dowiedzieć się, co tam zaszło. Dziękuję wam bardzo. Cieszę się, że przynosicie dobre wieści. A tak, mam jeszcze pytanie: jak w tamtym wymiarze działa stabilność magii? I jeszcze jedno: czy odwiedziliście jaskinie, w których były przetrzymywane smoki? Muszę mieć pewność, że nic stamtąd nie wylezie.

— Jeśli chodzi o magię, to jest ona na podobnym poziomie jak u nas. Także i w tym aspekcie nasze kamienie nie wykryły zagrożenia. Są też miejsca o wibracjach znacznie silniejszych od naszych. Jednak nie ma ich wiele, są to obszary o bardzo małej powierzchni. Pozostawiliśmy tam kamienie rubinu dla oznakowania. Będzie trzeba przy nich postawić osłony runiczne dla tych, którzy mieliby ochotę skorzystać z większego poboru mocy. — Brenda mówiła, zupełnie nie zwracając uwagi na Maxa.

— Brenda, mogę teraz ja? Nie dajesz mi dojść od słowa — wycedził przez zęby Max, zachowując maniery, jak przystało na audiencję u króla.

— Tak, oczywiście, przepraszam. — W jej głosie nie dało się jednak wyczuć przeprosin.

— Wielki Viku. Ja miałem okazję zejść do grot. Wydaje się, że są opustoszałe, natrafiłem jednak na kolejne korytarze i odnogi. Właściwie jest ich tak dużo, że ja sam nie mógłbym ich wszystkich zwiedzić. Tu będzie potrzebna dużo liczniejsza grupa. Sporządziłem mapę tego, co miałem okazję sam sprawdzić, i zaznaczyłem na niej miejsca z kolejnymi korytarzami. Jeśli mogę, chciałbym zasugerować, aby mag z ametystem lub równie wysokim kamieniem udał się tam, zanim zaczniemy je odkrywać, i zabezpieczył wejścia ze strefy słońca, tak by nic się nie wydostało na powierzchnię bez naszej wiedzy.

— Max, przecież ja mam taki kamień. Dlaczego mi nic nie powiedziałeś?

Max zignorował ją, jakby była powietrzem, co wytrąciło ją z równowagi, ale postanowiła nie reagować w obecności króla. Porozmawiam sobie z nim później — dodała w myślach.

— To bardzo cenna informacja, Max. Dziękuję wam obojgu, jesteście wolni. Brendo, chciałby cię widzieć twój zleceniodawca. Oczywiście możecie najpierw spokojnie dokończyć posiłek.

Max i Brenda wraz z królem zajęli się jedzeniem. W trakcie rozmawiali o

nic nieznaczących zdarzeniach dnia codziennego. Gdy talerze i półmiski były prawie puste, oboje wstali od stołu i pokłonili się władcy. Ich audiencja dobiegła końca.

— Dziękuję za strawę, Wasza Wysokość. Zgodnie z życzeniem skontaktuję się niezwłocznie z moim mocodawcą. Jeśli Wasza Wysokość będzie miał jeszcze jakieś pytania, jesteśmy do dyspozycji.

Oboje oddali pokłon Vikowi i wyszli z gabinetu.

IV

Karl został zwolniony z zakonu, gdy wyszło na jaw, że jest ojcem Ametysty oraz że spółkował z surogatką królów. Na szczęście dla niego Ametysta stała się bohaterką i ze względu na to nie odebrano mu po odejściu z zakonu miesięcznej wypłaty. Karl w sumie nie żałował, bo służba w zakonie Futura nie należała do łatwych. Czuł już zmęczenie niezliczonymi procedurami i tajemnicami, jakimi był obarczony. Cieszył się też, że wreszcie jawnie będzie mógł być z Cleo, która ze względu na swój wiek została przeniesiona w stan spoczynku. Nie była już aktywna na liście surogatek zakonu. Cieszyło go również, że będą mogli razem zamieszkać. Sama myśl o tym powodowała, że zmiana, jaka nastąpiła, wydawała się szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Jego córka Ami odeszła, ale przez lata trwał u jej boku, mimo że wtedy nie wiedziała ona, że jest jej ojcem. Czuł jednak, że jego wsparcie wiele dla niej znaczyło.

— Kochanie, widziałaś tę gwiazdę? — zawołał z kuchni.

— Jaką? Coś przyszło? Weź otwórz, proszę, muszę się wytrzeć — krzyknęła z łazienki Cleo.

Karl dotknął skrzęcej się gwiazdy, która uaktywniona jego dotykiem wyemitowała głos Vika.

— Cleo i Karl. Mam nadzieję, że przeboleliście już stratę córki. Mimo waszego przewinienia sprzed wielu lat rada uznała, że należy powierzyć wam zadanie wagi państwowej. Chcielibyśmy zlecić wam misję stworzenia pierwszej osady na ziemiach nazwanych imieniem waszej córki. Po dokładne instrukcje stawcie się za trzy dni na zamku.

„O masz ci los” — pomyślał Karl. „Już wszystko zaczynało się układać. Mieliśmy spokój. Znowu coś wymyślili. Czy nie ma młodszych albo innych do tego zadania?”

Cleo wyszła z łazienki otulona puszystym szlafrokiem z wyszywanymi liliami i rumiankami. Na nogach miała swoje ulubione kapcie z głową w kształcie smoka.

— I co tam ciekawego? Jakież wieści od króla?

— No niestety, mamy misję. Koniec naszej sielanki. Mamy się stawić za

trzy dni na dworze. Tam dostaniemy instrukcje. Ta cała rada wykombinowała, że będziemy pierwszymi osadnikami na ziemi Ametysty.

Cleo usiadła na dużym fotelu bujanym. Jej twarz zastygła wraz ze wzrokiem, który wbił się w przestrzeń. Jak ona kochała córkę. Jak jej brakowało tych spontanicznych odwiedzin, gdy siadały w fotelach obok białego ognia i sączyły kokę. Miały sobie jeszcze tyle do powiedzenia. Dlaczego akurat ją chcieli tam wysłać? Przebywanie w tamtym miejscu będzie jej codziennie przypominało o kochanej córeczce. Chciała pamiętać, ale nie chciała cierpieć. Chciała iść dalej, pozostawiając tylko wspomnienia dni, gdy miała ją całą i zdrową.

— Cleo? Cleo? Kotalina do Cleo? — Karl zamachał jej przed oczami swoimi kościstymi palcami.

— Przepraszam, zamyśliłam się... Wiesz, nie chcę tam jechać. Nie chcę codziennie przypominać sobie, że ją straciłam. Dlaczego oni mi to robią? — Łzy zaczęły spływać jej po policzkach.

Karl objął ją i mocno przytulił. Głaszcząc po głowie, zaczął kołysać ją w fotelu tak, jak uspokaja się małe dzieci.

— Będzie dobrze, kochanie. Może akurat to zadanie stanie się początkiem? No wiesz. Takim prawdziwym początkiem. Może tamto miejsce nie będzie ci jej aż tak przypominać? W końcu tu jest więcej wspomnień: jej meble, książki, zapachy. Tam tego nie będzie. Musimy znaleźć dobrą stronę tej sytuacji. Pomogę ci, a ty pomożesz mi. Damy radę. — Ucałował ją delikatnie w policzek, tak samo jak co dzień o świcie. Odkąd mieszkali razem, Karl wstawał ze wschodem słońca i szykował dla nich śniadanie. Zawsze szedł do piekarni po ciepłe pieczywo, które tak bardzo lubiła. Potem budził ją zapachem mocnego kakaowca i pachnącego, ciepłego, chrupiącego chleba.

Cleo popatrzyła na niego swoimi mokrymi oczami. Kapało jej z nosa. Od płaczu miała katar, który tak jak łzy próbował wydostać się z ciała. Na jej usta wypląnął delikatny uśmiech. „Dobrze, że go mam” — pomyślała. „Gdyby nie on, już dawno wpadałbym w objęcia cierpienia”.

— Cześć, wnuczko!

— Guido, nie możesz tak wchodzić do domu, nawet swojej wnuczki, bez zapowiedzi. Jesteś byłym królem elfów, nie uczyli cię manier? A gdybyśmy mieli

obraz w sypialni i na przykład byli w trakcie, no, wiesz? — skarciła go Cleo.

— Oj tam, oj tam — zareagował z pobłażaniem Guido. — Jakby Guido miał piersi, toby był elficą. Przecież nic się nie stało. Czemu płaczesz?

— Nieważne. Skoro już tu jesteś, to powiedz, o co chodzi. Nie zwykłam przyjmować gości w szlafroku i kapciach.

Guido zerknął na jej pantofle i uśmiechnął się do siebie. Jak widać, nawet jego wnuczki miały poczucie humoru i dystans do życia.

— No dobrze, przejdę do rzeczy, bo widzę, że jesteś nie w sosie. — Cleo tylko łypnęła na niego okiem, dając do zrozumienia, że ma rację, i najlepiej by było, żeby się pośpieszył. — Chodzi o centaury.

— I co z nimi?

— Futura ma pod swoją opieką nowy gatunek centaurów — kontynuował.

— No dobrze, ale co mi do tego?

— Chciałbym, abyś przekonała króla, żeby poszły z tobą na ziemię Ametysty.

— A po co mi tam centaury? Mam wystarczająco dużo problemów, a gwałty i pijaństwo to nie jest coś, co chciałabym na ziemi córki.

— Chyba mnie nie słuchasz, Cleo. Mówię, że to inna rasa, hodowana przez Future. Zapytaj swojego Karla.

Cleo powtórzyła Karlowi to, co mówił Guido.

— Tak, wiem, Guido, ale zakon nie wypuści ich z rąk. Zresztą jak się o nich dowiedziałeś? Zakon i ich budynek są objęte potężnymi zaklęciami i runami. Nie sądzę, abyś, nawet jako wymarły gatunek, umiał przeniknąć do ich obrazów.

— Karl był mocno zdziwiony faktem, że Guido znał jedną z najbardziej skrywanych tajemnic zakonu.

— Pewnie tego nie wiesz, ale to ja zapoczątkowałem tę hodowlę. Eh,

kiepsko uczą historii was, zakonników — stwierdził z dumą i nutką kokieterii Guido.

Cleo ponownie powtórzyła słowa dziadka.

— Guido, nie mam ochoty być tu przekaźnikiem. Znajdź inny sposób na porozumiewanie się z resztą świata, dobrze?

— ofuknęła ponownie Guida.

— A powiesz mi, dlaczego to inny gatunek? I dlaczego tak ci na tym zależy? I dlaczego niby to ja mam o to prosić, a nie ty? Przecież lubicie się z Vikiem. Sam mógłbyś mu to zasugerować.

— Ta rozmowa wcale nie polepszała nastroju Cleo.

— Nie czas ani miejsce na tłumaczenie, dlaczego nie ja. Natomiast rasa jest wyjątkowa. Posiada wiedzę i instynkt, jakimi nie może się nikt poszczycić. Są szybcy, a zarazem mają rozwiniętą empatię. Są bardzo silni, lecz używają siły wyłącznie do obrony. Nie znoszą też alkoholu, w pary zaś łączą się na całe życie. Mimo że rytuał pozyskania wybranki jest nieco hm... staroświecki, to jednak ta odmiana naprawdę by ci się przydała.

— Nie wiem, Guido. Obiecuję, że przemyślę tę sprawę. Przyznam się, że jakoś mi nie w smak prosić o to Vika, no i budzi moje wątpliwości, dlaczego ty tego nie zrobisz. A teraz, jeśli łaska, mógłbyś sobie już iść? Chciałabym się przebrać i poczuć się swobodnie u siebie w domu.

— Już zmykam. Przepraszam za to niefortunne najście. Postaram się w przyszłości lepiej anonsować — uśmiechnął się tym swoim dobrotliwym, dziadkowym uśmiechem i odszedł. Na obrazie znowu pozostał tylko jej brat.

V

Mesta siedziała za swoim biurkiem, podpisując kolejne dekryty królestwa. Przed nią roztaczał się widok na piękną krainę. Słońce w kształcie obręczy oblewało barwną faunę i florę swoim złotym blaskiem. Gwiazdy świeciły na niebieskim niebie wszystkimi kolorami tęczy. Co chwilę przelatował jakiś wielobarwny ptak, wachlując swoim pióropuszem. Zwierzęta przechadzały się, skubiąc zieloną trawę, a poddani królowej spokojnie spacerowali nad rwącą jak

potoki w górach jednorożców rzeką. Szkoda, że ten widok był tylko iluzją. Od ponad dwustu lat jej lud przebywał pod ziemią. Na powierzchni szalały demony i niebieskie piaski. Nikt z nich nie widział prawdziwego pierścienia ani nie czuł na skórze promieni od setek lat. Utrzymanie życia pod ziemią i zabezpieczenie królestwa przed świderkami i innymi demonami było możliwe tylko dzięki mocy trzech i ich potomkiń. Czasami bariery puszczały, jednak wczesny system ostrzegania był na tyle zaawansowany, że gdy tylko docierał sygnał, na miejscu zjawiały się maginie i naprawiały uszkodzenia. W wielu grotach stworzono iluzje pól i łąk, tam też mieszkańcy odpoczywali, korzystając z magicznych promieni słonecznych. Kilka miesięcy wcześniej ich podziemny świat nawiedziło ogromne trzęsienie ziemi, które zniszczyło wiele domów i zabiło wielu mieszkańców. Po trzęsieniu ponad sto punktów uaktywniło system wczesnego ostrzegania. Połatanie tego wszystkiego zajęło im prawie tydzień. Była przekonana, że tym razem demony ich dopadną. Ku jej zdziwieniu żaden z nich jednak nie przekroczył bariery.

— Widzę, że znowu ciężko pracujesz, kochana siostró.

Do pokoju weszła drobna rudowłosa czarownica. Jej oczy były wielkości i koloru dojrzałych śliwek. Rude i gęste rzęsy nadawały jej twarzy egzotyczny wygląd. Tak jak Mesta, miała krótkie włosy, a na szyi nosiła taki sam naszyjnik: trzy splecione ze sobą smoki.

— Witaj, Noemi. Tak się cieszę, że cię widzę. Wyglądasz zjawiskowo, kochana. Czyżbyś przyjęła kogoś nowego w poczet swych sług? Muszę go koniecznie poznać, jeśli potrafi czynić takie cuda. Opowiadaj, moja droga, co tam ciekawego w twoim królestwie. Mam nadzieję, że słudzy nie sprawiają ci problemów.

— W sumie u mnie spokój. Ostatnio udało nam się wyhodować nowego jednorożca. Jest śliczny. Powiedz mi, jak tam moja Sebi? Robi jakieś postępy?

— Sebi to naprawdę fantastyczna dziewczynka. Ciężko pracuje i jej postępy są naprawdę wyjątkowe. Jestem z niej bardzo zadowolona. Nie wiem jeszcze, jaką będzie miała moc, ale wygląda na to, że przejmie pewnego dnia zadania jednej z nas. Wiesz, Katarina urodziła samca. Niestety, będzie dla nas bezużyteczny, odesłaliśmy go do mamek. To jest pewien problem. Mamy na razie Sebi — ani ja, ani Katarina nie mamy córek. Poza tym kształcenie to kwestia lat, no i czasami rodzimy się bez mocy. To bardzo niebezpieczne. No ale po co ja ci to wszystko mówię, ty odegrałaś swoją rolę. Co cię sprowadza w moje skromne progi?

— Może porozmawiamy przy kakao? Jestem trochę zmęczona. Od kilku tygodni źle śpiam i szybko się męczę. Masz coś do jedzenia?

— No pięknie. Gdzie są moje maniery? Odwiedza mnie moja kochana siostra, a ja jej nawet nie zaproponowałam poczęstunku. Wybacz, siostrzyczko, już się poprawiam. Dradonie! — Służący zjawił się w mgnieniu oka. — Przynieście posiłek dla drugiej królowej. Tylko szybko.

— Tak, pani. — Dradon uklonił się i pobiegł w kierunku kuchni.

Tymczasem Mesta machnęła ręką, wypowiadając zaklęcie przywołujące. Obok iluzji pojawiły się dwie wygodne kanapy, zrobione ze skóry jednorożca.

— Siadajmy. Zaraz Dradon przyniesie posiłek. Wiesz, zatrudniłam nowego służącego, ma niewiarygodny talent do gotowania. Ostatnio przejadły mi się już magiczne potrawy.

— Ja od dawna nie używam magii do posiłków. U mnie w kuchni pracują dwie zdolne młode wiedźmy.

— Zatrudniłaś kobiety w kuchni? — Mesta była tak zdziwiona i oburzona, że po wypowiedzeniu zdania usta pozostały rozwarte, wyrażając ogromne zaskoczenie. — To nie zadanie dla kobiet, a tym bardziej młodych wiedźm. Chyba rzeczywiście źle się czujesz.

— Uznałam, że zamiast piastować mężczyzn, mogą się przysłużyć mnie i mojemu dworowi w bardziej efektywny sposób. Czarownic z małą mocą mam aż nadto. Zresztą one głównie zarządzają kuchnią.

— Aha, to brzmi znacznie lepiej. Nie wyobrażam sobie, aby jedna z wybranych mogła brudzić swoje ręce w jedzeniu. Zdajesz sobie sprawę, co mogłoby się stać, gdyby się zacięła? To byłoby straszne. Dość o tym. Co ci jest i co cię do mnie sprowadza?

— Pamiętasz, jak nawiedziło nasz świat to trzęsienie ziemi? Wydaje mi się, że właśnie wtedy coś się zmieniło. Wyczuwam wyraźne zmiany mocy. Dodatkowo od miesięcy nie pojawił się u nas żaden demon. Wydaje mi się to bardzo dziwne. A co do mojego złego samopoczucia, no cóż, jestem w ciąży.

— Znowu? Przecież wiesz, że dla równowagi nie powinniśmy mieć więcej dzieci, szczególnie jeśli urodziłaś już jedną córkę. Czy to dziewczynka?

— Nie, chłopiec. I między innymi z tego powodu pojawiałam się u ciebie. Pragnę go zatrzymać. Nie chcę oddawać dziecka mamce.

— Od tej ciąży zupełnie pomieszało ci się w głowie. — Mesta wstała i nerwowo przechadzała się teraz w tę i z powrotem po komnacie. Jej naszyjnik zaczął emitować pulsacyjne światło, co było oznaką wściekłości. — Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? Chcesz wychowywać na dworze tę istotę? Ich rolą jest nam służyć. Nie są stworzeni do wyższych celów. Ich ciała są ułomne, nie mają mocy, są słabi i bezwartościowi na dworze z punktu widzenia naszego społeczeństwa, wyłączając oczywiście prace fizyczne. Nie pamiętasz, co zrobili nam ich naczelni?

— Wydaje mi się, że ten jest inny — powiedziała szeptem, ze spuszczonej oczami, żeby nie drażnić siostry. — Wiesz, z dnia na dzień tracę swoją moc. Jakby ją ze mnie wysysał. Jestem słaba i zmęczona. — Cichy głos Noemi odbił się od ścian, wracając w postaci szmeru.

— To niedorzeczne. Oni nie mają takiej umiejętności — warknęła Mesta. — Pewnie zwyczajnie jesteś chora. Prawdopodobnie ten wybuch zmienił strukturę magii. Zawsze byłaś na nią wrażliwa. Jestem przekonana, że wrócisz do zdrowych zmysłów. Zmieńmy temat. Powiedz mi jeszcze o tym, co się u was zmieniło po wybuchu? Wiesz, u nas jakoś też dziwnie i spokojnie.

— Po pierwsze, co osobliwe, światło magiczne zmieniło barwę, wibracje są po prostu inne. Po drugie ostatnio przez bariery zaczęły przechodzić jakieś patyki. Wokół nich zbierają się prądy mocy i nie wiem... jakby były wchłaniane przez te drewna. — Zawahała się lekko i wzięła oddech. Nagle z jej ust wystrzeliły słowa: — Dlatego chcemy wysłać ekspedycję na powierzchnię.

— Ty gówniaro! Wydaje ci się, że pozjadałaś wszystkie rozumy? Nie wyślesz żadnej ekspedycji! Nie ma możliwości, że ten potwór nie żyje. To może być pułapka, żeby nas stąd wywabić. Nie jesteśmy jeszcze na tyle silni, by stawić mu czoło. Na dodatek, czy ty zdajesz sobie sprawę, że wychodząc tam, możemy stracić władzę? Tam mogą być zatrute wody. Możemy wystawić na niebezpieczeństwo nasz lud!

W tym samym momencie do sali wszedł Dradon. Pokłonił się prawie

niezauważalnie Noemi. W rękach niósł dymiące potrawy, które jeszcze przed chwilą dojrzewały w piecu. Obie siostry poczuły, jak napływa im ślinka. Żołądek Noemi zaczął żyć swoim życiem, odgłosy wydobywające się z jej brzucha były nie do zamaskowania. Odczuwała straszny głód. Mesta w milczeniu usiadła na kanapie. Jej twarz zdradzała intensywne procesy myślowe. Na jej czole pojawiły się małe pionowe rysy sugerujące, że jej umysł pracuje na pełnych obrotach. Noemi zaś po prostu czekała, aż Dradon ją obsłuży.

VI

Fioletowe pędy zaczęły właśnie wypuszczać drobne purpurowe kielichy. Motyle o skrzydłach wielkości dłoni dorosłego mężczyzny przysiadły na jeszcze młodych witykach, które ugiwały się pod ich ciężarem. Woda w fontannie płynęła leniwie, jakby nie mając na nic ochoty. Vik siedział na marmurowej ławce obok swojego ulubionego drzewa morwowego. Owoce w tym sezonie obrodziły, więc co rusz sięgał do gałązek, a następnie wkładał do ust ten delikatny, soczysty owoc. Dzisiejszy dzień zupełnie nie był czasem na przebywanie w murach zamku. Po ogrodzie chodziły gnomy, pielęgnując kwiaty i drzewa. Ewidentnie im również udzieliła się atmosfera spokoju, bowiem swoje czynności wykonywały jakby w zwolnionym tempie.

— Panie? — Do siedzącego króla podeszła pulchna służąca. Dygnęła pokracznie. — Pani Cleo i Karl zjawili się na zamku. Czy mam ich zaprowadzić do komnaty audiencyjnej?

— Nie, Margo. Proszę, przyprowadź ich do altany w ogrodzie. Przynieś również ciasto morwowe oraz sałatkę z meferii, a do picia sok limonkowy z dodatkiem krwi smoczej.

— Oczywiście.

Król niechętnie wstał i ruszył w kierunku altany. Po drodze mijał okazałe calathee, musy, mile i turbany Turka. Drzewa szumiały dzięki lekkiemu wietrzykowi. Ich liście i pędy oplatały się wzajemnie, tworząc barwne ściany. Jego ogród był bez wątpienia najpiękniejszy w całym królestwie. Wszedł do altany znajdującej się pośrodku wysepki otoczonej lazurową wodą, w której pływały przezroczyste stworzenia. Przypominały galaretki, choć ich ciała były jak najbardziej kształtne. Mimo tej transparentności wnętrzości pozostawały niewidoczne. Wokół ich sylwetek widać było roztaczający się subtelny blask. Pomędzy nimi wiły się morskie węże, jedne z najdroższych przysmaków Kotaliny. Po chwili na ścieżce zobaczył gości. Od Cleo bił smutek, co było w pełni zrozumiałe, po stracie jedynej córki i najpierw odnalezionego, a następnie uśmierconego syna. Obok niej kroczył dwa razy od niej wyższy Karl. Oboje odziani byli w turkusowe szaty wyszywane runami. Cleo jak zwykle miała u swego boku sakiewkę, w której trzymała niezbędne zioła, by w razie potrzeby udzielić pomocy. Przez ten czas, gdy ich nie widział, oboje się zmienili. Nie tyle zestarzelili, co spowaźnieli. Widać było jednak, że tych dwoje dobrze czuje się ze sobą i tworzą dobraną parę. Karl, ubrany w cywilne szaty, wyglądał znacznie lepiej. Habity

zakonników nie były zbyt szykowne.

— Cleo, Karl, zapraszam, siadajcie. — Vik wskazał dłonią na siedzenia w kształcie kwiatowych kielichów.

— Królu, przybyliśmy zgodnie z rozkazem — oznajmił dostojnym, poważnym tonem Karl.

— Przejdę od razu do rzeczy. Jak wiecie, powierzam wam misję stworzenia pierwszej osady na ziemiach waszej córki. Prace nad bezpiecznym portalem praktycznie dobiegają końca. Chcę, abyście stworzyli tam naszą kolonię, odkryli możliwości tamtego świata. Wybrałem was dwoje z kilku powodów: po pierwsze, ty, Cleo, masz wiedzę i dar związany z zielarstwem i leczeniem, jesteś inteligentna i kreatywna. Nikt tak jak ty nie potrafi znajdować nowych rozwiązań na nieznane choroby, a nie wiemy, co może się jeszcze czaić w tamtym świecie. Ty, Karl, znasz nasze rytuały i zasady, będziesz dobrym przewodnikiem dla pierwszych osadników. Z wami udadzą się również inni, jednak to wy będziecie podejmować decyzje i rządzić w tej osadzie w moim imieniu. Muszę was też uprzedzić, że driady już zasiedliły tamtejsze lasy.

— Królu, przepraszam, że pytam — odezwała się Cleo spokojnie, lecz bardzo stanowczo. — Co, jeśli odmówimy?

— Nie odmówicie, gdyż jest to część zadośćuczynienia za złamanie wielu praw, za które nie odpowiedzieliście przed Najwyższą Radą. Przypominam na wypadek, gdybyście o tym zapomnieli.

— Rozumiem. Przyznam się, że dla mnie ta kara jest bardziej okrutna niż jakakolwiek inna, którą jestem sobie w stanie wyobrazić — powiedziała lodowatym tonem Cleo. — Wysyłacie nas, rodziców dziecka, a w moim przypadku dwójki dzieci do miejsca, które jest tak silnie z nimi związane. To nieludzkie.

— Nie jest to coś, o czym będziemy dyskutować. Tak postanowiłem. Przypomnę też, że nie jestem człowiekiem, proszę więc, nie przyrównuj mnie do tych pozbawionych magii i talentów istot. — W jego głosie dało się słyszeć pogardę. Widocznie ludzka część jego kodu genetycznego była najslabsza i nie miał do niej zbyt wiele szacunku.

— Panie, jeśli mogę. — Do rozmowy włączył się Karl. — Chciałbym poprosić o pozwolenie w pewnej sprawie. Wiem, że ze względu na moje

przewinienia nie mam zbyt wysokich notowań u Jego Wysokości, ale mimo wszystko chciałbym spróbować. Zależy mi, aby wziąć ze sobą do nowego wymiaru nasze centaury. Od lat je hodowałem i wiem, że proszę o wiele, lecz moja intuicja podpowiada mi, że będą one niezmiernie ważne. Poza tym może byłoby to lepsze miejsce hodowli. Skoro i tak mamy przesiedlać tam różne gatunki, wydaje mi się, że szczególnie w tym przypadku okazałoby się to dobrym rozwiązaniem.

Król przyglądał się Karlowi z uwagą. Złamał on bowiem ponownie zasady, które zabraniały mówić w publicznych miejscach o centaurach hodowanych przez zakon. Jednak w tym, co mówił, było sporo racji. Centaury bowiem nie mieściły się już w swoich zagrodach. Miały też własną strukturę społeczną. Jako że rozwinęły nad wyraz swoje umiejętności i wiedzę, wykazywały teraz mniejszą skłonność do podlegania zakonowi. Testy i hodowla przerosły zakon. To było rozwiązanie, które pozwoliłoby królowi nadal korzystać z ich mądrości. Wydałby się wielkoduszny, zwracając im wolność, której i tak nigdy nie miały ani nie zaznały, gdyż od początku były istotami hodowlanymi. Mógłby im bez większych problemów przydzielić tereny. Świat Ametysty pozwalał na kontrolowanie tych, którzy do niego wchodzili, a co za tym idzie wieść o ich istnieniu mogłaby być jeszcze przez jakiś czas skrywana.

— Zastanowię się nad tym. — Vik zmienił temat. — Ciasta? Powiedźcie mi, jak się czujecie po tej tragedii? Czy mogę jeszcze coś dla was zrobić?

Pozorna troska o tych dwoje była jasna jak słońca. Gra toczyła się dalej. Królowie, mimo że dbali o swoich poddanych, nigdy nie zapominali o zasadzie: cel uświęca środki. Od lat zakon Futura kształtował królów. Wybierał kobiety do rodzenia kolejnych potencjalnych władców. Chłopcy byli zabierani matkom i nawet jeśli po szkoleniu nie wybierano ich na królów, ślad się urywał. Zawsze w gotowości do urodzenia potencjalnego władcy trwało dwadzieścia jeden kobiet, a gdy tylko któraś opuszczała szeregi producentek Vików, wybierano następną. Nie miały nic do powiedzenia. Wszyscy wiedzieli i nikt nic nie mówił. Wszyscy udawali, że rytuał ten nie istnieje, bo przecież tak było zawsze, tak mówiła historia, to ich dziedzictwo. Nikt nie śmiał podważać historii ani świętych tradycji. Gdyby Ami żyła, pewnego dnia by się sprzeciwiła. Była niezwykle potężna, a jednak ona odeszła. I znowu każdy będzie udawał, że wszystko jest w porządku. Cleo nie miała siły walczyć z systemem, historią i tradycjami. W głębi duszy pragnęła, aby ktoś przerwał ten cykl. Niestety, w czasach, gdy w państwie się powodzi i wszyscy mają co do garnka włożyć, bohaterów jest jak na lekarstwo. Bo po co coś zmieniać, skoro żyje się dobrze, nawet jeśli tylko pozornie dobrze. Mieszkańcy tego wymiaru zawsze interesowali się jedynie końcem swojego nosa. Oczywiście tak jak w

każdym społeczeństwie pojawiali się odszczepieńcy, ale i oni w końcu odpuszczali.
Wszyscy żyli jak w transie, mimo iż mieli wrażenie, że żyją pełnią życia.

VII

Brenda właśnie wyszła z podziemia po długiej i zażartej dyskusji z Arymanem. Była tak zmęczona jak w trakcie swojej transformacji. Czuła, jak chęć do życia i siły opuszczają ją w zastraszającym tempie. W sumie to i tak nie żyła. Przez te lata nauczyła się jednak czerpać magię i energię z otaczającego ją świata, by poczuć tę iluzję życia. Powłócząc noga za nogą, szła, potykając się o skrawki kiedyś białej sukni. Z falbanek pozostały już tylko szarobure wiszące strzępki materiału. Jej dłonie powoli zasklepiały rany, a twarz jeszcze nie odzyskała bladego kolorytu — nadal była sinozielona. Wymiana zdań z Arymanem przerodziła się w wymianę mocy. Mimo jej wysokiego kamienia nie miała z nim większych szans. On, aby nie zrobić jej znaczącej krzywdy, ostatkiem rozsądku po prostu wydrenował ją z mocy. Szła powoli bosymi stopami po szeleszczącym gruncie. Znajdowała się już niedaleko domu. Wiły jak zwykle śpiewały, choć tym razem chyba trafiła na te, którym smok nadepnął na ucho. Melodia była wręcz nie do zniesienia. Patrzyła na poświatę księżyca odbijającego się w tafli wody. Gdzieś tam była jej ulubiona topielica. Od dzieciństwa bawiły się razem. Gdy była mała, nie za bardzo wiedziała, dlaczego Mia znika wieczorami. Siadała wtedy na mostku i wołała ją z nadzieją, że niebawem przyplynie. Gdy już się zjawiała, zawsze przynosiła jej wisiorki, sygnety i inne śliczne drobiazgi. Uwielbiała te niespodzianki.

Dom ojca był już niedaleko. Powoli wracały jej siły. Swoją drogą zastanawiała się, jakim cudem zaczęła nosić sukienki, do tego białe. Fakt, w pewnym sensie zaadaptowała je do swojej pracy, skracając długość nieco przed kolano, ale i tak. Ona i sukienki? Totalny bezsens. No ale Max tak lubił ją w tych paskudnie niewygodnych ubraniach. A tatko na pewno się ucieszy, gdy zobaczy ją w sukience. Od lat ją namawiał. Kątem oka zerknęła na tafle, gdzie falowało jej odbicie, i od razu zmieniła zdanie.

— Wyglądam jak sto nieszczęść. Od razu zaczną się pytania. Co, kiedy, z kim. Eh...

Weszła cicho po schodach i otworzyła przymknięte drzwi. Ojciec nie powinien być jeszcze zbyt stary, bo zmierzch dopiero zapadł. Poza tym noc trwały znacznie krócej niż kilka miesięcy temu, tak więc i równowaga lat powinna stać się bardziej stabilna. W domku świeciło się światło. Na kuchence stały garnki pełne świeżo ugotowanego gulaszu, a zapach roznosił się po całym domu. Wspomnienia z dzieciństwa napływały falami. Przeszła korytarzem do salonu, który jak zwykle wyglądał nieskazitelnie. W kominku delikatnie tlił się biały ogień. Tata spał w

fotelu. Za oknem noc zapadła już na dobre, panowała cisza jak makiem zasiał. Brenda usiadła obok powoli starzejącego się we śnie ojca. Na stoliku przy jego ulubionym fotelu, w którym spał, stała żywa fotografia mamy. Gdy tylko się zobaczyły, ich twarze rozpromienił szeroki uśmiech. Mama pomachała jej z obrazu i pobiegła w swej białej sukience po łące pełnej kwiatów i wielkich owadów.

— Tato? Tato?

Ojciec otworzył jedno oko, na wpół przytomny.

— Córeczko, przyjechałaś mnie odwiedzić? Na kuchni stoi świeża zupa, gotowana na ludzkich kościach. Posil się, porozmawiamy rano, jestem bardzo zmęczony.

— Dobrze, tato. Do zobaczenia rano.

Wyszła najciszej, jak umiała, zostawiając ojca w jego ulubionym fotelu pod czujnym okiem mamy. Wróciła do kuchni i naląła sobie zupy do drewnianej miseczki. Zdecydowanie to była jej ulubiona. Mama zawsze ją robiła dla niej i dla taty. Gdy była grzeczna i nie zabijała kolegów z klasy, mama, w nagrodę za panowanie nad instynktami, gotowała jej zupę. Tata nie kucharzył tak dobrze jak mama, ale ta przyrządzona przez niego i tak była wyborna. Odłożyła naczynia do zlewu i poszła zmyć z siebie kurz i pył podziemia. Po wyjściu z gorącej wanny poczuła się nieco lepiej. Owinęła się miękkim dziurawym kocem i poszła do swojego pokoju. Tam zawsze czekało na nią jej łóżko i ulubiona zabawka z dzieciństwa, która przedstawiała uroczego demona niższego rzędu, biesa. Wtuliła w niego swoją już naturalnie bladą twarz i zasnęła. Śniła, jak przejmuję ciała kolejnych ofiar i jak zmienia się świat. Miała nieograniczone moce, była potężna. Sen przyniósł jej to, czego brak tak odczuwała, co tak bardzo odbierało jej naturę. Dał jej możliwość bycia sobą. Nie musiała się kontrolować, nie musiała zwracać uwagi na etykietę dworską, nie musiała służyć. Mogła posilać się tak, jak miała na to ochotę: pijąc soczystą i ciepłą krew. Najbardziej smakowała jej ta dziecięca. Skóra jej ofiar była taka delikatna, że kły wchodziły jak w masło. Młode serca pompowały krew z takim zapalem, że sama wpływała jej do ust, rozlewając się swoim ciepłem i smakiem po jej gardle i języku. Bardzo lubiła swoje sny.

VIII

W podziemiu panował chłód. Jak zwykle w tych godzinach komnata zaczęła pobierać moc z magicznego źródła, by ogrzać ściany. Noemi leżała przykryta kocem, puszczając wolno myśli. Jej córka Sebille spała smacznie u jej boku. Zasnęła w trakcie swojej ulubionej bajki. Sebi uwielbiała tę historię, w której wszyscy byli równi, żyjąc w harmonii na powierzchni. Noemi powoli odsunęła jej rude loki, by popatrzeć na śliczną, spowitą snem twarzą córki. Zsunęła jej głowę ze swojego ramienia i wyslizgnęła się z łóżka. Na fotelu leżał jej ciepły szlafrok zrobiony z indrysa. Włożyła go na siebie i wsunęła stopy w ciepłe kapcie. Ziemia w podziemiu była bardzo zimna, a magia nie obejmowała podgrzewania podłogi. Oczywiście w komnatach siostry panowała nowoczesność i tam już podłoga była ciepła. Jednak jej pokój, jej stary pokój wybudowany za czasów jej młodości nie miał takich udogodnień. Wypowiedziała zaklęcie rozświetlające. Nad jej dłonią pojawił się zielony płomień, który rzucił delikatne światło na ziemiste ściany. Otworzyła cicho drzwi, tak aby nie obudzić córki, i wyslizgnęła się przez szparę. Szła bezgłośnie, powoli w kierunku głównych grot, gdzie stało zbudowane miasto. Siostra rzeczywiście się postarała i magia świetnie tworzyła iluzję świata naziemnego. Panowały cisza i spokój, czasami tylko jakiś kot przemykał się między zwisającymi z góry korzeniami, które wbijały się dalej w podłoże, biegnąc gdzieś w poszukiwaniu wody. Około pięciu metrów nad jej głową pozawieszane były magiczne lampiony, które bez większych przeszkód pozwalały chodzić po ulicach wykładanych granitem. Skręciła w lewo obok piekarni, gdzie wypiekali najlepsze bułeczki z sokiem z granatu. Wiedziała, że musi się pośpieszyć, w każdej chwili mogła natknąć się na nocny patrol. Nie miałyby właściwie żadnego wytłumaczenia na to, że chodzi sama w szlafroku po ulicach. Samo to, że była odziana w szlafrok, zapewne wzbudziłoby wiele podejrzeń. Gwardziści musieliby zameldować o tym Meście, a wtedy ona zadawałaby bardzo dużo pytań, na które Noemi ani nie chciała, ani nie mogła odpowiedzieć. Ich poglądy w wielu kwestiach skrajnie się różniły. To mogłoby też narazić jego, a bez niego szanse na powodzenie spadłyby prawie do zera.

Dotarła do czerwonych drzwi, jednak w zielonym świetle, jakie wyczarowała, wyglądały na fioletowe. Dotknęła delikatnie drewnianych belek. Pod jej palcami rozświetliły się znaki i kręgi, które zaczęły wirować jak koła zębate. Zaczęły układać się w zdania. To była ich ulubiona łamigłówka, która stanowiła klucz do otworzenia odpowiedniego korytarza. W zdaniach pozostawione były puste pola, w które miała wstawić słowa klucze, aby zaklęcie zadziało. Tylko ci, których krew została wtopiona w drzwi, mogli je otworzyć, a właściwie otworzyć zarówno wrota, jak i korytarz wiodący do sali spotkań. Pozostali po wejściu

ujrzeliby zwykłą izbę. Wypowiedziała wierszyk z dzieciństwa i drzwi otworzyły się na oścież. Ukazał się przed nią opalizujący wąski korytarz. Nie tracąc czasu, udała się do właściwego pokoju i usiadła. Na stoliku jak zwykle czekały na nią karmelizowane owady, jej ulubiony przysmak z dzieciństwa. Po chwili zjawił się on.

— Witaj, pani. — Jego głos był niski i chropowaty. Noemi aż ciarki przeszły po plecach. Zresztą jego głos zawsze tak na nią działał, nieważne, ile razy się z nim widywała.

— Co ty z tym „pani”? Przestań mi tu paniować. Nie jesteśmy przecież w sali audiencyjnej.

— Chciałem, no wiesz, tak formalnie.

— Nieważne, mów, co udało się zrobić.

— Mam sporo wieści, choć nie wszystkie dobre. Od których zacząć?

— Możesz zacząć choćby od wyznania mi, że mnie kochasz? Albo od pocałowania mnie?

— Tobie tylko figle w głowie. — Ton głosu mógł świadczyć o tym, że skarcił ją za niestosowne zachowanie, ale jego oczy nie kłamały, a te jasno dawały do zrozumienia, że jej pragnie.

— OK. Poczekam z tym, mów.

— Zacznę od tych gorszych. Wielu mężczyzn jest zastraszanych przez szlachcianki, czarownice i twoją siostrę. Ostatnio mieliśmy kilka gwałtów i samobójstw. One stają się coraz bardziej bezwzględne. Królowa stworzyła obóz dla chłopców, gdzie już od najmłodszych lat stają się służącymi nie tylko jako pracze czy słudzy, ale również jako nałożnicy. Dodatkowo w więzieniach jest coraz gorzej, królowa odebrała im prawa, właściwie odebrała im wszystko. Są skupieni w małych celach, w których często nie ma nawet wychodka. Myją się tylko poprzez przechodzenie przez wodospad. Niestety, wielu z nich jest tak słabych, że przewraca ich napór wody. Ci, którzy się nie utopia przypadkowo lub wodospad nie połamie im kości ze względu na siłę uderzenia, są trатовani przez innych. Wiele kobiet nałożyło swoim służącym naszyjniki, co odbiera im wolną wolę, jak również osłabia ich umiejętności zaspokojenia rozkoszy. Nie wiem, czy wiesz, ale

jeśli nosimy naszyjnik zbyt długo, stajemy się bezużyteczni jako mężczyźni. Zmieniono też prawo i obecnie za sprzeciwienie się kobiecie mężczyźni są bici i poniewierani publicznie, a to coraz częściej prowadzi do samobójstw. To tak w bardzo dużym skrócie.

Noemi słuchała tych wieści z kamienną twarzą. Jej emocje jednak zdradziła łza, która spłynęła jej po policzku.

— To straszne. Jej nienawiść zaczyna wymykać się spod kontroli. Jej okrucieństwo mnie przeraża. Powiedz, proszę, że masz dla mnie jakieś dobre wieści.

— Na złagodzenie i poprawę humoru powiem ci, że mam już w całym podziemnym królestwie ponad pięć tysięcy zwolenników. Choć obawiam się, że to może być też zła wiadomość.

— To fantastyczna wiadomość!

— Nie do końca. Pamiętaj, że jeśli szybko nie poderwiemy ich do walki, jest bardziej niż prawdopodobne, że ktoś się wysypie. A wtedy zaczną się masowe mordy.

— Musimy więc zacząć działać szybko. — Podrapała się po głowie, zastanawiając się, czy jest w stanie tak szybko rozpocząć i przygotować do końca rewolucję. Miała co do tego spore wątpliwości.

— Powiedz mi, ile mamy twoim zdaniem czasu, zanim ktoś puści farbę?

— Nie wiem, ale im dłużej zwlekamy, tym większa szansa niepowodzenia. Jeden już zginął. Wczoraj w swej komnacie po prostu zamordowała go z zimną krwią. To był dobry i lojalny chłopak. Nie powiedział nic, co mogło by ją na nas naprowadzić, ale inni mogą nie być aż tak lojalni.

— Wiem, wiem. Nie mam pojęcia, jakim cudem ona jest moją siostrą. Jesteśmy zupełnie różne. Skończyliśmy już rozmawiać? Muszę sobie parę rzeczy przemyśleć, postaram się przyśpieszyć akcję. A powiedz mi, jak się mają jednorożce?

— One są na razie bezpieczne, choć musieliśmy podwoić ochronę. Coraz więcej wygłodniałych i spłoszonych mężczyzn próbuje przedostać się do nich i

upić ich krwi, aby przeżyć. Ale na razie dajemy radę. Martwię się tylko, że sztuczne słońce na dłuższą metę nie wystarczy. Powiedz mi, czy wiesz już coś o tych trzęsieniach ziemi?

— Mam pewne przeczucia. Wyczuwam dziwne wibracje z góry. Fakt, że nie pojawiły się po nich demony, to moim zdaniem znak, że tam, na górze, zaszły wielkie zmiany. Wydaje mi się, że trzeba spróbować zobaczyć, co się dzieje na powierzchni. Ale nie przy pomocy teleskopów — ktoś musi tam wyjść.

Popatrzyła na niego swymi ogromnymi zielonymi oczami. One same mówiły za jej duszę i ciało. Mówiły, a może nawet krzyczały: „Pocałuj mnie!”. To, że musieli się ukrywać, było oczywiste, jednak dla niego odkrywczym, że z nią miał prawo wyboru, że mógł powiedzieć: „Nie”. Miał prawo wypowiadać swoje opinie, a na dodatek ona brała je pod uwagę. Nie musiał jej służyć. Mógł jej pomagać z własnej woli, bez magii i bez przymusu. Przy niej miał prawo i wolną wolę. Chciał tak żyć i chciał, aby inni mężczyźni mogli tak żyć. Pragnienie to jeszcze wzmogło jego pożądanie. Przyniósł ją do siebie i wpił swoje usta w jej wargi. Miłość z wyboru była dużo bardziej atrakcyjna.

IX

Przed portalem poustawiani byli już pierwsi osadnicy. Kobiety i mężczyźni, wszyscy bezdzietni. Król postanowił, że przez pewien czas dzieci nie będą przenoszone do nowego wymiaru. Wszyscy zbierali się na piaskach, jakie nadal pozostały nieużytkami po wielkim wybuchu. Kobiety w wozach miały sadzonki kwiatów i roślin, wszystkie były zajęte zabezpieczaniem swojego dobytku. Po lewej ustawiały się wozy, które ciągnięte zakłęciami mogły udźwignąć steki kilogramów ładunku. Cleo podeszła do jednego z furgonów i zerknęła do środka. Były tam szafy, stoły, krzesła, nawet lustro, upchane jedno na drugim. Wiedziała, że musi to zgłosić. Przewożenie luster na tamtą stronę było surowo zabronione. „I co ja mam z nimi zrobić? Przecież wiedzą, że to zabronione” — pomyślała w duchu.

W drugim wozie dostrzegła materiały i fiołki z barwnikami. Szwaczka to był jeden z najbardziej lukratywnych zawodów. Ponad czterdzieści kobiet wraz ze swoim dobytkiem oczekiwało na otwarcie portalu. Niektóre zebrane w grupkach rozmawiały o czymś, gestykulując, inne zaś obserwowały całą karawanę. Z boku stali mężczyźni: część z nich była związana z kobietami, inni zaś mieli nadzieję na nowy początek. Cleo czuła, że niektórzy w akcie desperacji po życiowych doświadczeniach postanowili przeprowadzić w swoim życiu rewolucję. W tym niewielkim tłumie kłębiły się emocje, uczucia, nadzieje i obawy co do tego, jak będzie po drugiej stronie. Znacząca większość z przyszłych osadników otrzymała jasną informację, że przez najbliższe lata nie będą mogli powrócić do Kotaliny. Za tłumem ściśniętym w pobliżu portalu zobaczyła tymczasowe zagrody. Poza zwykłymi zwierzętami, które można było znaleźć na każdej wsi, znajdowały się tam też centaury, te, o których mówił Guido. Podeszła bliżej, przyglądając się im z zainteresowaniem. Idąc w ich kierunku, miała wrażenie, że zupełnie nie zwracają na nią uwagi. Wewnątrz zagrody powoli przechadzało się czworo osobników: dwie centaurzyce i dwa centaury.

— O, widzę, że jesteście jednak widzialni, przynajmniej dla niektórych — odezwał się jeden z nich.

— A to nie wszyscy was widzą? — zdziwiła się szczerze Cleo.

— Nie, pani. Ale najwidoczniej tobie jest dane nas poznać, pozwól, że przedstawię siebie i swoich towarzyszy. To nasze panie: Arisa i Illis. Mój przyjaciel. — Tu wskazał dłonią na drugiego centaura. — Myros. A ja jestem Tymig. Bardzo nam miło poznać oświeconą.

Wszystkie centaury z gracją skłoniły się swoim ludzkim torsem, jednocześnie uginając przednie łokcie, dzięki czemu ukłon był głębszy, choć jednocześnie bardziej karykaturalny.

— Mnie również miło was poznać, jestem zielarka Cleo, matka Ametysty, tej, której imieniem nazwano ową nową ziemię. Obawiam się jednak, że nie mam nic wspólnego z oświeconą — uśmiechnęła się kurtuazyjnie zaintrygowana stworzeniami.

— Skoro nas widzisz, musiałaś zostać oświecona. Znajdujemy się obecnie pod działaniem czaru niewidzialności. Nie chcemy, aby nasza obecność zakłóciła przejście i nie możemy się też ujawnić tak od razu. Wiesz zapewne, że jesteśmy gatunkiem utrzymanym w tajemnicy. Naszych pobratymców wszyscy się boją, bo są nieokrzesani, coś jak wasi przodkowie sprzed wojny błyskawicy.

— Tak, owszem, wasz gatunek nie cieszy się zbyt dobrą sławą — odparła, przeczesując delikatnie gęste długie włosy i przyglądając się jednocześnie centaurom z fascynacją.

— O, tu jesteś, widzę, że poznałaś moich wychowanków. — Karl podszedł do Cleo, obejmując ją znacząco. To niestety nie spodobało się Illis. Uśmiech zszedł jej z twarzy, a spojrzenie zmieniło się z przyjaznego we wściekłe. — Ale widzę też, że ich dostrzegasz, co jest, przyznam się, dla mnie sporym zaskoczeniem.

— No widzę, jak widać. Nie wspominałaś, że opiekowałaś się nimi.

— Jakoś nie było okazji, kochanie. Illis? — zwrócił się do wściekłej centaurzycy. To jest moja partnerka. — Nacisk na „moja” był tak dobitny, że nawet Cleo poczuła się nieswojo.

— Właśnie widzę. Choć może gdybym ją wyzwalała na pojedynek, znowu byłbyś wolny. — Łypnęła na Cleo, wyszczerzając zęby.

— No, no, panie i panowie — wtrącił Tymig. — Bez takich tu, proszę. Illis, zachowuj się, kobieto. Straszna z niej zazdrośnica. Bywa władczą, ale tak naprawdę jest fantastyczną centaurzycą.

— Czyli jednak pozostały w was te mniej fascynujące dla naszego świata cechy centaurów. Mam nadzieję, że nie będę miała z wami problemów. Mam tę

wątpliwą przyjemność być namaszczona przez króla do władania osadą.

— Nie wiedzieliśmy, przepraszam, pani Cleo — odezwała się druga centaurzyca, chyba Arisa. — Będzie nam miło być pod pani ochroną i służyć swoją wiedzą. Słyszeliśmy, że driady już zamieszkały w tamtejszych lasach, to prawda?

— Też tak słyszałam. Tak samo jak wy przekroczę portal po raz pierwszy. Otrzymaliśmy trójwymiarowe magiczne mapy od zwiadowców Brendy i Maxa, dzięki czemu łatwiej nam będzie się poruszać na tych obszarach. Ach, Karl, poproś strażników, aby jeszcze raz przeszukali wozy. Widziałam kilka lusterek pochowanych między dobytkiem kobiet. Jeśli nic nie znajdą, niech rzucą na każdy z wozów zaklęcie zbitego szkła. Teoretycznie może to spowodować dodatkowe straty, ale nie chcemy od samego początku problemów z niekontrolowanymi podróżami. Aha, i poproś, żeby przyszedł do mnie główny mag, chciałabym go poznać. — Ukłoniła się grzecznie centaurom, po czym wzięła ostentacyjnie Karla pod ramię, zaznaczając, jak rasowa samica, swoje terytorium. Miała jeszcze wiele do zrobienia przed udaniem się na drugą stronę.

X

Przygotowania w podziemiu szły pełną parą. Wszystkie czarodziejki były zajęte dekorowaniem grot. Za ich sprawą całe kazamaty przemieniały się w barwne korytarze i sale balowe. Jedne zmieniały kolory skał, inne wieszały magiczne girlandy, a jeszcze inne przygotowywały potrawy. Wszyscy szykowali się do największego wydarzenia roku: święta mężczyzny. Religia głosiła, że oto on był tym, dzięki którego łasce ona powiła dziewczynkę. Jego szacunek do niej był błogosławiony, a jego pracowitość, zapewnianie jej stawy i uciech sprawiły, że urodziła zdrową pierwszą wielką czarodziejkę — Cailin. Następnie jeszcze dzięki jego miłości powiła kolejne dwie wielkie czarownice. I to on był tym, który dał początek mocy trzech, tak pielęgnowanej przez następne pokolenia. Oczywiście święto Cailin było równie wielkim wydarzeniem w ich kulturze, ale z nieznanых powodów masy wołały święto Mór, na cześć pierwszego mężczyzny, który dzięki swojemu oddaniu kobiecie dał życie trzem wielkim wiedźmom. Dzięki dekretowi wielkich trzech czarownic sprzed dwóch wieków tego dnia mężczyźni mogli zasiadać do stołu, by zjeść posiłek. Nie musieli też świadczyć usług cielesnych, a ich panie obdarowywały ich w tym dniu nowymi szatami i kwiatem dziękczynnym. To było ich święto. Mesta nie przepadała za nim, rozumiała jednak politykę i wiedziała, że nawet oni muszą się poczuć ważni, choć tego jednego dnia, tak by w narodzie nie osłabło morale. Najtrudniejsze tego dnia okazało się wygłoszenie przemówienia, bo jakże tu wypowiadać mowy pochwalne i wzmacniające morale słowa, gdy wszyscy wiedzą, że to tylko mężczyźni, których rolą jest umiłanie życia kobietom, wspieranie ich i usługiwanie im. No cóż, tradycja to tradycja.

— No tak, muszę ich wezwać, później nie będę miała czasu. Dradonie? — zawołała uroczym, słodkim, kobiecym głosem.

— Tak, pani?

— Mam do ciebie prośbę, jeśli byś mógł, oczywiście. Wiem, że dziś twoje święto, ale tak bardzo potrzebuję twojej pomocy.

— Oczywiście, pani.

— Czy mógłbyś zwołać wszystkich mężczyzn i moje czarodziejki dworu? Powiedzmy, nich się stawią tu za godzinę.

— Tak, pani.

— Jesteś naprawdę nieoceniony, Dradonie. Cóż ja bym bez ciebie poczęła?
— Posłała mu zalotny uśmiech, robiąc przy tym oczy indrysa.

Dradon wyszedł z komnaty, a ona postanowiła przygotować wszystko zawniczasu. Jej przemówienie pisała właśnie jedna z zawodowych mówczyń. Mesta nie miała talentu do słów i w ogóle nie przepadała za takiego rodzaju uroczystościami. Machnęła ręką, wypowiadając zaklęcie przywołania.

— *Cia lawv tuaj txog rooj.*

Za jej tronem pojawiły się wielkie stoły. Postanowiła, że jej służący będą nosili kolor capri, by ubarwić wnętrze. To ułatwi też dostrzeganie ich w tych ciemnych korytarzach. Ponad siedemdziesiąt złożonych w kosteczkę szat leżało w rzędach na stole. „Czas zająć się oknami” — pomyślała. Podeszła do tylnej ściany, na której wisiał obraz widoku świata na zewnątrz, zanim zesli do podziemia, i dotknęła go swym amuletem. Rama magicznego okna zadrżała i zaczęła się powiększać. Dotychczasowy widok łąki zniknął. Postanowiła, że tym razem pokaże, jak kiedyś wyglądały jeziora i lasy. Gdy tylko jej myśl uformowała się w obraz, ten pojawił się w oknie. Wysłała też sygnał do innych ram, by zmienić widok na najbliższy rok. Krajobraz rzeczywiście był imponujący. Kaskady wody spadały z przestrzeni wprost do złotego jeziora. Wewnątrz, w krystalicznie czystej wodzie, pływały już dawno zapomniane gatunki ryb. Las okalający jezioro miał piękne odcienie złota i niebieskiego, zaś grube pnie i konary tworzyły niesamowitą ścianę, dostojną i poważną. Jak ona chciała kiedyś zobaczyć ten świat. Niestety, nawet moc trzech nie dawała jej władzy nad czasem. Tamten świat był w pełni stracony dla jej ludu.

Dradon wszedł do sali, a za nim zaczęli pojawiać się inni służący jej dworu. Wszyscy piękni, dostojni, potężni. Każdy z nich wybrany był spośród tysięcy. Ich mocne szczęki i wydatne nosy pozwalały podziwiać posągowe wręcz twarze. Ich ciała były dziełami sztuki. „Szkoda, że tak piękne istoty są tak słabe i tak mało inteligentne” — pomyślała. Z drugiego wejścia zaczęły napływać wiedźmy, te starsze i te młodsze, jak również nadzorcynie, które w jej imieniu pilnowały porządku na terenie królestwa. Następnie do komnaty weszły niemagiczne kobiety, takie jak kucharki i szwaczki, kobiety drobne i nieszczególnie urodziwe, jednak ich inteligencja i uroda nie miały tu większego znaczenia. „Los płata różne figle” — pomyślała. „Niby takie drobne i niewyględne, a posiadają tyle cech dających im władzę”.

— Och, Mesto! Widzę, że zdążyliśmy w samą porę.

W komnacie pojawiły się Noemi i Amelia, jej siostry. Zawsze podczas większych uroczystości kobiety władające mocą trzech musiały stawiać się w komplecie. Wymagała tego tradycja.

— Amelio, jak się cieszę, że cię widzę. Jak tylko skończymy, musisz mi wszystko powiedzieć. Noemi jest już ze mną jakiś czas, ale z tobą nie widziałam się całe wieki.

— Kochane, musimy wszystko nadrobić, ale teraz czas się skupić na naszych mężczyznach, w końcu to ich święto. — Amelia uśmiechnęła się anielsko do zebranych, a ci, jak dobrze wychowani mężczyźni, uśmiechnęli się do niej równie przyjacielsko. Oczywiście nie patrząc jej w oczy. To byłaby zniewaga dla kobiety.

— Nasi drodzy mężczyźni — zwróciła się Mesta do swych sług. — Dziś jest wasze święto i to dziś jest ten dzień, w którym wspominamy oddanie waszego przodka naszemu ludowi. Mór był wielkim mężczyzną oddanym swej pani. Dzięki jego przywiązaniu powiła ona trzy wielkie wiedźmy. To dzięki niemu mogła sprawować władzę. Dbał o nią i pielęgnował jej zachcianki. Jestem wdzięczna, że mam was na służbie, gdyż godnie wypełniacie jego dziedzictwo. Jesteście dla naszego ludu bezcenni. Dlatego w imię tradycji oraz by okazać wam moją wdzięczność, jako waszej pani, podarowuję wam dziś szaty, piękne szaty, które będą wam służyć od dziś przez cały kolejny rok. Dbajcie o nie i załóżcie je na dzisiejsze wasze święto. Dodatkowo, jako oznakę mojej wdzięczności dla was, mężczyzn, zanieście wieść, że przy stołach zasiądą również ci, którzy w zagrodach oczekują łaski kobiet. — Pstryknęła palcami i u stóp każdego ze świętujących pojawiła się szata w kolorze capri. Pstryknęła po raz drugi, a z góry zaczęły lecieć kwiaty symbolizujące wdzięczność. — Postanowiłam zrobić wam jeszcze jedną niespodziankę. Dziś możecie skorzystać ze specjalnych łaźni i basenów, które pozwolą zaznać wam przyjemności masażu i relaksu. Świętujcie, panowie, bez was świat byłby dużo trudniejszym miejscem do zniesienia.

Z szeregu wyłonił się Dradon i oficjalnie, w imieniu zebranych, przemówił:

— Szanowna Wielka Czarodziejko i jej siostry! Z uniżeniem i zaszczytem przyjmujemy te dary. Dziękujemy losowi, że właśnie was przyszło nam uszczęśliwiać. Obyśmy zawsze byli godni myć wasze plecy i obyśmy zawsze byli godni oglądać wasze twarze przepełnione szczęściem i zadowoleniem. Dziękujemy wam, pani.

Trzy wiedźmy skinęły głowami. Był to znak, że ceremonia została zakończona. Pora jedzenia i ucztowania miała nastąpić za sześć godzin. Wtedy to mężczyźni mieli zasiąść do stołu, a wybrani dostąpić zaszczytu siedzenia na drugim końcu i spożycia posiłku tuż obok swych pań.

Mesta, Amelia i Noemi opuściły komnatę i udały się do swej prywatnej bawialni. Usiadły wygodnie na miękkich seledynowych poduszkach i zaczęły rozmawiać o ważnych i mniej ważnych sprawach królestwa.

XI

Słońca stały już wysoko, gdy Brenda powoli otworzyła jedno oko. Jej pokój wyglądał tak samo jak zawsze. Jej zabawki z dzieciństwa stały poustawiane w rzędach na magicznych półkach. Na jej biurku leżały książki, do których lubiła wracać. Wszystkie miały zmalretowane okładki. Biorąc pod uwagę, że żyła już ponad dwieście lat, były mocno zużyte przez jej ciągle powroty do historii wiedźm i wilkołaków, które znała z dzieciństwa. Podeszła do biurka i wzięła jedną z nich do ręki. Tę książkę zawsze na dobranoc czytała jej mama, gdy Brenda była małą dziewczynką. Bajka o Jasiu i Małgosi. Zawsze lubiła Małgosię, w końcu to ona uratowała Jasia, bo była bardziej inteligentna, to ona wrzuciła Babę-Jagę do pieca. Ona też chciała być dzielna i ratować świat. Żałowała, że nie była taka jak jej bohaterka, niestety jej wybory zaprowadziły ją do króla ciemności, któremu służyła jeszcze do poprzedniego dnia. Narzuciła na siebie przymały już szlafrok i poszła do kuchni. Śniadanie, które przygotował ojciec, już dawno wystygło, ona zaś nie gustowała w zimnych posiłkach. Na szczęście w lodówce znalazła dzban krwi ludzkiej zmieszanej ze smoczą.

— Tato, skąd to masz?

— Często się, kochanie, ale nie wypij wszystkiego, musi zostać też coś dla Quiry. — Głos ojca dobiegał z ogrodu, był bardzo radosny.

— Jakiej Quiry? Czy ja ją znam? — spytała, nalewając sobie płynu do dębowego kubka.

— Nie, kochanie, nie znasz, ale poznasz. Mam nadzieję, że się polubicie.

To nie brzmiało dobrze. Tata był radosny, a ona miała poznać tę całą Quirę. Chyba tata nie planuje się z kimś związać? Przecież mama była jego jedyną miłością. On nie może, jeszcze nie teraz. Minęło dopiero siedemdziesiąt lat. Zabrała kubek i ruszyła na werandę.

— Tato, co ty kombinujesz, jaka Quira?

— Poznaliśmy się na zlocie długowiecznych. Wiesz, we wszystkich znanych nam wymiarach jest nas około trzystu. Nigdy nie jeździłem na te zloty, no ale wiesz, czasami smutno tu bez ciebie, nie ma też mamy. Pojechałem więc zobaczyć, wiesz, poznać nowych znajomych. No i ona tam była.

Brenda strzeliła minę jak rozkapryszone dziecko, które nie odstało cukierka. Była zła, że tata mógł jakąś kobietę zaprosić do domu mamy. Poza tym sama idea, aby przebywały tu jakiegokolwiek inne kobiety wydawała się wręcz absurdalna.

— A tak poza tym co jesteś dzisiaj taki wesoły? Mam nadzieję, że to ja jestem tego powodem. — Popatrzyła na niego, zakładając ręce na piersi i potupując nogą.

— Brendo, nie zachowuj się jak rozkapryszone wampirzátko. Przecież wiesz, że cieszę się dlatego, że znowu mam cię przy sobie. Poza tym spodziewam się dzisiaj gości.

— Niby kogo? — drażyła mało sympatycznie Brenda.

— Kochanie, bardzo proszę, daj spokój. Przed chwilą mówiłem ci, że byłem na zlocie. Spodziewam się nowych znajomych, tylko kilkorga. Zobaczysz, to fantastyczne wampiry. Ale dość o mnie. Opowiadaj, co tam u ciebie.

— Nie wiem, czy moje życie będzie równie ciekawe jak twoje nowe.

— Brenda?! — Jego oczy zaszyły czerwienią. Był zły na córkę, która zachowywała się jak nastolatka w szczycie burzy hormonalnej w trakcie dorastania. — Co cię dziś, na Arymana, ugryzło?

— Mnie nic i ja niestety też nikogo. Nieważne...

— Jeśli chcesz, chętnie z tobą pogadam, jak ci przejdzie. Idź ochłonać.

Brenda poszła do swojego pokoju, tupiąc głośniej, niż było to konieczne. W swojej sypialni miała kilka zestawów ubrań na zmianę. Założyła swój ulubiony perłowy gorset wiązany z przodu wstążką. Wciągnęła spodnie z czerwonej skóry, również wiązane wstążką z przodu, narzuciła grafitową pelerynę, już bez emblematu króla ciemności, i wyszła z domu. Podążała tą samą ścieżką co wczorajszego wieczoru, będąc w równie paskudnym nastroju. Wiły wzięły sobie wolne, więc dookoła śpiewały tylko ptaki. Usiadła na małym drewnianym pomoście, zwieszając nogi do wody. Nie założyła butów. Lubiła te piaski i kamienie, bo przypominały jej czasy, gdy wszystko było proste. Ostatnio każda rzecz szła nie po jej myśli. Coraz częściej traciła nad sobą panowanie. Aryman o mało jej nie zabił, z Maxem też nie szło najlepiej, a teraz ojciec postanowił znaleźć sobie jakąś kobietę. „Co ja mam ze sobą zrobić? Dlaczego cały czas jestem

rozdrażniona?” Popatrzyła na swe białe jak mleko dłonie i na jej kamień osadzony w złotym pierścieniu. Miała moc, wiedziała o tym, jednak nigdy nie szkoliła się w gildii. Przeszła jedynie podstawowe szkolenia z magii i jej kontrolowania. Może powinna zmienić zawód? Może przyjęliby ją na jakieś dłuższe kursy? Miała ochotę pogadać o tym wszystkim ze swoją przyjaciółką z dzieciństwa.

— Mia? Mia? Jesteś tam gdzieś? — zawołała niezbyt głośno, gdyż woda potrafiła świetnie nieść głos.

Minęło kilka chwil i zawołała ponownie. Woda nadal była gładka jak tafla lustra. Machnęła stopami, a krople wody oderwały się i rozprysły. Patrzyła, jak mikrofałe rozchodziły się po zielonkawym jeziorze. Mia nie pojawiła się. Zrezygnowana Brenda położyła się na wznak i z nogami w wodzie przyglądała się, jak po niebie płyną obłoki. Odpłynęła myślami do wymiaru Ametysty.

— Auuuu! — Podskoczyła, gdy coś ugryzło ją w nogę. — Wyciągnęła stopy z wody i podkurczyła je pod brodę.

— Cześć! O ja cię, ale żeś się zestarzała. Gdyby nie ta twoja bransoletka na kostce i te kły, nigdy bym cię nie poznała. Bawimy się?

— Cześć, Mia, też miło cię widzieć. Ty dla odmiany wyglądasz tak samo. Nadal tak samo przeźroczysta — odgryzła się Mii, choć miała ją ochotę utopić. Nie była dziś skora do żartów. No ale nie da się utopić kogoś, kto i tak od setek lat jest topielicą.

— Brendo, co tam u ciebie? Ty jakoś chyba niedługo będziesz kończyć szkołę, no nie? No wiesz, bo tak się posunęłaś wiekowo. Masz jakiegoś chłopaka? Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że nie widziałyśmy co najmniej z rok.

— Mia, naprawdę twoje poczucie czasu jest urzekające. Nie widziałyśmy się ponad siedemdziesiąt lat, więc chyba dzisiaj nie nadrobimy zaległości. Tak, wiesz, przyszłam pogadać, bo jestem u ojca przez parę dni.

— Ooo, siedemdziesiąt? No nie, to przepraszam, jak na swój wiek wyglądasz rewelacyjnie. Wynaleźli jakieś nowe kremy? Wiesz, słyszałam, że teraz to nawet skórę skracają i w ogóle.

— Mia, jestem wampirem, pamiętasz? Ja się nie starzeję, przynajmniej nie tak jak ludzie.

— A tak, tak, sorki, wiesz, jakoś mi wyleciało z głowy. No dobra, to o czym chcesz gadać?

— Nie wiem, w sumie jakoś wszystko jest nie tak, jak powinno. Chyba po prostu potrzebuję kogoś takiego jak ty nawet do towarzystwa.

— Mała, nie martw się, niech cię kły nie bolą. Zostaw te problemy na brzegu. Wskakuj, popływamy na pulomitach, tak jak kiedyś.

— Mia, nie sędzę, żeby to był dobry pomysł. — Pulomity żyły w wodzie i od dzieciństwa stanowiły element ich zabaw. Miały skórę gładką jak tafla wody, ale ich ciała były na tyle miękkie, że potrafiły pełnić funkcję butów. Gdy stawało się na nich stopami, zmieniały kształt i wyglądały jak kaptcie, zachowując przy tym swój ergonomiczny kształt.

— Na Re, jak chcesz odzyskać chęć do życia, skoro zachowujesz się jak stara, skostniała pudernica. No dawaj, młoda, wskakuj.

Ociągnęła się, Brenda zrzuciła ubrania i została tylko w obcisłym body. Wskoczyła do wody i podpłynęła do Mii. Wtedy obie zagwizdały bardzo przeciągle i wysoko. Z wody, jak w czasach, gdy Brenda była dzieckiem, wyskoczyły cztery ogromne ryby, które podpłynęły pod ich stopy.

— Panie gotowe? — zapytał jeden z osobników.

— Gotowe — odpowiedziały. Mia była bardzo podekscytowana, Brenda zaś, z rezerwą w głosie, starała się brzmieć równie wesoło.

Ryby ruszyły. Z sekundy na sekundę przyśpieszały, a fale po obu stronach zalewały stopy ich jeźdźców, powodując, że skóra ryb stawała się dla nich niewiarygodnie śliska. Balansując na ciałach ryb, sunęły po wodzie. Nie trwało to długo, zanim Brenda poczuła się lżejsza. Mia śmiała się w głos jak nastolatka, co udzieliło się również jej przyjaciółce. Ich włosy powiewały rozproszone przez pęd powietrza, a na twarzach osiadały kolejne krople wody. Brenda czuła się lekka, jakby wszystkie zgryzoty i smutki się ulotniły. Teraz śmiała się już w głos, a woda niosła jej dziecięcą radość echem na wiele kilometrów. Damon od razu rozpoznał niosący się po falach głos. Śmiech dziewczyn był wręcz zaraźliwy, dlatego też sam się do siebie uśmiechnął.

XII

Sebi siedziała na pufach obok swego ulubionego okna. Zawsze lubiła patrzeć na widoki, które serwowała jej ciocia Mesta. To był jej pierwszy dzień wolny od szkoły. Nie za bardzo wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Najpierw posprzątała pokój, potem umyła okno, żeby lepiej widać było krajobraz. Udało się jej też wyjąć wszystkie zabawki i przejrzeć wszystkie książki. Zrobiła również pokaz mody i ulepiła czarę. Wykonywała czynności jak zwykła dziewczynka, gdyby użyła czarów, zajęłoby jej to chwilę. A ona miała przecież znacznie za dużo tych chwil do wypełnienia. Wszystkie jej koleżanki przebywały na zajęciach, a jej ulubiony sługa Dradon miał wolne ze względu na święto. Zaczęła kręcić kółka palcem, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Na ziemi leżała jej ulubiona zabawka — tulak, który teraz kręcił się wokół własnej osi jak bąk. Gdy i to jej się znudziło, wyczarowała jeszcze gwiazdy na sklepieniu i trawę, taką samą jaką widziała przez okno. „Aaa, oszaleję z nudów” — myślała. „Po co mi był ten wolny dzień? Nie mam nawet z kim pogadać”.

— Co mówiłaś, kochanie? — W drzwiach stała mama. — Widzę, że chyba się nudzisz. Chodź do mnie, kochanie. Muszę z tobą porozmawiać. — Jej głos był ciepły, ale bardzo poważny. Przyglądała się córce uważnie.

— Mamo, to ty chodź do mnie. — Pstryknęła palcami i na stoliku między pufami pojawiły się kryształowe karafki i pucharki z płynem. Obok zamigał talerz, na którym zmaterializowały się owoce i jej ulubione czekoladowe pianki.

— No proszę, jaka dobra z ciebie gospodyni. Słuchaj, kochanie. — Wzięła córkę za rękę. — W najbliższym czasie będzie się działo wiele różnych rzeczy. Chciałabym, żebyś pamiętała, że zawsze cię kochałam i będę kochać. Kiedy już zauważysz pewne rzeczy, chcę, byś się przeniosła w jedno miejsce i pozostała tam, dopóki nie przyjdę. Dobrze?

— Mamo, co się dzieje? Nic ci nie jest? Nie żegnasz się ze mną, prawda? — Jej oczy zaszklily się od napływających łez. Była wystraszona. Mama mówiła tak spokojnie. Nie chciała zostać sama, nie chciała się żegnać z mamą. I o jakim miejscu ona mówiła?

— Słoneczko, nie. Nie żegnam się z tobą, ale niebawem będzie niebezpiecznie. Nie pytaj, proszę, o nic więcej, dobrze? Musisz mi też coś obiecać. Nikomu nie powiesz o tej rozmowie i nikomu, absolutnie nikomu nie zdradzisz, gdzie masz się udać. Możesz mi to obiecać?

— Ee... mamó, no ale dlaczego, powiedz mi, co się dzieje.

— Nie mogę, jeszcze nie pora. Obiecaj mi, proszę. — Z jej tonu głosu mała mogła jedynie wyczytać, że to coś naprawdę ważnego. Mama była bardzo poważna.

— Dobrze, obiecuję. — Ledwo przeszło jej to przez ściśnięte gardło.

Mama delikatnie pociągnęła za rękę Sebi, która natychmiast wstała ze swojej pufy i przytuliła się do Noemi, ta zaś delikatnie swoimi smukłymi palcami zaczęła gładzić ją po głowie. Mała wtuliła się w obfity biust mamy i od razu się uspokoiła.

— A teraz, kochanie, porozmawiajmy o fajnych rzeczach. Opowiedz mi, jak w szkole, czy masz jakieś przyjaciółki?

Sebi opowiadała mamie o szkole, nauczycielach. Opowiadała o cioci Meście i o swoich sukcesach. Opowiadała o wszystkim, o czym małe dziewczynki opowiadają swoim mamom. Po jakimś czasie Noemi ucałowała córkę w czoło i przytuliła ją mocno. Gdy wychodziła, w małej dłoni znalazła się kartka z napisem: „Zapomniane korytarze”. Tam właśnie miała się przenieść, gdy zrobi się niebezpiecznie. Mama wierzyła, że Sebi rozpozna ten moment odpowiednio wcześniej.

Sebi była bardzo dumna, że mama tak mocno ufa jej osądowi, ale z drugiej strony bała się, czy rzeczywiście będzie umiała w porę rozpoznać to zagrożenie. Siedziała znowu sama na swoich pufach. Miała jeszcze wiele godzin, zanim którakolwiek z koleżanek skończy szkołę. „No i co ja będę robić? Nudzi mi się” — dumiała. Popatrzyła na karteczkę, którą dała jej mama. Zaginione korytarze? Jak ja mam się tam przenieść? Nie mam pojęcia, gdzie to może być. Nawet jeśli miałabym użyć mocy, musiałabym znać miejsce, żeby tam zogniskować punkt docelowy. Siedziała dalej z nóżkami skrzyżowanymi po turecku. Była bardzo drobna i zupełnie nie wyglądała na swój wiek. W chudziutkich palcach miętoszyła skrawek papieru z wiadomością od mamy. Miała ogromną ochotę znaleźć te korytarze. Jednak zupełnie nie zwidziała, gdzie ich szukać. Poza tym nie wolno jej było samej pałętać się po mieście. „Mamy to zawsze potrafią namieszać” — pomyślała. „Nie wiem, jak mam tam trafić, nie wiem, gdzie to jest, na dodatek za chwilę chyba zniknie atrament. Ale skoro ma być tak niebezpiecznie, to może bym powiedziała o tym chociaż jednej mojej przyjaciółce. Tylko jednej. Mama na

pewno się nie pogniewa”. Podrapała się po głowie, mierzwiąc gęste rude loki. „Mama wyraźnie mówiła, że to informacja tylko dla mnie”. Podniosła się z siedzenia i dziarskim krokiem ruszyła do zasłon, które funkcjonowały jako drzwi. „Pójdę do miejskiej biblioteki” — postanowiła. „Dowiem się trochę o mapach i gdzie mogą być te korytarze. Gdyby ktoś się pytał, zawsze mogę powiedzieć, że mam zajęcia z geografii podziemia”. Pstryknęła delikatnie palcami, nad którymi zamigotała malutka iskierka, która przeniosła ją do groty wiedzy, gdzie znajdowała się biblioteka.

— Dzień dobry, pani Sowo — uśmiechnęła się grzecznie, przechylając delikatnie głowę w prawą stronę.

— Dzień dobry, Sebi. — Mówiąc to, ściągnęła usta, jakby miała zagwizdać.

— Ja chciałabym popatrzeć na mapy. Wie pani, gdzie mogę je znaleźć?

— A ty, mała, nie powinnaś być dzisiaj w szkole?

— Ciocia dała mi wolne, a ja chcę zrobić, no wie pani, taki projekt na geografie podziemia.

Sowa zsunęła dodatkowe oczy i przyjrzała się jej z bliska swym przenikliwym i wszechwiedzącym wzrokiem. Dobrze, idź. Najpierw musisz minąć pięć alejek, potem skręć w lewo przy znaku srebrnej sowy z mapą. Następnie miń kolejne dwa regały i skręć do windy, która przeniesie cię do działu geografii. Jakbyś potrzebowała pomocy, pomyśl tylko, a ja się pojawię.

Sebi dygnęła dziewczęco i pobiegła we wskazanym kierunku.

XIII

Max właśnie dotarł do miejsca, w którym znajdował się niezbyt szeroki otwór prowadzący do grot. Obiecał Vikowi zbadanie tego terenu. Wiedział, że sam nie da rady przeszukać tych labiryntów, dlatego postanowił rozbić tymczasowe obozowisko, zanim dotrze tu wsparcie w postaci przeszukiwaczy i magów. Nie powiedział Brendzie o tym, że wybiera się na ziemie Ametysty. Chciał pobyć sam. No, prawie sam, biorąc pod uwagę, że niebawem miała tu dotrzeć ekipa, by pomóc mu w stworzeniu mapy podziemia. Rozejrzał się dokoła. Nadszedł już wieczór. Mało prawdopodobne, aby reszta dotarła jeszcze w dniu dzisiejszym. Nie miał jednak ochoty na siedzenie w ciemności. Mimo że słuch miał wyśmienity. „Ogień. Przydałby mi się ogień. No i warto byłoby na coś zapolować”. Choć od czasu, gdy tu się zjawiał, nie widział żadnej zwierzyny. Mgła zaczęła powstawać z ziemi. Zapowiadała się chłodna noc z bezchmurnym niebem. Zastanawiał się, jak to zorganizować. „Na pewno gdyby ona tu była, już wszystko by było poukładane” — myślał. Brakował mu jej. Mgła gęstniała i zaczęła oblepiać jego ludzką powłokę. Zmienił się więc w wilka. Jego białe futro było znacznie cieplejsze niż te mizerne włoski porastające ludzką skórę, a wzrok, słuch i węch wyostrzyły się i dostroiły do formy. Podrapał się łapą za uchem w typowo zwierzęcym odruchu. Jeszcze przed chwilą, gdy był w ludzkiej postaci, ucho go przecież nie swędziało. Po przemianie jego zmysły wyczuły coś w pobliżu. Coś tu było. Jednak poza wszechobecną mgłą nic nie widział i nie słyszał. Był pewny, że coś tu jest. Wyciągnął łapę przed siebie i zaraz ją odsunął. W miejscu, w którym przed momentem znajdowała się trawa, poczuł chrzęst gałęzi. Czyżby mgła go gdzieś przeniosła? Narastał w nim niepokój, czuł się zdezorientowany. Jego zmysły szalały, ostrzegając go o niebezpieczeństwie, jednak nijak nie mógł go umiejscowić. Cofnął się kawałek, przyjmując pozycję obronną. Wtem kilka centymetrów przed jego łapą drewno, na które wcześniej nastąpił, zajęło się ogniem. Max czuł, że zupełnie nie kontroluje sytuacji. Z jednej strony zmiana w człowieka pozwoliłaby mu jaśniej myśleć (jego trzewia mówiły mu o wielkim niebezpieczeństwie), z drugiej strony w tej postaci łatwiej mu będzie uciekać. Wycofał się. Ogień nie wybuchał, po prostu płonął. Jednak bez względu na to, jak bardzo się wysiłał, nie widział ani nie wywąchał żadnego napastnika. Mimo to jego organizm pozostawał w pełnej gotowości do ucieczki bądź ataku. Nie mógł uciekać na oślep, to nie był jego teren, przynajmniej jeszcze nie. Czyżby magowie się z nim bawili? Nie, to niemożliwe. Mgła zaczęła gęstnieć jeszcze bardziej, choć praktycznie trudno było to sobie wyobrazić. Zerknął w dół i zobaczył, że... nic nie widzi, nawet jego łapy utonęły w mleku. Przed jego twarzą zaczął rysować się kształt. Zawarczał, szczerząc kły. Serce w chwili obecnej gnało na wyścigi, był prawie pewien, że pobije rekord uderzeń na minutę. Kształt formował się dość powoli, jednak zaczynał przypominać coś, a właściwie kogoś

znajomego. Ni stąd, ni zowąd we mgle pojawił się zarys oczu. Jej oczu. „Ametysta? Nie, to przecież niemożliwe” — przemknęło mu przez głowę.

— Jak podoba ci się mój świat?

Natychmiast doszedł do wniosku, że jednak pomylił się w ocenie tego wymiaru. Ten wymiar nie jest bezpieczny. Wpływa na niego, a on ma zwidy i majaki.

— Nie, Max, nic ci się nie wydaje. — Znowu głos, który należał do niej, ale pochodził znikąd, rozbrzmiewając w jego głowie.

„Ametysta” — pomyślał.

— No a kto? Widzę, że nie marnowałeś czasu po moim odejściu, co Maxio? — Oczy, które uformowały się we mgle, przyglądały mu się. Mimo że nie miały powiek, odnosił wrażenie, że właśnie się przymknęły.

— Ale jak to możliwe? — Próbował ominąć temat, uznając, że już zwariował, więc równie dobrze mógł kontynuować tę konwersację.

— Oj, naprawdę mnie nie doceniałeś. Widzisz, jaki ładny ogień dla ciebie przygotowałam, żebyś nie zmarł?

„Dziękuję” — wybąkał w myślach.

— Ponieważ moja matka przybywa do tego wymiaru, zostawię tę uroczą pogawędkę na potem, ale obiecuję ci, że porozmawiamy sobie szczerze jeszcze o tej Brendzie. A teraz słuchaj: ten świat jest zamieszkały.

— Wiem, driady i jakieś robale.

— Nie o nie mi chodzi. Żyje tu lud z zupełnie inną kulturą niż nasza. Kulturą, której ty nie zrozumiesz, będąc inkubem i wilkiem.

— Dzięki za wiarę we mnie — mruknął.

— Tak czy inaczej to, co odkryjesz, będzie zaledwie częścią tego, co jest w rzeczywistości. Pomogę ci dla bezpieczeństwa mojego świata, mojej matki i ojca. Z tobą zdążę jeszcze porozmawiać, jak skończysz.

— Ale jak? Mogłabyś wyrażać się jaśniej? Z jego pyska, zupełnie niespodziewanie, wydobyło się warknięcie.

— Zobaczysz.

Max obudził się, a na niebie już pojawiło się ciastko z dziurką.

— To sen? Niemożliwe. Ona przecież nie żyje. Czyżbym rozmawiał z duchem? Absurd. Pewnie mi się przyśniło — mówił sam do siebie.

Obrócił się na drugi bok i podskoczył, bo o mało nie włożył łapy do przygasającego ogniska. Rozejrzał się ostrożnie, ale po mgle nie było śladu. Zmienił się z powrotem w swą ludzką postać i wsunął rękę do swojego plecaka, próbując wygrzebać jakąś kanapkę. Jego palce trafiły na zawiniątko. Hm, faktura papieru wydawała się dziwna. Nie pamiętał, aby miał taki gruby papier pod ręką, gdy przygotowywał sobie jedzenie na wyprawę. Wyciągnął więc to, co mogłoby być kanapką, i ze zdziwieniem spojrzął na swoją zakrwawioną rękę. Nie czuł, aby się skaleczył ani też żadnego ugryzienia. Rozwinął papier. Na jego dłoni leżał ogromny, soczysty i mocno krwawy kawał mięsa. Natychmiast wgryzł się w niego. Zupełnie zapomniał przy tym, że zęby człowieka nie są najlepszym narzędziem do rozrywania mięsa na kawałki. Sięgnął z powrotem do plecaka, by odszukać chusteczki i kubek, którym mógłby zaczerpnąć wody z pobliskiego strumienia, ale nic takiego tam nie wyczuł. Musiał ich zapomnieć. Zaczął znowu macać zawartość plecaka i pod jego palcami ponownie znalazło się coś, czego tam nie włożył. Wyciągnął tym razem rulonik i zaczął rozwiązywać tasiemkę, którą był przewiązany. Papier był gruby i dobrej jakości. Nie mógł leżeć za długo w plecaku, bo nie zdążył się odkształcić ani pogiąć, ani też nasiąknąć krwią z pysznego kawałka mięsa. Znalazł w pobliżu kilka kamieni. Rozprostował papier na trawie i przyłożył rogi kamieniami, aby się z powrotem nie zwinął. Mimo świetnego wzroku widział jedynie zarysy pisma. Spróbował przeciągnąć dłonią, by ewentualnie go odkurzyć, choć nie miał wrażenia, żeby był brudny, a wtedy jego ręka, szurając po papierze, wyczuła drobne mrowienie magii. Nie wydawało się to niczym dziwnym, bo kraina była magiczna. Zdjął rękę z papieru i poczuł natychmiast ogromne pragnienie przyłożenia jej tam ponownie. Mapa jakby wysłała niewidzialne przyssawki, które ciągnęły jego dłoń ponownie na papier. Nie lubił, gdy coś go kontrolowało, a ta rzecz miała takie zakusy. Jednak nocna zjawia lub sen, tego jeszcze nie ustalił, pozwoliły mu sądzić, że to, co się teraz dzieje, nie jest groźne. Ametysta nigdy by go nie skrzywdziła, chociaż z drugiej strony ta wzmianka o Brendzie mogła całkowicie zmienić sytuację. Dotknął złotego, lekko

chropowatego papieru. Jego palce zanurzyły się w głąb pergaminu, jakby był studnią bez dna. Przyglądał się temu, na co i tak nie miał wpływu. Poczł kształt kółeczka albo tak mu się tylko wydawało. Jego palce zacisnęły się na tym przedmiocie, a haczyki, które go wciągnęły, jakby nagle puściły. Domyślił się, że cokolwiek tam było, miał to wyciągnąć. Wysunął dłoń, trzymając w palcach coś na kształt pierścienia, do którego przyczepiony był niewielki bordowy łańcuszek. Zaczął z zainteresowaniem wyjmować resztę. Z papieru zaczęła wydobywać się mapa, taka sama, jaką Ametysta wraz z nim stworzyła dla Najwyższej Rady. Wtedy to była mapa wymiarów. Oczom Maxa ukazała się płatanina wielokolorowych sznurków.

— Sznurki? Co to jest, co ja mam z tym zrobić?

Linie przecinały się, zawracały, a niektóre wyglądały jak nici do kłków. Im wyżej się znajdowały, im bliżej jego ręki, tym były większe i szersze. Niektóre miejsca barwiły się na zielono. Inne pozostawały czarne, a gdzieniegdzie po prostu się urywały. Olśniło go. To mapa korytarzy, tych, które miał zbadać. Ale co oznaczają te kolory i dlaczego w niektórych miejscach końcówki pulsują na czerwono? „Ametysto, jesteś genialna, ale jakbym mógł cię prosić jeszcze o jakąś legendę, byłbym wdzięczny” — powiedział do siebie w myślach.

Na jego nosie usiadł motyl, piękny, wielobarwny. Przekręcił łeppek i chyba się uśmiechnął. Max miał dobry wzrok, jednak emocje motyli nie były łatwe do rozpoznania. Motyl wzbił się i zawisł obok jego nie do końca ludzkiego ucha.

— Musisz sam to dokończyć i rozpracować. Nie wszystko znajduje się na mapie. Tam są ludzie, niektórzy inni, a niektórzy źli. Pamiętaj o tym. Ostrzeż moją matkę. — Głos w jego głowie był wyraźny. Nie był to jej głos, ale najwyraźniej pozostały tu jej byt, świadomość i jaźń. Spojrzał się na odlatującego owada.

— Powiedz mi, czy jesteś teraz szczęśliwa. — Jednak latający barwny posłannik nie odpowiedział.

W oddali zamigotały postacie. Magowie w złotych szatach sunęli już na piechotę, bez użycia mocy. Ich rzeźki krok i skrząca się wokoło magia pozwalały sądzić, że towarzystwo było wypoczęte i w dobrych nastrojach. Tylko że poza magami mieli być też zwiadowcy. Teraz miał już stuprocentową pewność, że sam, nawet z pomocą magów, nie da rady. Mapa usiana była korytarzami. Na pierwszy rzut oka ukazało się ponad tysiąc kilometrów labiryntu, w niektórych zaś miejscach jasne, przeźrocyste kule. „Czy to są osady?” — przemknęło mu przez głowę.

— Witaj, Maxie, wysłanniku Vika — odezwał się pierwszy mag, idący na czele grupy.

— Witajcie, dobrzy magowie. Czekam na was już od wczoraj, myślałem, że przybędziecie szybciej, no i że będziemy mieli wsparcie dodatkowych zwiadowców.

Ten, który przemówił, zerknął na mapę z zainteresowaniem.

— Sam to stworzyłeś? — Mówiąc to, podszedł bliżej do tej wielobarwnej i wielowymiarowej pajęczyny.

— Nie, to dar od Ametysty.

Mag uniósł brwi, przyglądając mu się uważnie.

— Naprawdę? Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, a sądząc po tym, co mówisz, jest bardziej niż prawdopodobne, że Ametysta była jeszcze potężniejsza, niż ktokolwiek sądził. Jeśli udało się jej pozostać w formie niematerialnej i pozostawić jaźń ożywioną — zawiesił głos — nic dziwnego, że Arcymag ustanowił ją prorokinią i maginią wszech czasów. Wiesz, że jeśli to prawda, byłaby dopiero drugim magiem w historii, któremu to się udało?

— Nie, nie wiem, nie przyszedłem tu po to, by uczyć się historii, choć przyznam, że mogłaby to być interesująca pogawędka. Zanim przejdziemy do rzeczy, macie może coś do picia? Moja Ametysta, zdaje się, wykorzystwała energię przedmiotów z mojego plecaka, żeby przywołać tę mapę.

Jeden z magów, stojący za mówcą, machnął dłonią i przywołał butelkę z koką oraz kubek wody.

— Dzięki. Więc tak jak mówiłem — Max wypił wodę prawie jednym haustem — mapa pokazuje korytarze.

— Nie, nie mówiłeś, ale się domyśliłem.

— Ano tak, nieważne. W każdym razie prosiłem o zwiadowców, sami nie zbadamy tego wszystkiego, a Vik potrzebuje tych informacji.

— Wszystko się zgadza, dlatego mam dla ciebie wiadomość od Vika.

Max zmrużył oczy. Nie lubił, gdy zmieniano mu plany. Miał ochotę na przygodę, a zanim jeszcze wszedł do korytarzy, pojawiły się komplikacje.

— Słucham więc, jaka to wiadomość.

Mag wziął niewielkie pudełko, mniej więcej rozmiaru opakowania na pierścionek, i postawił je na ziemi, a następnie wypowiedział zaklęcie otwierające portal komunikacji:

— *Cia peb hnov cov lus ntawm enchantment. Cia sib tham yuav yog ib lub muaj tiag.*

Z małej skrzynki zaczął się ulatniać gaz, który przybrał po chwili kształt i formę króla Vika.

— Witaj, Max.

Obraz zamigotał na tle niebieskiego nieba. Król był jak na wyciągnięcie ręki. Obraz odznaczał się wyśmienitą jakością, choć nadal pozostawał przezroczysty. Jakiś kolejny owad nie zauważył obrazu lub go nie wyczuł i przeleciał przez obraz na wysokości nosa króla. Max uśmiechnął się w duchu, ale zachował poważną twarz.

— Królu... — Skinął głową.

— Postanowiłem zmodyfikować nieco nasz plan. Chcę, byś założył wraz z magami osadę zwiadowczą. Cleo niebawem przeprowadzi ludzi i zamieszkają oni na początku obszaru, który został wskazany przez ciebie i Brendę. Ty natomiast zbudujesz osadę zwiadowców oraz obronną, jak również będziesz wspierał Cleo i zapewniał jej bezpieczeństwo. Max, chciałbym też coś powiedzieć Brendzie.

— Nie ma jej tu, Viku. — Podrapał się za uchem.

Król wyglądał na zaskoczonego, ale nie kontynuował tematu.

— Szanowny królu, z całym szacunkiem, ale ja nie chcę tu żyć. Poza tym Ametysta pozostawiła tu swoją jaźń, dostałem od niej to. — Wskazał dłonią na mapę.

— To była niesamowita magini. Max, co do zbudowania osady, niestety nie mogę zaakceptować twojej odmowy, przynajmniej jeszcze nie w tym momencie. Obiecuję, że zmienimy cię, jak tylko wszystko unormuje się w nowym wymiarze. Jednak obecnie tylko ty posiadasz wiedzę do kontynuowania tych poszukiwań i ekspedycji, poza Brendą oczywiście. Ale jak widać, jej tu nie ma. Załóżycie osadę. Nie musi to być wioska czy miasto, wystarczy mała, dla was i waszych potrzeb. Magowie zajmą się tym dla ciebie i dla Cleo. Niebawem przyślę też zwiadowców. A tymczasem zajmijcie się budowaniem i wyznaczaniem granic.

— Królu, jeśli mogę, zanim skończymy rozmowę. Miałem wczoraj sen...

— Max, z całym szacunkiem, ale nie mam teraz czasu na sny.

— Ale panie, to był sen, ale nie sen. Żeby się zwięźle wyrazić... Ametysta powiedziała mi, że tu są ludzie, to znaczy istnienia, ktoś na tym świecie żyje. I domyślałam się, że żyje pod ziemią. Mówiła coś o innej kulturze, ale i o złych ludziach.

— Tak, przypuszczałem, że może tak być. To bardzo ważna informacja. Przekażę ją zakonowi Futura i pod obrady Najwyższej Rady. Uważajcie na siebie i naszych ludzi. Niech Ametysta was prowadzi i ma w opiece.

Przekaz zakończył się, a szkarłatny gaz rozpląnął się w powietrzu.

— Max, widzę po twojej minie, że nie jesteś uszczęśliwiony tymi rozkazami. Nie ma to jednak znaczenia. Mam ci przekazać to. — Wyciągnął do niego chudą, kanciastą dłoń. — To nakładka na twój pierścień pozwalająca na bezpośrednie wezwanie do komunikacji z królem. Taki sam ma Cleo. Wasza trójka no i oczywiście ja możemy komunikować się z sobą za pomocą pierścienia bez użycia krwi.

Max wziął do rąk kwadratową ramkę. Była pokryta wokół drobnymi runami. Gdyby nie wzrok wilka, wydałoby się, że to zadrapania.

— Jak cię zwa, magu? — zapytał zrezygnowany Max.

— Jastor. Jak się zapewne domyślasz, jestem posiadaczem turmalinu. Od lat służę też zakonowi Futura. Ze mną przybyli także magowie z gildii: Archer, Beker i Evans. Panowie są właścicielami ametystu, dostałeś do dyspozycji, jak

widać, bardzo wysoko postawionych magów.

— Jak widać, zostałem postawiony przed faktem dokonanym. Jeśli panowie pozwolicie, idę pobiegać, muszę przemyśleć kilka spraw. Max ostentacyjnie zrzucił ubranie, ukazując swe budzące zazdrość innych ciało, i zmienił się w wilka. Biegł przed siebie, musiał odpocząć, przemyśleć. Niebieskie drzewa migają po obu stronach. Wodospady z pełną ekspresją spadały znikąd na ziemię, a on biegł. W jego żyłach krew płynęła szybko i żwawo. Miał jasny umysł. Odpoczywał. Gdy wrócił, obręcz zaczynała już przygasać. Magowie nie próżnowali, w miejscu, w którym jeszcze rano było palenisko, stała już wysoka na dwa piętra gospoda. Max zmienił formę na ludzką i otworzył drzwi.

XIV

Dradon leżał na kamiennej półce. Od kiedy się położył, wiercił się i nie mógł zasnąć. Mesta najwidoczniej uznała, że nie warto zakładać osłon dźwiękowych. Ostatnio dawała mu spokój. Niestety, jej zainteresowania zmieniły się i obecnie do zapewniania jej uciech byli podsyłani trzynasto- i czternastoletni chłopcy. Na samą myśl Dradon miał odruch wymiotny. Jednak była jedną z czarodziejek z mocy trzech. Nie mógł pojąć, jakim cudem Noemi to jej siostra. Były tak różne. Dziś jednak jego zdenerwowanie nie wynikało z ekscesów erotycznych królowej. Dziś wraz z kilkoma innymi sługami miał się wymknąć pod osłoną nocy przez przejście na powierzchnię. Noemi wyliczyła, że o tej porze powinien tam być wieczór. Gdyby wyszli na powierzchnię w środku dnia, mogliby oślepnąć, bowiem już od dziesiątek lat żyli pod ziemią jak demony. Zgodziło się ich osłaniać kilka pomniejszych czarownic współpracujących z Noemi.

Do komnaty wszedł jeden ze spiskowców. Wyglądał zupełnie jak on. Przywitał się skinieniem głowy i zajął jego miejsce na kamiennej ławce. Dradon nie mógł tracić czasu. Założył na siebie płaszcz z kapturem i wypił przeźroczysty płyn z buteleczki, którą przekazała mu Noemi. Dzięki temu naporowi stał się niewidzialny. Ruszył do wyjścia. Powiał lekki wietrzyk, który powstał, gdy zaczął biec na miejsce schadzki. Musiał przemieszczać się szybko, bo wyznaczone miejsce znajdowało się na końcu podziemnego miasta. Pędząc na złamanie karku, w bezpiecznej odległości minął strażniczki i jakąś starszą kobietę, która zapewne szła do zielnika, żeby zebrać zioła potrzebne do mikstur. Po drodze dostrzegł jeszcze hodowlę dzieci płci męskiej i stadninę jednoroźców. Zdyszany, dobiegł do końca grotu. Rozejrzał się dookoła, ale nikogo nie było. To opisane w wielu księgach miejsce było kiedyś ich pierwszą kryjówką przed demonami z powierzchni. Dotknął delikatnie skał niosących historię i wypowiedział zaklęcie:

— *Qhib tawm rau lub ntiaj teb no.*

Dradon należał do nielicznych, którzy posiadali szczątkową magię. Niestety, większość dzieci z jego gatunku ze zdolnościami magicznymi była wysyłana do obozu dla chłopców i nigdy więcej już stamtąd nie wracały. On jednak dzięki rozsądkowi swojej mamy zachował umiejętności, choć były one znikome w porównaniu nawet do najniższej klasy czarodziejek. Zaklęcie rozświetliło linię drzwi. Przeszedł przez skałę. W środku czekało na niego trzech rebeliantów i trzy wróżki wspomagające cały ruch. Mieli niewiele wiedźm i wróżek włączonych do akcji, ale to na razie musiało wystarczyć. Potrzebne im było zwycięstwo.

— Katio, macie wszystko?

— Dobrze, że już jesteście. Mamy wszystko gotowe. Ochrony będą działały przez najbliższe trzy godziny. Macie tyle czasu, żeby zobaczyć, jak wygląda świat i czy rzeczywiście wygląda tam, na powierzchni. Musicie w tym czasie powrócić. Pamiętajcie, jesteście chronieni zaklęciami niewidzialności. Wasze miejsca zajęły wasze awatary. Jeśli się spóźnicie, ich twarze wrócą do stanu sprzed zaklęcia. Nie jesteśmy w stanie wam pomóc tam, na górze. Mam nadzieję, że przecucia Noemi się sprawdzą.

Machnęła ręką i w kolejnej litej skale zaczęły pojawiać się schody. Setki stromych i śliskich schodów. Dradon zerknął w górę i nie dostrzegł ich końca. Ruszył bez zbędnych słów. Za nim zaczęli się wspinać kolejni mężczyźni. W sumie było ich trzech. Szli dość dziarsko w górę, jednak starali się też kontrolować prędkość wspinaczki. Nie chcieli zbyt szybko opaść z sił. Adrenalina pomagała im utrzymać nie nazbyt męczące tempo. Jedyne problem stanowiła szerokość, a właściwie wąskość schodów i obślizgła maź, która pokrywała je praktycznie wszędzie. Mięśnie idących męczyły się przez to znacznie bardziej, niż gdyby szli po zwykłych schodach. Z tyłu jeden z kolegów zaczął sapać, Dradon też zaczął odczuwać zmęczenie. Zerknął w górę w nadziei, że zobaczą choćby występ skalny, a najlepiej koniec schodów. Ale jedyne, co było widać, to kolejne dziesiątki schodów. Szli już tak ponad godzinę, czas płynął niemiłosiernie szybko. Dotarli wreszcie do półki skalnej, która wydała im się najpiękniejszym kawałkiem skały, jaki w życiu widzieli. We trzech usiedli, by odpocząć. Nie mieli na to zbyt wiele czasu. Mięśnie im drżały tak, że ledwo stali na nogach. Z szarej szmacianej torby, którą Dradon miał pod swoim płaszczem, wyciągnął napój wzmacniający. Każdy napił się zgodnie z zapotrzebowaniem swego organizmu. Płyn był obrzydliwy, ale smak nie miał tu większego znaczenia. Wszyscy po kolei krzywili się, przelitykając kolejne porcje.

— Dradonie? — odezwał się ostatni, który szedł po schodach. — Ja nie dam rady. Czuję ruchy powietrza, więc domyślam się, że to już niedaleko, ale nie mam już siły. Poczekam tu na was.

Dradon nie odpowiedział, spojrział tylko na drugiego kompana pytająco. Ten mrugnął na znak, że idzie dalej. Zostawili więc kolegę na skalnej półce i kontynuowali wspinaczkę. Po kolejnych trzydziestu minutach dotarli do głazu, przez który prześwitywał nieznany im świat. Ich świat sprzed wielu lat. Ten, w którym jego przodkowie żyli na powierzchni. Obaj wzięli jeszcze po łyku napoju

wzmacniającego. Nabrali głęboko powietrza i zaczęli odsuwać kamień.

— A jeśli napadną nas demony? — zapytał równie zmęczony towarzysz.

— Nie wiem, będziemy się bronić. Podobno jesteśmy niewidzialni. Ale ona mówiła, że tam się coś zmieniło, że nie ma już piasków. No wiesz, że wyczuwa. A poza tym czarownice ostatnio zastanawiały się, dlaczego nie ma żadnych demonów wokoło bariery od tego trzęsienia ziemi.

— Dobra, nieważne. Dawaj, najwyżej zginiemy. I tak te gargulce po nas nie zapłaczą, tylko wezmą sobie na służbę nowych.

Obaj wytężyli się i ostatkiem sił odsunęli włącz. Powoli podciągnęli się, by zobaczyć, co ich tam czeka. Oczom ukazała się piękna polana z kwiatami i zieloną trawą otoczona niskimi pagórkami. Owady przelatywały im nad głowami. Zielona trawa i zapachy zaczęły łaskotać ich nozdrza.

— Boże, jak tu pięknie i spokojnie. Widzisz to? I nasze słońce tak jak na obrazkach.

— Dobra, młody, nie zachwycaj się tak, zostało nam mało czasu, musimy wrócić, potem pogadamy o doznaniach. — Zasunęli kamień i zaczęli schodzić w dół. Niestety, śliskie schody stanowiły sporą przeszkodę. Okazało się bowiem, że zejść jeszcze trudniej, niż wejść na górę. Mieli mizerne szanse, by dotrzeć na czas.

— Słuchaj, właściwie nie mamy szans dotrzeć na dół na czas. Weź plecak. Tu obok jest rynna, spróbujemy zjechać na dół. Nie wiem, czy to przeżyjemy, ale jeśli nie będziemy na czas, żeby zmienić swoich awatarów, to i tak nie przeżyjemy, oni zresztą też. Jedziesz ze mną?

Przerażenie w oczach kolegi powiedziało Dradonowi, że zupełnie nie ma ochoty, ale zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Obaj więc zdjęli płaszcze, w które zawinęli pustą już torbę Dradona, tworząc z tego wałek. Usiedli na nim. Nie mieli żadnej ochrony na głowę ani inne części ciała. Dobrze, że chociaż buty ludzi żyjących w grotach były wyposażone w kolce. Nie mieli wyboru. Zaczęli z dużą prędkością zsuwać się w dół rynny, która wiała się między skałami. Na niektórych odcinkach była przerażająco pionowa, a niejeden zakręt tak ostry, że prawa fizyki niemalże brały górę, co mogło się skończyć wyrzuceniem z tego swoistego toru saneczkowego. Pędząc wzdłuż rynny jeden za drugim, nie mieli żadnej kontroli nad tym, co się dzieje. Jedyne, co spowalniało ich od czasu do czasu, to kolce na

butach, które w zastraszającym tempie zaczęły się ścierać. Nagle przy jednym z zakrętów Adrian stracił panowanie nad ciałem i wypadł z rynny. Jego ciało odbiło się od skały i zaczęło spadać w dół, co chwila odbijając się od kolejnych gładów. Z każdym uderzeniem następne kości łamały się, wydając dźwięk, jakiego nie da się zapomnieć. Pędząc w dół, widzieli, jak spada. Mieli tylko nadzieję, że już nie żył. Nie byli sobie w stanie wyobrazić bólu i strachu, jaki mógł mu towarzyszyć, gdyby nie stracił przytomności. Jego zwłoki zatrzymały się dopiero na większej półce skalnej widocznej kilkaset metrów pod nimi, gdzie siedział jeden z członków wyprawy. Nawet z tej odległości widać było, jak zbladł. Obok występu skalnego spadek złagodniał i zatrzymali się obok ciała Adama i kolegi, któremu z oczu płynęły łzy.

— Wsiadaj. Nic dla niego nie możemy już zrobić — rzucił chłodno Dradon.

Obaj do końca podróży nie odezwali się do siebie słowem. Końcówka poturbowała ich mocno, bo odległość do ściany naprzeciw rynny była niewielka, uderzyli więc w nią z pełnym impetem, wpadając jeden na drugiego i nabijając sobie mnóstwo guzów i siniaków.

Z drugiej strony dobiegły głosy. Katia musiała otworzyć wejście. Było to kolejne zabezpieczenie, które w razie niebezpieczeństwa w powodzeniu misji mogło odciąć ich od grot na zawsze. Obaj wyturlali się z wnętrza skalistej klatki schodowej.

— Nic wam się nie stało?

— Katio, chyba się mocno połamaliśmy. Musieliśmy zjechać rynną obok schodów. Poskładaj nas, proszę, bo nawet jeśli dotrzemy na miejsce, nijak nie wytłumaczymy połamanych żeber i tych wszystkich siniaków.

Katia bez pytania wyciągnęła ręce najpierw nad Dradona i zaczęła leczyć. Z jej dłoni płynął strumień chłodnego, wręcz arktycznego powietrza. Przenikał każdą kość i tkankę w ciele Dradona. Potem ów zamrażający dotyk przemienił się w ciepło, które rozlało się po całym organizmie. Dradon stracił na chwilę przytomność. Natychmiast po uleczeniu Dradona Katia zajęła się drugim połamanym zwiadowcą. Po kilku chwilach obaj zaczęli dochodzić do siebie.

— A gdzie Adrian? — zapytała Katia, rozglądając się po grocie. Gdy spojrzała na swoich już uleczonych zwiadowców, zrozumiała, że miny, które pojawiły się na ich twarzach, to smutna odpowiedź na jej pytanie. — Nieważne, w

takim razie zajmę się tym potem. Teraz nie mamy na to czasu. Mam prośbę, abyście pozwolili przeczytać mi swoje wspomnienia. Potem je zablokuję. Nie chcę ich usuwać, ale na wszelki wypadek nie możecie pamiętać. Gdyby ktoś chciał czytać wasze umysły, unikniemy w ten sposób zdemaskowania. Jediną osobą, która będzie w stanie przebić tę blokadę, jest Mesta. Zadbajcie, proszę, o to, by do tego nie doszło.

— Dobrze, czytaj, nie mamy wiele czasu. Została nam mniej niż godzina.

Katia przyłożyła opuszki palców do skroni Dradona. Jej place ułożyły się na jego skroniach i czole. Czuł, jak zasysa obrazy. Nie było to nieprzyjemne, gdyż wyraził na to zgodę, a wspomnienia były świeże. Jednak blokowanie wspomnień nie należało już do tak miłych i szło w parze z potwornym bólem głowy.

— Teraz ty — zwróciła się do drugiego ocalałego. — Tobie jednak usunę wspomnienia. Oddamy ci je, gdy misja się powiedzie. To dla twojego bezpieczeństwa, uwierz mi. — I dlatego, że im mniej z nas wie, tym większa szansa na sukces. Tego jednak nie powiedziała głośno, a jedynie pomyślała. Podeszła i odczytała jego wspomnienia. Te były mało interesujące. Będzie musiała pamiętać, że wspinaczka po tych schodach wymaga bardzo dobrej kondycji. Wezmą to pod uwagę z Noemi podczas planowania dalszych kroków.

— Blokady i usunięcie wspomnień zadziała dopiero za kilkadziesiąt minut. Nie chciałabym, żebyście nie wiedzieli, dlaczego znaleźliście się w mieście i wąłsali się jak jakieś zagubione szczury. Założyłam opóźnione działanie. A teraz pędźcie do siebie, żeby zmienić swoje awatary. Nikt nie może was przyłapać. Macie pół godziny. Chcę wam tylko powiedzieć, że zdaje się, iż dzięki temu odkryciu nasze plany ulegną modyfikacji. Zostaniecie poinformowani w odpowiednim czasie przez radę oporu.

Obaj pobiegli w stronę swoich komnat. Mieli naprawdę niewiele czasu. Ze względu na porę miasto zaczynało się budzić i nie mogli sobie pozwolić na bieganie jak szaleni przez centrum ani też na to, by ich ktoś przyłapał. Tak więc gdy dobiegli w pobliże rynku, zaczęli iść spokojnym, lecz zdecydowanym krokiem. Dradon spojrział na zegar kwiatowy nad bramą do głównej groty, w której mieszkała Mesta wraz ze swoją służbą. Miał dziesięć minut. Był blisko. Wszedł do komnaty i obudził swojego awatara. Ten tylko uśmiechnął się i wyszedł bez słowa. Dradon wsunął się do łóżka. Dzięki temu, że leczyła go Katia, nie czuł tak potwornego zmęczenia nóg ani nie miał śladów obrażeń. Zostało mu jeszcze kilka chwil, by przypomnieć sobie zapach świeżego powietrza i powiew wiatru oraz

wszechobecną zieloną trawę. Pagórki ze wspomnienia, które zaraz miał utracić, wyglądały tak łagodnie w porównaniu do skał, jakimi był otoczony od urodzenia. I słońce, prawdziwe słońce, takie, które pamiętał z książek. Zamknął oczy i zasnął. Niestety, nie na długo, bowiem za trzy godziny zaczynał służbę. Śnił o świecie, którego nigdy nie poznał.

XV

Brenda siedziała w pokoju ze skrzyżowanymi nogami na łóżku. Głowę miała spuszczoną, a jej długie zielone włosy opadały na twarz. Bawiła się nimi, zaplatając kolejne warkoczyki. Ojciec pojechał, choć trudno uznać podróżę poprzez dematerializację za typowe, po swoją nową miłość. Brenda nadal była zła, że jej tata pozwolił sobie w ten sposób zbeczczyć — w jej mniemaniu — pamięć matki. Poprzedniego wieczoru siedzieli i długo rozmawiali. Część jej była w stanie zrozumieć, dlaczego ojciec dopuścił do siebie inną kobietę. „O tyle dobrze, że ta raczej nie odejdzie do Azarela w najbliższym czasie” — pomyślała. Była długowiecznym wampirem, tak jak on. Mieli wspólne wspomnienia z lat przemiany i młodości, choć ona, zdaje się, była dużo starsza od jej ojca i stosunkowo niedawno przeszła na wegetarianizm, suplementy z krwi smoka i zamienniki. „Czy ja też jestem długowieczna?” Tego ojciec jej nigdy nie powiedział.

Oboje mieli się zjawić pojutrze, ale ona czuła, że nie jest na to jeszcze gotowa. Musiała sobie wszystko poukładać, oswoić się z myślą, że gdy następnym razem przyjedzie do domu, może zastać w łazience przybory toaletowe do czyszczenia kłów nowej wybranki swego taty. Odgarnęła włosy z twarzy i rozejrzała się po pokoju. Wszystko przywoływało wspomnienia: szafa dębowa pomalowana w róże i słońca, firanki z nietoperzami powiewające od bryzy nadchodzącej co wieczór od jeziora. W fotelu bujanym obok małego biurka siedział jej ulubiony kościotrup. Mama dała jej go w prezencie na dziesiąte ludzkie urodziny. Wtedy też dowiedziała się, kim jest jej ojciec i jakim ona jest fenomenem. Znane w historii były tylko nieliczne przypadki, w których z połączenia dwóch ras, w tym jednej wampirze, rodziły się dzieci. Jako że była z ludzkiej matki, mogła bardziej niż inni odczuwać emocje, miała je wdrukowane. Jej ojciec musiał się ich uczyć przez wiele lat. Od niego otrzymała w spadku kły, potrzebę drenowania ludzi i zamięłowanie do krwi, jak również inne cechy wampirze. On dał jej tę ciemną stronę osobowości, z którą czuła się równie dobrze jak z ludzką.

Na półkach ułożone były książki o żywieniu wampirów, o demonach oraz romanse dla samic z gatunku człowieka. Jej koleżanki z klasy uwielbiały dyskutować wprost o kolejnych uniesieniach i tragediach z życia bohaterów. Mimo że była zdolna całkiem nieźle odczuwać emocje, nie rozumiała, co tak naprawdę budziło w nich taki entuzjizm. Ludzie mieli przekichane, te dylematy moralne i te niby tragedie życiowe. Zupełnie nie była w stanie tego zrozumieć. Emocje sterowały ludźmi do tego stopnia, że stawali się nieracjonalni. Chwyтали się każdej

chwili życia i wszystko było przerysowane. Najmniejsze wydarzenia, wręcz nic nieznaczące, potrafiły zachwiać ich wiarą czy miłością. To było coś, czego nie mogła pojąć. Ale z drugiej strony, gdyby ona miała przed sobą raptem sto lat życia, być może też by się tak zachowywała. Z jej perspektywy długowiecznego wampira życie ludzi było niewiarygodnie krótkie. Być może gdyby ona miała przed sobą zaledwie sto lat życia, też tak by się tym emocjonowała. Samce z gatunku ludzi były w tych książkach niesamowicie nudne i przewidywalne: albo złe i samice szalały — może to z powodu pociągu do drapieżników, albo romantyczne i grzeczne, w takim układzie pewnie samice okazywały się bardziej drapieżnikami i lubiły dominować w stadzie. Zerknęła jeszcze na obraz sprzed stu lat, wspominając, jak poprzedniego dnia, swoje lata w ostatniej klasie. „Dobra, bo znowu zaczynasz mieć jakieś jazdy emocjonalne, Brenda” — skarciła siebie w duchu.

— Pakuj się, mała. Czas wynieść się do świata Ametysty — powiedziała to na głos, żeby mocniej zmotywować samą siebie. Zawsze gdy przebywała dłużej u ojca, zaczynała się rozleniwiać, a nie lubiła siebie w takim wydaniu.

Wstała z łóżka i podeszła do szafki nocnej. Wysunęła szufladę, włożyła palec do otworu i pociągnęła za niego. W środku miała schowany swój bagaż. Oczywiście został zmniejszony do rozmiarów pozwalających na umieszczenie go w szufladzie. Wyjęła go i położyła na kocu w skrzaty.

— *Rov qab mus rau hauv daim ntawv ntawm txoj cai.*

Zakłęcie popłynęło z jej ust, natychmiastowo powiększając bagaż do właściwego rozmiaru. Zaczęła się pakować. Najpierw otworzyła szafę i wyjęła z niej pięć par spodni, wszystkie z pięknej skóry węża w trzech kolorach: zieleni, turkusu i czerni. Następnie jej ulubione gorsety. Zawsze czuła się w nich kobieco, choć niektóre z nich nie nadawały się do pracy, gdyż pochylenie się groziło zbyt dużym odsłonięciem ciała. Zabrała także trzy obszerne koszule z grubszej tkaniny oraz jedną bardziej przewiewną. Sięgnęła też po wieszak, na którym wisiały dwie sukienki założone jedna na drugą. Pierwsza z nich zawsze powodowała niezliczone komplementy, gdy Brenda ją na siebie zakładała. Druga zaś była zwyczajna. „Chyba dojrzewam” — pomyślała. „Pakuję sukienki, ja? Sama siebie nie poznaję”. Mimo swojej niechęci do tej spowalniającej ruchy części garderoby zdążyła już zaobserwować, że w niektórych rozmowach z mężczyznami łatwiej jest jej uzyskać informacje i oczekiwany rezultat, gdy ma na sobie sukienkę. Jej ojciec też dużo szybciej jej wybacza i robi te swoje ludzkie maślane oczy, gdy ją widzi w spódnicach. Dopakowała jeszcze ciepłą i chłodną pelerynę oraz przybory

toaletowe. Po chwili wahania zabrała też biżuterię na kły, ostatni krzyk mody, drobne szkiełka osadzone na bezbarwnym łańcuszku nakładane na jeden lub oba kły. Gdy uśmiechała się w dzień, słońce potrafiło błysnąć w jednym ze szkiełek. Wypowiedziała kolejne zaklęcie, które zmniejszyło bagaż do wygodnych rozmiarów podróźnych, zarzuciła na plecy letni płaszcz i wyszła z pokoju. W kuchni na stole zostawiła wiadomość dla ojca. Zamknęła ją w przeznaczonej do tego celu ramce. Gdy ojciec wejdzie do domu, na pewno zobaczy pulsujące światło ramy i odsłucha wiadomość.

Kochany tato. Mam nadzieję, że się nie pogniewasz, ale sprawy w świecie Ametysty wzywają. Być może będę kiedyś miała okazję poznać Twoją wampirzycę. Bawcie się dobrze.

Po nagraniu informacji do ramki zamknęła wiadomość, upewniając się, że jest bezpieczna, i wyszła z domu. Wieczór był przyjemny, po upalnym dniu była to miła odmiana. Niestety, do ziemi Ametysty nie można było podróżować na wiatrach. Poszła na ścieżkę, gdzie zdematerializowała się. Musiała pamiętać, aby używając tej drogi, mieć zawsze w głowie dokładny obraz punktu docelowego, inaczej mogłaby wylądować wszędzie albo, co gorsza, pomiędzy wymiarami lub światami. Stamtąd nie było możliwości powrotu.

Zmaterializowała się przy nowo otwartej bramie do wymiaru zwanego kiedyś niebieskim. Teraz był to wymiar Ametysty. Przed bramą stało dwóch pomniejszych magów i dwóch członków armii rekrutowanych z niedoszłych Wików.

— Pani Brendo — odezwał się jeden z magów. — Czy mogę prosić o hasło do przejścia?

— Nie mam hasła. — Była lekko zdziwiona, że brama jest aż tak strzeżona.

— Niestety, jest ono niezbędne, byśmy mogli panią przepuścić.

— Nie macie tu jakiegoś spisu uprawnionych?

Gwardzista, który stał po prawej stronie od wejścia, szturchnął w bok młodego maga. Mag spojrzał tylko na kolegę z ukosa, dając do zrozumienia, że nie życzy sobie takiej formy komunikacji.

— Chwileczkę. Proszę zaczekać, pójdę sprawdzić. Być może przyszło coś

ostatnim transportem.

Mag wydawał się lekko podenerwowany. Poszedł w kierunku niewielkiego beżowego namiotu, który był w zasięgu wzroku. Zniknął za zasłoną na kilka minut. Z punktu widzenia Brendy na kilka bardzo długich minut, jako że nie należała do cierpliwych. Następnie wyszedł z promiennym uśmiechem. Właściwie wybiegł. Jego oczy nie zdradzały takiej wesołości.

— Pani Brendo, oczywiście jest pani uprawniona. Miło mi poznać kolejną z rady trzech.

Brenda uniosła wysoko brwi, a usta rozwarły się bezgłośnie.

— Z rady czego? Jakiej rady?

— Proszę, szanowna pani Brendo. — Ukłonił się całkiem elegancko i podał jej rulonik zawiązany magicznym zaklęciem, które mógł otworzyć tylko ten, do kogo była skierowana wiadomość. Przez papier przebijała również pieczęć króla. — To dla pani od Jego Wysokości.

Brenda otworzyła pergamin, łamiąc przy tym zaklęcie. Była na tyle zaskoczona, że nie miała ochoty na subtelności ani rozsypywanie zaklęcia, więc je po prostu złamała.

Brendo,

ze względu na Twe zasługi oraz zdolności magiczne postanowiłem w porozumieniu z Arymanem nadać Ci tytuł trzeciej z rady. Dbaj, proszę, o nasze nowe ziemie. Obserwuj potencjalne ruchy demoniczne. Do tego grona zarządców zostali nominowani Cleo, Karl i Ty. Max będzie odpowiedzialny za bezpieczeństwo, przynajmniej tymczasowo. Mam nadzieję, że mimo widocznych waszych kłopotów będziecie umieli współpracować dla dobra naszego ludu.

Via Vay They

VIK MVXII

„No po prostu fantastycznie, kolejny facet uzurpuje sobie prawo do dysponowania moim czasem i planami. Czy ja mam na czole napisane: «Decyduj za mnie bez mojej wiedzy?»” — piekliła się w myślach.

— Dziękuję ci, magu.

— Proszę wejść, pani Brendo. Osada pani Cleo jest po prawej stronie, jakieś trzy kilometry od granicy. Natomiast pan Max znajduje się z magami w rejonie pagórków, to jakieś dwadzieścia kilometrów stąd. Rozłożyli tam obóz. Zapewne ucieszy się na pani widok.

Brenda skinęła tylko głową i weszła przez wrota wymiaru.

— Czy oni wszyscy nie mogą zająć się swoim życiem? Co mnie interesuje, gdzie jest Max. Czy wszyscy w tym zasranym królestwie czytują te głupawe „Wieści i Plotki z Życia Magów”? To już niby wszyscy wiedzą, że jestem albo zaraz nie będę z Maxem? Czy żadna istota nie ma prawa do tajemnic? — burczała zdenerwowana pod nosem.

Była na tyle poirytowana, że niekontrolowanie wysunęły jej się kły, a twarz przybrała niebieskawy kolor. Przy jej obecnie zielonych włosach Brenda nie wyglądała zbyt zachęcająco. W oddali dostrzegła kilkanaście chatek ustawionych w okręgu. Z kominów wydobywały się cienkie strużki szarego dymu. Poszła powoli w tamtym kierunku. „Szybko się uwinęli” — pomyślała. „Nawet drogi zrobili”. Ścieżka, tak samo jak ta przed pałacem Vika, wskazywała, kim jest stąpająca po niej istota. Wampirze ślady pozostawały grafitowe.

XVI

Max siedział na półpiętrze dopiero co powstałego budynku. Magowie przysłani przez Vika wykonali kawał dobrej roboty. Budynek został zbudowany z niebieskiego drewna. Duże okna i przeszkłony częściowo sufit wpuszczały sporo słonecznego światła. W części sypialnej, na drugim piętrze, przeszkłonych powierzchni było znacznie mniej. Na parterze główne wejście prowadziło bezpośrednio do gospody i karczmy w jednym, choć na chwilę obecną nie miał kto jej prowadzić. Stoły w odcieniu niebieskoszarym, poustawiane pod ścianami, dawały przestrzeń i nadzieję na wiele upojnych nie tylko od wina i koki wieczorów. Półpiętro przeznaczono głównie dla ważnych gości oraz dla niego i magów. Sala została zabezpieczona w szczególności przed wścibskimi. Pomieszczenie było otulone wieloma zakłębieniami, tak by rozmowy tam prowadzone nie wypłynęły przez przypadek i nie przedostały się do nieuprawnionych uszu.

Max siedział rozparty na szerokim skórzanym fotelu i przyglądał się kominkowi, który wyglądał oszalamiająco. Przebiegał przez cały dom osłonięty jedynie specjalnym smoczym szkłem, które stanowiło jeden z najdroższych materiałów wykorzystywanych w budownictwie. Wnętrze komory było bardzo przestrzenne, prawie tak duże jak to na zamku Vika. Cała konstrukcja nie miała nigdzie płyty paleniskowej. Na każdym piętrze, lub w tym przypadku półpiętrze, płonął biały ogień. Oczywiście, jedną z cech tego niesamowitego dzieła było to, że magiczny ogień po prostu wisiał w powietrzu w odpowiednim miejscu. Po lewej stronie od niby paleniska wisiały obrazy Ametysty, jak również innych sławnych postaci z Kotaliny, oprawione w wysadzane kamieniami ramy. Obok jego fotela stała podręczna komoda pełniąca również funkcję stolika kawowego. Światła zawieszane tuż pod sufitem wydawały się przyciemnione i zawieszane w próżni. Płomienie pokrywały pomieszczenie żółtawym blaskiem, co w połączeniu z niebieskim drewnem dawało kojący zielony odcień. Podłoga została wyłożona dywanami przywiezionymi zapewne od ludu upadłej królowej Pesty. Misternie wyszywane runami, dawały dodatkowe magiczne wzmocnienie tego pomieszczenia. „Fałszywie kojąca magiczna twierdza” — pomyślał. Max podszedł do barierki znajdującej się na półpiętrze. Stamtąd było widać całą gospodę dostępną dla... no właśnie, dla kogo? Przecież w promieniu dwudziestu kilometrów nie było tu ludzi. W najbliższym czasie raczej nie spodziewali się na tym terenie karawan ani wędrowców. Pośrodku sali głównej pięły się okrężne schody, wykonane również ze smoczego szkła. Prowadziły na górę, do pokoi gościnnych. Ktokolwiek udawał się na spoczynek lub w odwiedziny, był na widelcu, a szansa pozostania niezauważonym prawie równała się zeru. Magowie przygotowali miejsca dla ponad stu dwudziestu osób, co również było niezrozumiałe dla Maxa

— przecież w gospodzie pozostawało ich zaledwie sześciu. Może magowie wiedzieli coś, o czym on nie miał pojęcia, i postanowili zawczasu się na to przygotować. Max obejrzał się za siebie i przyjrzał się ponownie mapie, którą dostał od Ametysty. Czarownicy usytuowali ją w rogu po przeciwnej stronie od kominka. Na podwyższeniu wykonanym z jakiegoś nieznanego Maxowi materiału trójwymiarowa mapa kanałów obracała się wokół własnej osi. Dzięki temu prostemu zabiegowi magicznemu można ją było obejrzeć dokładnie z każdej strony.

Przez drzwi gospody wszedł Archer. Przynajmniej Maxowi wydawało się, że to był on. Magowie pracujący dla zakonu Futura mieli niezrozumiały i irytujący zwyczaj ujednolicania swojego wyglądu. Mimo swoich niezwykłych zmysłów Max musiał się przy nich za każdym razem zastanawiać, czy ten, którego widzi, jest tym, o którym myśli, że to ten.

— Archerze? — krzyknął zza balustrady.

— O, Max! Widzę, że się rozgościłeś. Podoba ci się? Wiesz, nie chcieliśmy przesadzić. W końcu Vik mówił, że ma być prosto i skromnie, no wiesz, bez przepychu.

— He, OK. Znamy w takim razie inne definicje słowa „skromnie”. Ale jak dla mnie bomba. Choć zastanawiam się — dodał rozbawiony Max — na demona, po co nam pokoje na ponad sto osób? Robimy jakąś imprezę, o której nic nie wiem?

— Mówisz, że przesadziliśmy? — zapytał kokieteryjnie Archer. — A co do liczby pokoi, to ma przybyć około dwudziestu zwiadowców. A jak wiesz, za zwiadowcami i przygodami ciągną inni. Oczywiście obaj wiemy, że nie wolno im przebywać w wymiarze bez zgody króla, ale obaj też wiemy, że niektórzy naprawdę są mistrzami w osiąganiu swoich celów i hm... jakby to nazwać... przekonywaniu, nie tylko słownym, strażników, że powinni wejść. A strażnicy — puścił do Maxa oko — bywają mało wytrwali w swych postanowieniach uczciwości. No i na wypadek gdyby tak się zdarzyło, nie możemy im pozwolić na nocowanie pod gołym niebem, prawda?

— Widzę, że jesteś bardzo na czasie z rzeczywistością. Przyznam, że to miłe zaskoczenie. OK, założmy, że to, co mówisz, jest nieuniknione. Przyszła mi do głowy taka przyziemna myśl: kto im ugotuje, kto posprząta pokoje?

— Ha, ha, ha. No ładnie. Wilk zagiął mnie pytaniem. OK, może nie jesteśmy aż tak przyziemni. Nie pomyśleliśmy o tym. Zawsze nasze potrzeby załatwiały zaklęcia, ale marnowanie ich na tabuny ludzi i innych przybyłych rzeczywiście nie miałyby sensu.

— A jednak jesteście oderwani od rzeczywistości! — zaśmiał się zadowolony z siebie Max. — Uważam w takim razie, że powinniśmy sprowadzić homogobliny i duszki leśne. Są nieocenione w kwestii porządku i pracy.

— OK, skrzaty domowe rozumiem, ale po co duszki leśne? One są niewiarygodnie wkurzające.

— W gildii brakuje dla nich miejsca. Tak im tam dobrze, że za niedługo zaczną je wyciągać z tyłka i Re tylko wie skąd jeszcze. Namnożyły się tak, że w powietrzu głównie słychać drażniące brzęczenie skrzydełek. Pomyślałem, że tym subtelnym i bezwysiłkowym gestem możemy zdobyć przychylność gildii.

Archer przyglądał się Maxowi z niedowierzaniem.

— Max, nie zapędzaj się, proszę. Na mój oderwany od rzeczywistości rozum coś bredzisz. O co tak naprawdę chodzi z tymi duszkami?

— No dobra, już. Ametysta zawsze mówiła, że chciałyby znaleźć im inny dom. Gildia byłaby nam dożgonnie wdzięczna, uwierz mi. Taka liczba brzęczących skrzydełek na małym terenie bywa niesamowicie upierdliwa.

— No dobrze, wilku z sercem owieczki, to ja zajmę się tymi skrzatami, a ty tymi duszkami. Upewnij się tylko, czy Vik wyraża zgodę — powiedział Archer.

— A, wyjadę na kilka dni, muszę pojawić się u Cleo i w takim przypadku też w gildii. Rozumiem, że dacie sobie tu radę beze mnie?

— No nie wiem, już zaczynam tęsknić. — Archer odwrócił się, pomachał Maxowi i wyszedł.

W czasie gdy Max szykował się do drogi, skontaktował się z Vikiem i poprosił o zgodę. Król nie był nastawiony zbyt entuzjastycznie do homogoblinów, ale po chwili namysłu zgodził się. Co do duszków leśnych był nawet z pomysłu zadowolony. Arcymag od jakiegoś czasu nękał go żądaniem rozwiązania problemu tych stworzeń. Podobno stały się nieznosne i irytowały nie tylko magów w gildii,

ale także siebie nawzajem. Ich ogromna liczba na małej powierzchni była przyczyną wielu wyrwanych skrzydełek, podartych spódniczek, podbitych oczek, a nawet złamań kończyn.

Max spakował kilka niezbędnych rzeczy do torby, zamienił się w wilka i ruszył w stronę drzwi. Wolał podróżować w tej formie. Otworzył drzwi łapą uzbrojoną w imponujące pazury i wyszedł na zewnątrz. „Chyba muszę sobie sprawić wilczy plecak” — pomyślał. „Niewygodnie mi tak to trzymać w zębach”. Zaczął biec. Jego futro falowało na wietrze. Źrenice jego wielkich żółtych oczu zwężyły się, na zewnątrz było bowiem jeszcze bardzo jasno. Czuł się wolny w swoim ciele. Ametysta otaczała go przy każdym kroku, a on wyczuwał jej obecność.

XVII

— Karl?! — zawołała Cleo przez uchylone okno. — Karl! Chodź tu na chwilę, proszę.

Karl wyszedł z zagrody, która zwyczajnemu obserwatorowi wydawała się pusta, zamknął za sobą furtkę i wszedł do domu.

— Jestem! — rzucił od drzwi.

— Chodź, po pierwsze, jakbyś mógł mi otworzyć tę skrzynię. Muszę poukładać wszystkie eliksiry, zioła i nalewki, a żeby to zrobić, muszę mieć półki. Rozumiesz? Półki, które miały tu być, i odpowiednio zamykane szafy. Po drugie, obiecałeś mi, że piwnica będzie gotowa. Tak jest gotowa, że pod podłogą mam jedną wielką dziurę z masą ziemi, która nie została usunięta. Możesz mi to łaskawie wytłumaczyć, dlaczego tego nie przypilnowałeś?

— Widzę, że moja Cleo nie ma dzisiaj humoru. — Podeszedł i cmoknął ją w czoło. Nie miał odwagi jej objąć. Nawet mało wprawne oko zauważyłoby, że jest wściekła.

— Nie podlizuj się. Ja naprawdę muszę mieć te rzeczy. To tylko kropla w morzu potrzeb w tym świecie. Za stara jestem na to. Jestem zmęczona, sfrustrowana i zła, że się zgodziłam. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale to przez ciebie. — Cleo pocierała spódnice, jakby chciała wytrzeć w nią mokre dłonie.

— Dobra, nie będę się podlizywał, jak to nazywasz. Obiecuję, że do wieczora zrobię wszystko i dokończę te rzeczy. A teraz siadaj jak grzeczna dziewczynka, przygotuję późne śniadanie. Potem ty pójdziesz sobie na łąki zbierać zioła, a gdy wrócisz, wszystko będzie skończone.

Cleo popatrzyła na niego już mniej morderczym wzrokiem i usiadła. Zdjęła fartuch i oparła się łokciami o stół. Głowa opadła jej ciężko na dłonie, które podtrzymywały jej brodę z pełną determinacją. Na stole stała ramka z obrazem jej córki. Wyglądała na nim na taką szczęśliwą. Wzięła obrazek do ręki, a ciepłe łzy popłynęły jej po policzkach.

— Karl, jak ja za nią tęsknię. Mam wrażenie, że moje serce rozsypuje się na drobne kawałki. Boli mnie skóra, paznokcie, nawet włosy. Wszystko wokół mnie jest takie nierzeczywiste, jakbym żyła, ale nie naprawdę. Boli mnie, gdy

oddycham, nie mogę myśleć. Nie umiem sobie z tym poradzić. Tak bardzo chciałabym z nią porozmawiać, tak mi jej brakuje. Cały czas mam wrażenie, że zaraz się tu pojawi. Wiesz, przed śmiercią opowiadała mi, że się zakochała. Nawet nie miałam okazji go poznać. Mówiła, że ma na imię Max czy jakoś tak, że jest mieszańcem wilka i inkuba. Tyle jeszcze mogła przeżyć. Nie wiem nawet, czy zdążyłam jej pokazać, jak bardzo ją kocham, czy wybaczyła mi te kłamstwa. Karl...

Łzy płynęły strumieniami po policzkach. Nie było szlochu, ciężkiego oddechu ani zanoszenia się płaczem. Płakały jej ciało i dusza. Karl zostawił przygotowywanie śniadania, podszedł do Cleo i zaniósł ją na rękach do salonu. Usiadł na kanapie i położył jej głowę na swoich kolanach. Z oparcia ściągnął koc z nici meferii i otulił nim obolałe ciało Cleo. Łzy nadal płynęły. Delikatnie głaskał ją po głowie. Otoczyła ich cisza. Bezimienna, bezemocjonalna, pusta cisza.

Gdy ciało zachowuje się jak jedna wielka rana, a dusza cierpiącego człowieka zapada się w sobie, nikt czasu nie liczy, bo też przestaje on płynąć. Z odrętwienia i apatii wyrwało ich pukanie do drzwi.

— Dzień dobry! — odezwał się kobiecy głos.

Karl delikatnie uniósł głowę Cleo. Wstał i powolnym krokiem ruszył w kierunku hebanowych drzwi. W tym czasie Cleo wypełzła spod koca i poszła w kierunku łazienki, żeby doprowadzić się do porządku. W zasadzie nie obchodziło jej, co pomyślą inni, ale musiała wyglądać dla niej, dla swej kochanej Ametysty. Ta ziemia była nazwana jej imieniem, a ona miała szansę w ten sposób uhonorować własną córkę.

— Tak? — spytał Karl, otwierając drzwi.

— Dzień dobry. Przepraszam, czy jest pani Cleo?

— Tak. A kto pyta? — Karl był zirytowany. Był to zdecydowanie nieodpowiedni moment na przyjmowanie gości.

— Proszę wybaczyć, czuję, że przeszkadzam. Mam na imię Brenda. Jestem... proszę. — Wręczyła mu rulon z prześwitującą pieczęcią Vika. — Tu jest wszystko wyjaśnione.

Karl rozwinął papier i przeczytał akt nadania. Popatrzył na zielonowłosą, drobną kobietę, przy okazji lustrując ją od czubków palców do czubka nosa.

„Wampirzyca Arymana” — pomyślał.

— Proszę, niech pani wejdzie. — Otworzył szerzej drzwi, pozwalając jej wejść do środka.

Dość często zdarzało się, że ten gatunek nie mógł przekroczyć progu chronionego silną barierą rodziny. Karl nie był pewny, czy jego więź z Cleo była wystarczająco silna, by uniemożliwić wejście wampirowi. Jednak nie miał ochoty teraz tego sprawdzać.

— Proszę podać mi bagaż. Kawy?

— Kofeę, jeśli mogę prosić — odpowiedziała, rozglądając się po pokoju. Naprzeciw niej wisiał obraz z wycinkiem najnowszej historii Kotaliny. Ametysta w dostojnej szacie maga, a w tle unoszące się zarysy demonów z ostatniej bitwy. Brenda miała wrażenie, że postać przyglądała się jej z zainteresowaniem.

Karl wrócił z gorącym napojem i usiadł naprzeciwko Brendy w fotelu z aksamitnego materiału w kolorze khaki. Cleo zdążyła się już doprowadzić do, jak to mawiała, „stanu używalności publicznej”. W łazience wygładziła włosy, zmniejszyła swoimi naparami ziołowymi opuchliznę na oczach i połknęła kilka skondensowanych kropel ziół uspokajających, ale nie spowalniających umysłu. „Dlaczego te zioła muszą być takie obrzydliwe?” — pomyślała.

— Witaj, Brendo. Miło mi cię znowu widzieć. — Uśmiechanie na zawołanie nie wychodziło jej zbyt dobrze. — Co cię sprowadza do ziemi Ametysty?

— Pokazałam już Karlowi... Proszę, zobacz.

Wyciągnęła papier i podała go Cleo. Twarz zielarki pozostała bez wyrazu. Złożyła akt nadania i oddała go właścicielce.

— Vik mi nic o tym nie wspominał. Nie mam gdzie cię ulokować.

— Tobie jak tobie. Ja się dowiedziałam dopiero przy wejściu przez bramę. Jak widać, umknęło mu, aby i mnie poinformować. Co do lokum dam sobie radę. Na kilka dni mogę wyczarować gdzieś z boku kapsułę ochronną. Gdybym mogła jednak przez te dni korzystać z kuchni i łazienki, to będzie OK.

— Absolutnie, jedna z rady nie może mieszkać w kapsule. Chyba się nie przedstawiłem. Jestem Karl, ojciec Ametysty, i wybranek tej tu oto naczelnej rady, Cleo. Miło mi cię poznać. Przepraszam, kolejne faux pas. Czy mogę mówić po imieniu?

— Oczywiście, że tak. Mnie również miło.

— W takim razie zostań z nami przez te kilka dni, zanim nie wybudujemy ci domu. Masz jakieś preferencje?

Brenda lekko zbaraniała. Nigdy nikt nie pytał jej o preferencje. Z drugiej strony zawsze miała wysoki standard zapewniony ze względu na pełnione funkcje, więc tak naprawdę nie wiedziała, o co mogłaby prosić.

— Karl, dasz mi chwilkę? Nie spodziewałam się takich pytań na dzień dobry, lekko mnie zaskoczyłeś. Cleo, oprowadzisz mnie po okolicy? Chciałabym zobaczyć, jak się urządziliście. Teren znam, jako że to ja byłam jednym ze zwiadowców, którzy pierwsi badali ten obszar.

— Karl, jakbyś mógł dokończyć to, o co cię prosiłam, zanim wrócimy — rzuciła porozumiewawczo Cleo.

— A śniadanie?

— Przygotuj o jedną porcję więcej, zjemy w trójkę. Zapowiada się ładny dzień — zwróciła się do wampirzycy. — Idziemy?

Cleo wzięła swój przybornik do ziół i ruszyła w głąb osady.

— Pokażę ci wszystko, a w domu opowiem więcej. Nie wszystko przeznaczone jest dla uszu mieszkańców. Pójdziemy też do zielnika, ale tam nie wolno ci wejść ani przekroczyć magicznej bariery.

— OK, a dlaczego?

— Słonko, jesteś martwa. Zioła są bardzo delikatne i wrażliwe na śmierć. Jeśli je zainfekujesz swoją obecnością i magią, zmieniają właściwości, a wtedy lecznicze napary mogą stać się przyczyną nawet wymarcia całego miasteczka.

— Obiecuję, że będę się trzymała od zielnika z daleka.

Całe miasto było ułożone w kształt słońca, pośrodku znajdował się wielki plac z wypływającym znikąd małym wodospadem. Dokoła poustawiano ławeczki i stragany, wszystko tworzyło harmonijnie kolejne okręgi. Od placu odchodziły drogi, imitując promienie słoneczne. Pod stopami chrzęścił żółty piasek. Wszystkie domy charakteryzowały się podobną konstrukcją. Każdy miał mały trawnik przed wejściem i malutki, trzydziestocentymetrowy płotek pomalowany na biało. Fasady budynków były zrobione z żółtego piaskowca, a brązowe framugi okalały duże okna. Większość domów miała półtora piętra. Lekko faliste dachy odbijały promienie, kierując je na wschód. Z tej odległości widać było wieżę, która zasysała odbite światło. Masa płynącego światła tworzyła delikatną permanentną tęczę nad miastem. Tu i ówdzie rosły karłowate drzewa z niebieskimi liśćmi.

Każda uliczka miała swoje przeznaczenie. Ludzie zostali podzieleni ze względu na zawody i preferencje, dzięki czemu w tak krótkim czasie udało się stworzyć małe społeczności, które współpracowały ze sobą, miały jeden cel: zbudować nowy, lepszy wymiar. Kiedy dotarły do końca uliczek, Brenda ujrzała piękną przestrzeń, a na jej krańcu falujący niebieski las. Po prawej stronie wyrastał zespół kolejnych zabudowań. Były to zakłady małej chałupniczej produkcji oraz zagrody dla zwierząt. Wyglądało to mniej kolorowo, ale nadal schludnie i elegancko. Ktokolwiek projektował tę osadę, miał wizję. Poszły w przeciwnym kierunku, krocząc po drodze wyznaczającej kolejny okrąg. Przy mniej więcej piątej odnodze im oczom ukazał się dorodny ogród, w którym rosły wszelkie możliwe rośliny, owoce i warzywa. Gdy szły dalej, jak spod ziemi wyrósł srebrny, misternie rzeźbiony płot. Na samej górze znajdowały się runy mające strzec przed wtargnięciem niepożądanych osób na chroniony przez niego teren.

— To mój ogród, Brendo. Proszę, dochowaj obietnicy.

Brenda, idąc dalej, skinęła w milczeniu głową. Nie planowała łamać danego słowa, ale najwyraźniej to potwierdzenie było dla Cleo ważne. Dlatego pozostała w bezpiecznej odległości, gdy jej towarzyszka zbierała potrzebne jej zioła i nasiona. Kiedy dotarły do końca okręgu, były tuż obok domu Cleo. Teraz dopiero Brenda mogła zauważyć, że ten wyróżniał się przede wszystkim wielkością, był przynajmniej o piętro wyższy od pozostałych, różnił się również rozmiarem ogródka i liczbą kwiatów w nim zasadzonych. Weszły do środka zwabione zapachem wydobywającym się przez uchylone kuchenne okno. Spacer okazał się dłuższy, niż Brenda się spodziewała. Cleo i osadnicy wykonali ogrom pracy i to w tak krótkim czasie. Brenda była pod wrażeniem, a do tego głodna, zaś kuszące zapachy dolatujące z kuchni tylko wzmogły jej apetyt. Nawet gdyby próbowała to

ukryć, jej żołądek wydawał dźwięki niepozostawiające żadnych wątpliwości.

— Zaczekaj chwilę, Brendo. Muszę zabezpieczyć zioła. Jesteśmy! —
zawołała Cleo, odkładając koszyk z daleka od Brendy do kryształowej szafki.

— Długo was nie było, więc zaszalałem z kreatywnością i zrobiłem
śniadanie dla czworga. Mamy jeszcze jednego gościa. Max, wróciły, możemy
wreszcie zjeść.

XVIII

W sali audiencyjnej było cicho jak makiem zasiał. Mesta odbyła już wszystkie ważne narady, a po święcie mężczyzny nie został nawet ślad dekoracji. Wszystko wróciło do normy. Królowa czarodziejka była w nijakim nastroju i nie miała najmniejszej ochoty na żadne rewelacje. Jednak rządy tak specyficznym królestwem jak to wymagało poświęceń i odłożenia na bok własnych potrzeb. Do komnaty właśnie wszedł Dradon ze schyloną głową. Szata, którą dostał z okazji święta, była wyraźnie źle dopasowana i nie wyglądał w niej zbyt dobrze. „Chyba muszę zawołać krawcową. Mężczyzna, nie mężczyzna, jest u mnie na dworze. Nie mogę pozwolić, by wyglądał jak siódme dziecko stróża” — pomyślała.

— Dradonie? — zawołała, gdy miał właśnie opuścić salę po tym, jak ustawił owoce i napoje na bocznym stoliku, obok kotła.

— Tak, pani? — stał zestresowany, co było nad wyraz dziwnym zachowaniem z jego strony.

— Czy coś się stało? — mówiła spokojnie i równo. Dradona aż przeszedł dreszcz, bo ten głos i ten rytm mówienia nie wróżyły nic dobrego. — Wyglądasz na spiętego.

— Jaśnie pani, dziękuję za troskę. Po prostu źle spałem.

— Mhm. Poproś o wydanie materaca na twoją półkę skalną. Nie chciałabym, abyś był niewyspany. Sprawdzasz się jako moja służba, a o tych, co się starają, trzeba dbać, nieprawdaż?

Dradon tylko milczał, stojąc z głową pochyloną i ze spuszczonego wzrokiem.

— Przygotuj, proszę, nadzorcynie z kolonii chłopców na moją wizytę. Słyszałam, że osłabło im morale. Przekaż, że pojawię się jeszcze w dniu dzisiejszym.

— Tak, pani.

Stała tyłem do wejścia, przez dłuższy czas wpatrując się w nowy obraz, który umieściła w oknie. Suknia Mesty opadała, delikatnie oplatając jej ciało na wysokości piersi. Najważniejszym elementem sukni był jej brak na wysokości

dekoltu. Migocące kryształy dodawały naturalnego blasku i magazynowały moc, która stanowiła pewnego rodzaju rezerwę. Jej krótkie, choć zgrabne nogi prześwitywały przez delikatny materiał. Podeszła do wnęki skalnej, gdzie wisiała jej peleryna. Wyciągnęła z szafy tę cieplejszą. Poza jej grotami temperatura była znacznie niższa.

— Dradonie?! — Jej głos rozszedł się echem po grocie. — Dradonie?!

— Tak, pani, proszę wybaczyć, już jestem. Powiadomiłem już Katię, że zechcesz ją zaszczyścić swoją obecnością.

— Ruszajmy więc.

Dradon starał się nie dać po sobie poznać mocnego zdenerwowania. W środku odczuwał kołowrotek emocjonalny. Z Katią znali się nie od dziś i razem z nią oraz Noemi byli przywódcami ruchu przeciwko Meście, o czym ona, dzięki Re, na razie nie wiedziała. Szli wśród śliskich i zimnych skał, które zostały przez lata poszerzone na tyle, by móc pełnić funkcję wygodnych pasaży. Wszystkie zaś łączyły się w pewnym momencie z grotą główną, gdzie przede wszystkim toczyło się z pozorów normalne życie. Stragany i ludzie ubrani i ozdobieni wszelkimi barwami, jakie tylko można było sobie wyobrazić. W tych szarych skałach kolor stał się oznaką przetrwania i radości. Twarze kupców rozpromieniały uśmiechy, a z oddali słyhać było perliste śmiechy kobiet. Gdyby nie otoczenie zimnych skał, ktoś mógłby odnieść wrażenie, że przebywa w niebie. Przeszli do kolejnego tunelu, który doprowadził ich do doliny, gdzie mieszkały jednorożce oraz chłopcy w sąsiadującym z nią obozie. Dolina była zjawiskowa i gdyby nie sytuacja, pewnie wszedłby do niej, aby poleżeć na prawie prawdziwej trawie i popatrzeć, jak te białe, zapierające dech w piersiach zwierzęta w spokoju przechadzają się po łące. Niestety, to nie miało dziś nastąpić. Wraz z Mestą stał przed szarymi wrotami, na których wyryto srebrne runy. Masywne drzwi wykonano z drewna, którego tu, pod ziemią, było jak na lekarstwo. Mesta dotknęła drzwi, wypowiadając zaklęcie:

— *Kuv qhib lub nkag mus rau lub hauv paus chaw huaj lwm ntawm kev phem.*

Z jej ust wypłynęły smugi światła. Runy rozbłysły słabą zielonkawą poświatą. Zza drzwi słyhać było otwierające się magiczne rygle i zasuw. Dradon po raz pierwszy stał u progu obozu dla chłopców. Poza ogarniającym go strachem czuł narastający niepokój. Gdyby nie jego rozsądna matka, mieszkałby teraz tutaj, a dokładniej mówiąc, wegetowałby. To byłby jego dom. Wrota rozwarły się powoli i

ociężale. Zamiast wnętrza kolonii, której się spodziewał, ukazała im się czarna kurtyna przesłaniająca wszystko, co mogłoby się znajdować na widoku. W ten sposób królowe chroniły obóz przed przypadkowymi ciekawskimi. Gdy oboje weszli do środka, brama zamknęła się równie cicho, jak się rozwarła, a czarna kurtyna się rozwiała. Oczom Dradona ukazał się widok, którego miał nie zapomnieć do końca swojego życia. Jak okiem sięgnąć, wszędzie stały rzędy równych szarych domków wzniesionych z odchodów, papieru i innych odpadków. Temu widokowi towarzyszył odór, od którego zakręciło mu się w głowie. Wszystko, na co spojrzął, było stare, zniszczone lub w trakcie rozkładu. Co chwilę spokojnym krokiem i ze spuszczoną głową przechodzili obok niego chłopcy, wszyscy odziani w szare, obwisłe lub za małe ubrania. Choć może to określenie było na wyrost, bo bardziej wyglądały one jak siatki. Dradon zastanawiał się, czy przypadkiem ich odzienie nie nadawało się już tylko do spalenia, bo było za brudne nawet na szmaty. Chłopcy mali i duzi, choć w większości niewielkiego wzrostu i bardzo drobnej postury, nie mieli paznokci ani włosów. Być może im wypadły lub zostały wyrwane. Okrucieństwo kobiet było powszechnie znane. Rozglądał się po obozie z przerażeniem. Nie zauważył, że Mesta z satysfakcją obserwuje go kątem oka. Kącik jej ust lekko drgał, ukazując przejaw jej zadowolenia. Wzrok Dradona pobiegł w kierunku alejki, po której bokach były poustawiane rudery, zapewne zwane przez tych chłopców domami. Ani on, ani Mesta, ani nawet Katia nie pasowali zupełnie do tego miejsca. Katia sunęła z promiennym uśmiechem w wielobarwnej szacie. Jej ubranie drastycznie odcinało się od szarości spowijającej to miejsce. Wyglądała jak anioł, który został zesłany, by dawać radość i szczęście. Dradon wiedział, że dziś może zobaczyć jej drugie oblicze. To, które dawało ból i cierpienie. To, które służyło Meście i innym jej podobnym.

— Katio, moja kochana, wyglądasz zjawiskowo. — Mesta rozwarła ramiona, aby uścisnąć czarodziejkę.

— Mesto, ty również wyglądasz nadspodziewanie pięknie po tak meczącym dniu. Dzisiaj miałaś dzień audiencji, prawda?

Królowa machnęła dłonią od niechcenia, zanosząc się perlistym śmiechem.

— Kochana, nie było aż tak źle! — objęła Katię i odeszła kilka kroków od Dradona, który w obecności Katii starał się zachować pozory obojętności. Stał ze wzrokiem wbitym w ziemię, modląc się, żeby nie wyszedł na jaw ich plan. — Powiedz mi, kochana, bo dochodzą mnie słuchy, że panuje tu niezdrowa atmosfera spokoju. Słyszałam, że piece nie działają pełną parą. Gołym okiem widzę, że nasz obóz jest przepełniony. Groty nie pozwalają na powiększenie terenu. Czyżbyś stała

się miękka jak moja siostra? A może i ty jesteś w ciąży? Ostatnio czarodziejkom ciąży odbiera rozum. Słyszałaś, że ona chce zachować swojego syna po urodzeniu? — Mimo ciepłej barwy i radosnego wydźwięku głos Mesty niósł w sobie ostrzeżenie. Nieposłuszeństwo podwładnych, nawet czarodziejek, było karane chłostą.

— Mesto, rzeczywiście piece zostały wyłączone. I faktycznie mamy tu sporo nowych, jednak nie martw się, to tylko kwestie techniczne. Wiesz, już ponad trzydzieści lat nie robiłyśmy przeglądu. Dlatego piece zostały zatrzymane. Jakżebyś mogła się spodziewać u mnie miękkiego serca po tym wszystkim, czego byłaś świadkiem lata temu.

— Rozumiem. Kiedy planujesz je uruchomić? Nie chcę, aby była szansa na rozprzestrzenienie się tej zrazy, a nie daj bóg, by wpadli na pomysł buntu. Przyglądając się im, mam wrażenie, że czują się tu prawie dobrze. Chyba za bardzo im odpuściłaś. Nie czuję tu strachu, a jedynie smród zgnilizny i odchodów.

— Moja kochana królowo, być może chłopcy mają nadzieję, że nie włączymy pieca, dlatego tak spokojnie poruszają się po terenie. Zapewniam cię, że się myślą. Zresztą miałyśmy uruchomić piece dziś wieczorem. Jeśli zaczekasz chwilę, zrobimy to szybciej, żebyś mogła zobaczyć. Co ty na to?

— Fantastyczny pomysł! — klasnęła z radości. — Mam nadzieję, że mnie nie zawiedziesz. — Puściła do niej oko, szczerząc nie do końca białe zęby. — Zaprowadź mnie, proszę, gdzieś, gdzie nie śmierdzi tymi odchodami i moczem. Naprawdę nie wiem, jak ty możesz wytrzymać w tym smrodzie, otoczona tymi pętkami.

— Chodź ze mną, zaprowadzę cię do domu strażniczek. Na pewno ucieszą się na twój widok. To wielki zaszczyt, że nas odwiedzasz.

Mesta zamasyście odwróciła się i podeszła do Dradona. Objęła go w pasie, następnie jej dłoń zjechała na jego pośladek.

— Czyż to nieekscytujące, Dradonie? — szepnęła mu do ucha. — Jestem rozpalona do granic możliwości. To miejsce jest takie podniecające.

Dradon modlił się w duchu, żeby nie zwymiotować. Ta głupia suka miała ochotę na figle. W miejscu, w którym mordowano niewinnych chłopców i traktowano ich gorzej niż bydło. Była odrażająca.

Czuł, jak jej ręka wędruje po jego pośladkach. Czuł, jak serce Mesty zaczyna bić szybciej, a temperatura jej skóry wyczuwalnie się podniosła. Jej oczy zaczęły błyszczeć znacząco, a klatka piersiowa unosić się rytmicznie. Stała naprzeciw niego i przywarła do jego ciała w sposób, który wręcz uniemożliwił mu oddychanie. Swoją dłoń położyła na jego członku, który nie zareagował. Przekręciła głowę lekko poirytowana, pocierając jego krocze coraz bardziej zmysłowo. Dradon nie był w stanie wyrzucić z głowy obrazu obozu i jego ciało nie reagowało na jej żądania. Miał ochotę na nią zwymiotować. Była uosobieniem zła. Mesta jednak nie dawała za wygraną.

— Dradonie, czy chcesz skończyć tu... kochany? Nie pociągam cię?

— Pani, ja tylko jestem oszołomiony tym to, co tu widzę. Uwielbiam Jej Łaskawość, ale ten widok nie nastraja mnie zbyt. Proszę o wybaczenie.

— Trzymam dłoń na twoim prąciu, napieram na ciebie ciałem, a ty mi mówisz, że cię nie nastrajam? — Odsunęła się i uderzyła go w twarz z taką siłą, że aż odrzuciło mu głowę na bok. — *Cia koj plab hnyuv siab raum yuav los ua kuv tus hlub dej* — wycedziła przez zęby.

Dradon poczuł, jak traci kontrolę nad swoim ciałem. Jego członek wbrew jego odczuciom i jego woli stwardniał. Dradon czuł się upokorzony i zawstydzony. Zresztą nie po raz pierwszy.

— Katio, kochanie, czy masz ochotę uraczyć się moim Dradonem? Nie wiem jak ty, ale ja mam ochotę popatrzeć i skorzystać.

— Mesto, jakżebyś śmiała skorzystać z twojego najlepszego ogiera. Krążą o nim legendy. To zaszczyt, że mi go ofiarowujesz. Jednak wolę bardziej, hm, czyste miejsca. Jeśli masz wolę, pani, zaprowadzę cię tam, gdzie będziesz miała widok na piec i jego aktywację oraz wygodne łóżko.

— Och, kochana, czytasz mi w myślach. Idziemy, Dradonie. I pamiętaj, nigdy więcej nie mów mi o swoich nastrojach, jesteś po to, by mi służyć.

Pstryknęła palcami i czar wiążący przysł.

Szli wśród rozpadających się alejek i śmierdzących ruder. Z czegoś, co miało przypominać okno, wychylały się główki chłopców. Wszyscy tak samo

brudni i wystraszeni. Podłóże było pokryte kurzem. Ze ścian wystawały kawałki kości i niestrawionych resztek. Nigdzie nie było drzwi. Dradon miał wrażenie, że idą całą wieczność. W końcu dotarli do miejsca, które zupełnie nie pasowało do całego obozu. Oczywiście domek należał do „opiekunek” i był kolorowy jak na tutejsze standardy. Z białą elewacją, niebieskimi szybami, otoczony tęczową bańką. Kontrast, jaki powstał przy zestawieniu obozu z domkiem zszokował Dradona. Katia i Mesta weszły przez cienką warstwę magii otrzymującej tęczowe kolory. Dradon szedł ostatni. Przekroczył barierę i oniemiał. Nie było nic słychać. Zapach unoszący się w powietrzu nosił nuty świeżości i kwiatów. Katia zaprowadziła ich na samą górę, gdzie znajdowało się ogromne łóże z baldachimem. Postawiono je naprzeciw okna, z którego roztaczał się ponury widok na obóz. Po prawej stronie Dradon zobaczył kominy. Wielkie kominy, osmolone i poobłupywane. Piece. To o nich rozmawiały Katia i Mesta.

— Pani, mogę usiąść? — zwrócił się do Katii, bo to ona była tu gospodynią.

— Proszę. Mesto, zechciej spocząć w tym fotelu. Zaraz każę przynieść jedzenie i herbatę. To zapewne umili ci oczekiwanie.

Kilka minut później do sali weszła mała czarownica. Miała nie więcej niż sto lat, co na te standardy było wręcz wiekiem nastoletnim. Pokłoniła się królowej, rzucając pełne zgorszenia spojrzenie Dradonowi. „Widocznie jeszcze nie przeszła na tę drugą stronę. A może wołała kobiety?”

— Pani, to zaszczyt widzieć cię w naszych skromnych progach. — Piskliwy głos wydobył się z drobnego ciała i pięknych, zmysłowych ust.

— Miło mi, dziecko. Możesz odejść. Zawołam, jeśli będzie czegoś mi trzeba.

Skłoniła się nisko, lekko przy tym dygając, i wyszła. Meście widocznie przeszła ochota na figle, bo nie dręczyła już Dradona swoimi zachciankami. Była pochłonięta rozmową z Katią, która świetnie wcieliła się w rolę podwładnej Mesty. „Oby to tylko była rola” — pomyślał. Rozległo się pukanie do drzwi.

— Wejść — rzuciła od niechcienia Katia.

Mała czarownica o pięknych pełnych ustach i długich kruczoczarnych lokach, ta sama, co poprzednio, podeszła do czarownic i dygnęła.

— Szanowna królowo, pani, piece gotowe.

— Świetnie — klasnęła w dłonie Mesta. — Nareszcie jakaś miła dla oka rozrywka. Dradonie? — zwróciła się do niego w sposób nieznoszący sprzeciwu. — Po tym miłym wydarzeniu pamiętaj, aby nie pozostawić sobie tego obrazu w głowie, bo być może wtedy każę, abyś stał się paliwem dla pieca wraz z resztą twojego gatunku. Zaczynamy!

Katia bardzo przekonująco grała swoją rolę zimnej czarownicy. Dradon zaczął się poważnie zastanawiać, czy aby na pewno to jedynie rola. Jednak w tym miejscu był na przegranej pozycji i nie mógł nic zrobić. Przyglądał się więc, jak Katia i Mesta entuzjastycznie wybierają pierwszych chłopców. Ci zaś ustawiali się posłusznie i bez sprzeciwu w rzędach, jakby najmniejszego znaczenia nie miało to, że za chwilę zginą.

— Jak to dobrze, Katio, że piece będą dalej sprawne. Wreszcie nasze siostry nie będą musiały marznąć w nocy, a słońce dzięki ich magii będzie mogło świecić jaśniej. Czasami żałuję, że to jedyna metoda wydobycia z nich światła. Skoro i tak ją produkują, zapewne ją też odtwarzają. Jakby można było ich podłączyć i po pobraniu mocy oczekiwać na jej odrodzenie. No ale cóż, nasza technika nie jest aż tak zaawansowana. Zaczynamy więc.

Dradon był otępiały z przerażenia. Zupełnie beznamietnym wzrokiem przyglądał się tej eksterminacji chłopców. Nie wiedział, dlaczego zadał nagle pytanie, które wręcz bezwiednie wyrwało mu się z ust:

— Czy oni będą cierpieć?

Obie wiedźmy obróciły głowy w jego kierunku. Miał wrażenie, że w oczach Katii widział smutek, ale będąc w tym stanie, nie mógł ufać swoim emocjom ani osądowi.

— Dradonie, naprawdę, nie jesteśmy bezduszne — odezwała się Mesta z niewinnym uśmiechem i troską w oczach. — Jak mogłeś coś takiego pomyśleć? Zresztą nie byłoby to po naszej myśli, aby cierpieli. Przecież każdy, nawet najbardziej żaloszny stwór broni się przed bólem. A ci, co mają magię, wykorzystują ją do łagodzenia bólu. Gdyby zaczęli chronić się przed bólem, byłoby mniej magii do odebrania, a na to nie możemy sobie pozwolić.

Dradon nie odezwał się już ani słowem. Patrzył tylko, jak mali chłopcy,

odarci z godności, ubrani w brudne szmaty, w apatyczny sposób posuwają się naprzód, wchodząc przez wrota, skąd mieli już nigdy nie wyjść. Z ich twarzy były spokój i oczekiwanie. Musieli pozostawać pod wpływem jakiegoś zaklęcia. Każdy człowiek bałby się śmierci, chyba że został już tak sponiewierany, że widziałby w niej jedyne wybawienie. Dradon nie liczył dzieci, ale miał wrażenie, że do komory weszła ponad setka chłopców. Wielkie, mosiężne drzwi powoli zaczęły się zasuwac. Nie towarzyszył temu żaden dźwięk, jednak ich wielkość i grubość sprawiały przytłaczające wrażenie tego, co było nieuniknione. Dwie postacie, zapewne czarownice opiekunki, podeszły do bocznych, znacznie mniejszych drzwiczek. Jedna z nich rozwarła je, druga zaś, wypowiadając zaklęcie, podpaliła stos czegoś, co znajdowało się w środku. Z tej odległości Dradon nie był w stanie rozpoznać, co to było. Nie było krzyku ani płaczu. Dwie wiedźmy odeszły gdzieś, znikając z pola widzenia. Z komina wydostał się dym.

XIX

Późne śniadanie minęło w bardzo dziwnej atmosferze. Niby Cleo, Karl, Brenda i Max zachowywali się zwyczajnie, ale każdy z nich czuł, że coś wisi w powietrzu.

— Max? — odezwała się Cleo z prawie pełnymi ustami. — Wiesz, Ametysta dużo mi o tobie opowiadała. Dziękuję ci, że ją inspirowałeś. Chyba była w tobie zakochana. Kiedy o tobie opowiadała, odnosiłam wrażenie, że i ty coś do niej czułeś.

Brenda zamarła ze zdziwienia, zapominając przy tym przełknąć, i zakrztusiła się.

— Och, Brendo, musisz uważać. Mimo że już nie żyjesz, zadławienie się nie jest przyjemne. Wody? — zapytał Karl z troską w głosie.

— Nie, dziękuję, już mi lepiej. Max? Opowiedz mi o Ametyście, nie za dobrze ją znałam. Jaka ona była? — Brenda mówiła chłodno, ze sztucznym uśmiechem błędzącym po jej twarzy. Gdyby nie to, że była wampirem, można by mieć wrażenie, że jej twarz zrobiła się czerwona.

— Była bardzo intrygującą kobietą. — Max chciał, a raczej musiał jak najszybciej zmienić temat rozmowy, jeśli zamierzał uniknąć jeszcze bardziej niebezpiecznej sytuacji. Gniew Brendy bowiem mógł przerodzić się w rzeź wszystkich osób zasiadających przy stole. Udając zupełnie luźne podejście do tematu, rzekł: — Teraz jednak muszę coś zrobić, z przyjemnością porozmawiam wieczorem, przy kolacji. Prawie zapomniałbym, niebawem duszki leśne przeniosą się do naszego wymiaru. Gildia ma ich po kokardki. — Cleo przewróciła tylko oczami. Duszki były powszechnie znane ze swej upierdliwości mimo ich niekwestionowanego uroku. — Pani Cleo, Karl? Mam parę rzeczy do przekazania od Vika. Czy mógłbym was prosić, może przejdziemy do pokoju? — zaproponował Max.

— Ależ nie trzeba, Brenda jest członkiem rady. Mamy jej akt nadania podpisany przez króla. Możesz spokojnie mówić przy niej. Karl? — zwróciła się do męża. — To było wyśmienite. Dziękuję, kochanie.

Cleo wstała od stołu, zbierając naczynia po śniadaniu. Brenda intensywnie myślała, jak ma się zachować w tej sytuacji. W sumie wiedziała, na co ma ochotę:

chciała rozerwać Maxa na strzępy. „Tak, jest typowym beznadziejnym samcem. Te czułe słówka, te obietnice. Czy ona też je słyszała? Czy zwodził ją tak samo jak mnie?” Im dłużej rozkładała ich życie na części pierwsze, tym większą miała pewność, że Max wiódł podwójne życie. Sprawa była prosta. Od dziś „oni” nie istnieli. Nie będzie z żadnym facetem, nawet tak bardzo przystojnym i intrygującym jak on. „Nie mam zamiaru tego tolerować” — dudniło jej w głowie. W Brendzie się gotowało. Ku jej zaskoczeniu po policzkach popłynęły łzy. „Nie jestem człowiekiem, wampiry nie płaczą”. A jedna strużka słonej wody popłynęła dalej i spadła jej na dłonie. Wstała pospiesznie i odsunęła krzesło, rzucając przez ramię podziękowanie za śniadanie, a następnie wyszła z domu. Miała ochotę uciec gdzieś daleko. Chciała ukarać wszystkich za to, co czuła. Przed oczami miała obraz, jak wgryza się w swoje ofiary tego żalostnego podgatunku istot i drenuje je do ostatniej kropli krwi. Widziała przerażenie swych ofiar, co budziło w niej poczucie satysfakcji. Patrzyła na błagalny wyraz twarzy i źrenice jak spodki, które patrzyły na nią, gdy uciekało z nich życie. „Nie, nie dam się ponieść. Nikt nie będzie mnie kontrolował, a szczególnie nie pozwolę na to, żeby ktokolwiek, nawet w imię zranionej dumy, kierował moimi emocjami”.

— Brenda! Zaczekaj!

Nie musiała się nawet oglądać, po głosie poznała, że to Max ją wołał.

— Porozmawiajmy, proszę! To nie jest tak, jak myślisz!

— Oczywiście, wy tylko zbieraliście razem kwiatki, żeby ładnie wyglądały na stole — mamrotała pod nosem.

Brenda nie zatrzymywała się, po prostu szła dalej. Nie zamierzała uciekać, choć przeszło jej to przez myśl. Nie miała najmniejszej ochoty z nim rozmawiać. Nie teraz. Nagle wbrew rozsądkowi się zatrzymała. Słyszała, jak zbliża się do niej, szelest piasku pod jego stopami, gdy szedł, drażnił ją do cna. Odwróciła się do niego. Jej ruchy były tak spokojne, że mogłoby się odnieść wrażenie, iż świat Ametysty właśnie odwiedziła królowa lodu. Zdradzały ją oczy, w którym płonął teraz żywy gniew.

— Nie jest tak, jak myślę? A co mam myśleć?! Zdradzałeś mnie. Miałeś nas obie, żyłeś podwójnym życiem. Co mam myśleć, Max?! Może mi powiesz, że to była platoniczna miłość z jej strony? Że tak naprawdę kochałeś tylko mnie? Wybacz, mam ponad sto lat, jestem za stara na takie teksty. Widziałam, jak się zmieszałeś. Teraz wszystko ułożyło mi się w całość. Nie pogrążaj się. Ja wiem i nie

mam ochoty więcej na ten temat dyskutować. Najlepiej będzie, jak zejdiesz mi z oczu!

Jej głos z każdą chwilą był coraz bardziej donośny. Cedziła słowa. To zupełnie wybiło Maxa. Jeszcze nigdy nie widział jej takiej wściekłej. Już miał zamiar coś powiedzieć, ale nic mądrego nie przychodziło mu do głowy. Wyborowy kłamca nie znalazł słów, nie zamierzał jednak przegrać walkowerem.

„To jeszcze nie koniec, Brendo” — pomyślał. „Żadna istota nie będzie decydowała, czy i kiedy się rozstaniemy. To ja jestem inkubem i wilkiem. To ja dominuję, a ty się dostosujesz, tylko jeszcze o tym nie wiesz”. Spojrzał na nią bez większego wyrazu.

— Widzę, że nie jest to dobry moment na rozmowę, poczekam, aż ochłoniesz i przestaniesz bredzić. — On też starał się ze wszystkich sił kontrolować swój tembr głosu, żeby nie zdradzić, że nie kontroluje już sytuacji.

Brenda nie miała najmniejszego zamiaru z nim rozmawiać, ani dzisiaj, ani nigdy więcej. Odwróciła się bez słowa i poszła w kierunku niebieskiego lasu, gdzie panował półmrok. Tam mogła pomyśleć i ochłonąć. Słońce nie działało na nią zbyt dobrze jako środek kojący. Gdy dotarła na skraj lasu, niebieskie drzewa szumiały nad jej głową. Ściółka była pokryta niebieskimi liśćmi, spod których gdzieniegdzie wyrastały rośliny. Brenda nie miała pojęcia o ich właściwościach. Miały delikatny, różowawy odcień, co w zestawieniu z wszechobecną niebieską barwą stanowiło nie lada uciążenie dla oczu. Błąkała się tak bez celu jeszcze przez pół godziny, po czym usiadła tam, gdzie było najwięcej tych roślinek, i przyglądała się małemu bladuróżowemu dywanikowi rozpościerającemu się, jak okiem sięgnąć. „Skąd wy czerpicie światło?” — zapytała w myślach. Za jej plecami coś się poruszyło. Obróciła gwałtownie głowę, ale cokolwiek to było, nie miało zamiaru się ujawnić. Rozejrzała się ponownie, lecz nadal niczego nie zauważyła. Gdy znów obróciła się w kierunku bladuróżowego dywanika, jej oczom ukazała się driada.

— Witaj, Brendo. Co cię sprowadza do naszego lasu?

— Hm, nie sądzę, żeby był wasz, szczególnie że złamałyście zakaz Vika i przeniosłyście się tu bez jego zgody.

— Oj tam, nie marudź. W Kotalinie nie było już dla nas miejsca. Zresztą mamy tu spore pole do popisu. Niezwykłe zwierzęta, ogromne tereny łowieckie i święty spokój.

— Postanowiliście tu dokończyć żywota czy jak? Tu nie ma ludzi, z którymi mogłybyście przedłużyć swój gatunek, a elfy już dawno wyginęły. Zresztą w sumie niewiele mnie to interesuje, nie jesteście moim ulubionym gatunkiem. Chyba nawet by mi was nie brakowało.

— Moja droga, jako jedna z rady trzech, do tego bardzo świeża, pozwól, że ci przypomnę: masz za zadanie wspierać, pomagać wszystkim, którzy znajdują się na ziemi Ametysty.

— Tak, owszem, z tym że dotyczy to tych, którzy nie łamią prawa. A wy złamałyście je.

— Widzę, że zupełnie ci nie służy ta rola. Może jednak naczelna miała rację, że nie docenisz wiedzy, jaką już zdobyliśmy. W sumie przebywamy tu najdłużej ze wszystkich i miałyśmy okazję poznać wiele sekretów tego wymiaru.

— Co niby takiego możecie wiedzieć? Ja z Maxem — skrzywiła się, wypowiadając jego imię — też rozpoznawaliśmy teren i przypomnę ci, że to po naszych zwiadach król zdecydował się na zasiedlenie.

— Na słońce, jaka ty jesteś uparta i do tego głupio uparta. Spróbuję w takim razie przekonać cię, że warto z nami rozmawiać i być naszym sprzymierzeńcem. Choć przyglądając ci się, obawiam się, że zrozumienie tego nie przyjdzie ci łatwo. — Po twarzy driady przemknął szelmowski uśmiech. — Uchylę ci rąbka naszej tajemnicy. Jedną z ciekawostek jest to, że te driady, które były w ciąży i piły wodę z wodospadu, urodziły synów, co może oznaczać, że w przyszłości będziemy mogli przedłużyć gatunek bez wykorzystywania ludzi. Dzieci urodzone na tej ziemi są naszej krwi i mają nasze cechy.

— Naprawdę? To rzeczywiście zaskakujące. — Brenda wiedziała, że to jest bardzo nietypowe. Driady nie były w stanie rozmnażać się samodzielnie od ponad stu wieków. Czyżby Ametysta miała w tym swój udział?

— Mówiłam ci, że nie wiesz wszystkiego — kontynuowała, szczerząc się swoimi zielonkawymi zębami. — Jest jeszcze jedno.

— Co takiego? — burknęła. — Bo chyba nic bardziej mnie nie zaskoczy.

— Na tej ziemi są ludzie. Żyjący ludzie. Na dodatek jest też magia. Ludzka

magia.

— Skąd niby możecie to wiedzieć? Macie teraz dar jasnowidzenia czy co? A może zaraz wyrosną ci skrzydła?

— Na chwilę obecną nie zajmuj sobie tym swoich kłów. To nieistotne.

— A gdzie niby są ci ludzie, panno mądralińska? Przetrzymujecie ich w swoim obozie jako niewolników? — Brenda przekrzywiła głowę, jednocześnie mrużąc oczy tak, by wyglądać bardziej groźnie, niż to było w rzeczywistości. Musiała przyznać, że driada ją bardzo zaintrygowała.

— Nie, nikogo nie przetrzymujemy. Niestety, nie wiemy, gdzie są. Ale nie może to być zbyt daleko. Czujemy ich. Przede wszystkim ich samców, którzy wydzielają silny zapach strachu i uległości.

— Super! Co za wiadomość! Teraz jestem normalnie oświecona. Chyba nie umiem wyrazić swojej wdzięczności. Gdzieś w tym wymiarze są ludzie i magowie. Jesteś pewna, że nie pomyliłaś ich z naszymi osadnikami i naszymi magami? — Brenda nie musiała się bardzo starać, aby jej słowa zabrzmiały ironicznie. Prawda była taka, o czym jej rozmówczyni nie miała zielonego pojęcia, że był to kolejny sygnał o jakichś istnieniach w tym wymiarze. To zaś bardzo uprawdopodobniało ich istnienie. — Wracając do naszej konwersacji, po co mi to wszystko mówisz? Domyślam się, że chcesz ode mnie czegoś w zamian za te mało wiarygodne informacje.

— Widzę, że nie masz w zwyczaju prowadzenia kurtuazyjnych pogawędek. Owszem, jest cena, ale moim zdaniem niezbyt wygórowana — odpowiedziała dość spokojnie driada.

— Słucham. — Brenda wyostrzyła zmysły, przygotowana na atak innych driad w razie gdyby nie przyjęła warunków przedstawionych jej przez wysłanniczkę. „Ale mnie wmanewrowała” — pomyślała. Była zła sama na siebie. „Złe pokierowałam tą rozmową”. Brenda miała pełną świadomość, że w wymiarach wszystko ma swoją cenę. „Po co jej pozwoliłam mówić?” Ze złości nawet zaczęły jej rosnąć kły.

— Chcemy, abyście przyznali nam połowę lasów. I zbierane w nich plony. W zamian obiecujemy zachowywać się poprawnie.

— Słucham dalej. Bo rozumiem, że to tylko wstęp do listy żądań za tę nic niewartą dla mnie wiedzę.

Driada uśmiechnęła się od ucha do ucha, jakby dostała najpiękniejszy prezent, o którym marzyła przez całe życie.

— O, nie sądzę, by była bezwartościowa. Ale zaskoczę cię. Nie ma żadnego „i”. To jedyna zapłata, jakiej oczekujemy.

— Zastanowię się i porozmawiam z resztą rady. Nie mogę nic obiecać. Jesteś chyba świadoma, że nie mam prawa decydować o tym samodzielnie.

— Pamiętaj, że jeśli nie przyjmiecie naszych warunków, my również będziemy znacznie mniej skore do wspierania was w razie potrzeby i dużo trudniej nam przyjdzie być „grzecznymi”. Chyba nie chcesz mieć więcej problemów, niż masz obecnie? To byłoby nierozsądne.

— Powiedziałaś przecież, że przedstawię waszą propozycję radzie. A teraz wybaczone, muszę wracać do osady. Zakładam, że nic przykrego przy wychodzeniu z lasu mnie nie spotka. — Spojrzała na driadę świdrującym wzrokiem, jednocześnie lekko opuszczając głowę, żeby jej wzrok był wystarczająco stanowczy.

— Brendo, przecież jesteś naszym posłańcem. Swoich się nie rusza, przynajmniej do momentu, kiedy dobrze się sprawują. — Driada puściła oko do Brendy i pogłaskała swój przypięty u boku nóż.

— Radzę ci nie posyłać w moją stronę tego typu tekstów. Nie jestem waszym posłańcem i nie życzę sobie, aby ktokolwiek decydował o tym, dla kogo i czy w ogóle z kimś współpracuję. I jeszcze jedno: kogo mam szukać, jeśli, co mało prawdopodobne, rada wyrazi zgodę?

— Anastazja. Zresztą sama cię znajdę, jeśli uznam to za stosowne. Masz bardzo specyficzny zapach, nie będziesz trudna do wytropienia.

Brenda wstała i poszła w kierunku światła, które padało na łąkę, jednocześnie przedzierając się przez korony niebieskich drzew. Miała o czym rozmyślać. „Swoją drogą driady są niesamowicie bezczelne. Nie dość, że nazwała mnie posłańcem, to jeszcze mi groziła. Znowu się w coś wpakowałam i po raz kolejny ktoś organizuje mi życie. Jak ja tego nie znoszę!”

Ogień czarownic zaczął powoli przygasać. Stragany z wolna pustoszały, a kobiety zaczynały chować swój dobytek przed nadchodzącą nocą. Oczywiście noc wcale nie musiała być nocą, ale cykl dobowy, mimo że pod ziemią, został zachowany, a przynajmniej częściowo odtworzony. Gdy pomniejsze czarownice przygasały światła, wszystko spowijała pomarańczowa poświata. Jej barwa zjawiskowo mieszała się z kolorami tego podziemnego królestwa, które tylko wtedy potrafiło oczarowywać swym pięknem. Wszystko duże i małe opalizowało, a mieszkańcy podziemia bez pośpiechu sunęli do swoich grot i mieszkań. Dradon przyglądał się temu prawie co wieczór, jeśli akurat wtedy nie miał służby. Wszystko wyglądało tak łagodnie, to była taka piękna iluzja, która choć na chwilę pozwalała zapomnieć o niesprawiedliwości i okrucieństwie wszechogarniającym to królestwo. Gdy tak stał i patrzył, zatapiając się w chwili, poczuł dotyk, subtelny, wręcz muśnięcie, ale znajomy. Zerknął w bok, jednocześnie sztywniejąc, gdyż równie dobrze mogła to być kolejna zdeprawowana magini pragnąca akurat w tym momencie erotycznych igraszek. Obok stała znacznie niższa od niego filigranowa kobieta w opalizującej granatowej szacie. Dradon odetchnął z nieskrywaną ulgą.

— Ciii — szepnęła.

— Katia? — wymówił jej imię prawie niesłyszalnie.

— Tak. Musimy porozmawiać. Spotkajmy się za pół godziny przy czerwonych drzwiach. Noemi z córką już wezwałam.

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, już jej nie było. Co może być tak pilnego, żeby mimo braku osłony nocy zwoływać spotkanie? Dradon miał złe przecucia. Na szczęście nie miał tego dnia dyżuru, więc było prawie pewne, że Mesta nie będzie oczekiwała od niego żadnych usług. Zresztą ostatnio wydawała się nim, ku jego uciesze, jakby znudzona. Powoli zaczął się przemieszczać korytarzami. Minął jednorożce, które nieustannie pasły się na łące stworzonej specjalnie dla nich przez trzy naczelne maginie. Czasami zastanawiał się nawet, czy te zwierzęta żyją, czy też jak większość tego świata są iluzją, ale nie miał odwagi nigdy podejść bliżej, co zresztą było surowo zakazane i groziło nawet śmiercią w piecu. Z daleka widział już wyglądające zupełnie zwyczajnie drzwi, jednak dla niego i innych rebeliantów miały one ogromne znaczenie. Podszedł i chwycił dłonią klamkę, otwierając tym samym skrzydło wejścia.

— Hej, Dradonie! — usłyszał głośnie wołanie za plecami. Odwrócił się,

gdyż nie od razu rozpoznał postać po głosie.

— O, cześć! — odpowiedział kurtuazyjnie. Był to jego stary kolega z podwórka, zanim Dradon trafił na służbę do Mesty.

— Co ty tu, stary, robisz? Ten dom jest od lat opustoszały. Chyba nie chodzisz na schadzki z jakąś czarownicą za plecami Mesty. Mogłoby się to dla ciebie źle skończyć.

Dradon rozejrzał się, obejmując wzrokiem całą okolicę. To przypadkowe spotkanie było mu bardzo nie na rękę i mogło zagrozić całej operacji. Miał tylko nadzieję, że reszta już jest w środku. Gdyby i oni spotkali Kala przy wejściu, nie miałby pomysłu, jak to wytłumaczyć.

— Kurczę, normalnie się zagapiłem. Miałem skręcić w prawo na tamtym rozwidleniu. Ale się zamyśliłem. No i proszę. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Chodź, zapraszam cię. Masz ochotę coś zjeść albo się napić?

— No proszę, jak się zarabia, to i ma się gest. Pewnie, że mam. Chodź, idziemy, stary, pokażę ci swoją ulubioną knajpę w dystrykcie niemagicznych. Tam nawet czasami wpuszczają pomniejszych czarodziejki, więc jest w miarę spokojnie, bo wiesz — puścił oko — nawet te suki łagodzą obyczaje.

Dradon odetchnął głęboko w duchu, jednak jego kolega kupił tę bajeczkę. Musiał przyznać, że nie spodziewał się, iż spontaniczne budowanie fikcyjnych historii tak dobrze mu idzie. Zresztą najważniejsza była operacja. Będzie musiał dowiedzieć się potem, o co chodziło.

„Dradonie! Dradonie!” — usłyszał w swoim umyśle. „Potrzebujesz pomocy?” No proszę, teraz umiem się komunikować telepatycznie? Jakim cudem? „To nie czas na wyjaśnienia, musisz tu być. Dzięki, że go zwiodłeś, ale musisz do nas dołączyć. Idź z nim, my coś wymyślimy. I jeszcze jedno: masz pewność, że nie jest niebezpieczny ani że nie stanowi elementu siatki szpiegowskiej Mesty?”

„Nie mam takiej pewności. Katio, bądź ostrożna, proszę” — szepnął w myślach.

Połączenie zostało przerwane. Zdumiewające, że nigdy nie wiedział o takich swoich predyspozycjach. Ciekawe, czy sam by potrafił zainicjować taki kontakt.

— Hej, stary, co ci jest? Coś blado wyglądasz. Może jednak przeniesiemy to spotkanie na inny dzień. Odprowadzę cię do naczelnej czarodziejki.

— Nie, nie trzeba, sam pójde.

— Jesteś pewien? Naprawdę kiepsko wyglądasz.

— Naprawdę. Słuchaj, ten obiad to rzeczywiście przełożmy na inny termin. Powiedz, w którym dystrykcie mieszkasz. W ogóle to dajesz jakoś radę?

— Jestem w dystrykcie przy obozie. Jakoś przędę, służyć dwóm czarodziejkom. Nie są takie złe. Czasami nawet pytają mnie o zdanie. Wiesz, inni z naszej starej grupy mają znacznie gorzej. Nie wiem, czy do Mesty docierają wieści od zwykłych ludzi, ale u nas jedna z czarodziejek, właściwie powinienem powiedzieć czarownic, zabiła dwóch z naszej grupy, którzy u niej służyli. Chodziły słuchy, że to niby za nieposłuszeństwo. Potem okazało się, że ukryła ich w jakiejś głębszej jaskini, aby z nich czerpać magię. Nie unicestwiła ich, tylko przez lata drenowała z mocy. Musieli swoją drogą mieć jej sporo, jeśli tyle lat ich wykorzystywała. Zresztą teraz to już nie ma znaczenia, bo wysuszyła ich do ostatniej kropli, no i umarli. Nie zostawiła im nawet odrobiny na podtrzymanie funkcji życiowych.

— Słuchaj, Kal. Wiem, że to pewnie niewiele zmieni. Znaczący pewnie niewiele poprawisz tym swoją sytuację, ale weź to ode mnie. Przynajmniej przez jakiś czas będzie ci lepiej.

— Ty, nie wygłupiaj się, nic nie będę brał od ciebie. Dam sobie radę. Ty miałeś fart i tyle.

„Fart? Ha, bardzo śmieszne” — pomyślał Dradon. „Gdybyś ty wiedział, przez jaką gehennę przechodzę od ponad trzydziestu lat. Gdybyś widział tyle okrucieństwa co ja, zmieniłbyś zdanie”.

— Słuchaj, ja mam wszystkiego, no prawie wszystkiego, pod dostatkiem. Potraktujmy to jako prezent z okazji dnia mężczyzny. Już, bez gadania, bierz. — Dradon wcisnął mu w dłoń swoją sakiewkę, w której znajdowała się dość przyzwoita suma pieniędzy jak na zwykłego mieszkańca. Na dworze jednak niewiele można było za to kupić. — Idę się przespać, chyba rzeczywiście nie czuję się najlepiej. Trzymaj się, Kal.

Kal był zaskoczony i zupełnie nie wiedział, jak się zachować, skinął więc tylko głową i schował zawiniątko z pieniędzmi do spodni. Wyglądał jeszcze marniej niż on. Włosy miał postrzępione i na siłę ułożone i zaczesane do tyłu. Nie wyglądały na świeże. Jego ubranie nie było już pierwszej nowości, a i prania nie doświadczało chyba zbyt często. Ogólnie mówiąc, jego historyjka o służeniu czarownicom, które dbają o niego, nie trzymała się kupy.

„Dradonie, poszedł już?”

„Ty! Co mi zrobiłaś? To przez ciebie tak wyglądam, to znaczy na chorego?”

„To było najprostsze. Wracaj do nas”.

„A jak mnie zobaczy? Przecież powiedziałem, że idę do komnat”.

„Możesz spokojnie wracać, nikt cię nie zobaczy. I zanim zapytasz, tak, jesteś niewidzialny i nie, nie potrzeba do tego zawsze eliksiru.

Dradon stwierdził, że nie ma właściwie sensu dalej dyskutować. Poza tym czas uciekał. Piękne widoki opalizującego świata już dawno pokryły się szarością. A rano będzie musiał stawić się w pracy na służbie. Zaczął truchtem kierować się do czerwonych drzwi. Po kilku minutach dotarł na miejsce. Wyciągnął przezroczystą dłoń i złapał za klamkę. Tym razem drzwi się nie otworzyły, a zwyczajnie przeniosły go do wnętrza, gdzie już od jakiegoś czasu czekały na niego Katia, Sebi i Noemi.

XXI

Cleo stała w pobliżu fontanny, przyglądając się zjawiskowej uliczce targowej. Wszystko było tu takie nowe i świeże. „Może i umiałabym się przyzwyczaić do tego miejsca. W końcu to dzieło mojej córki” — rozmyślała. Podciągnęła fartuch, który zsunął jej się na biodra. Ostatnimi czasy zauważyła, że coraz więcej ubrań zaczyna na niej wisieć. „Chyba schudłam” — pomyślała. Wytarła ręce w fartuch i podniosła kosz z ziołami. Chciała sprzedać je na targu. Miały wiele właściwości, nie tylko służyły do wytwarzania eliksirów, ale również do gotowania. Dzięki nim potrawy zmieniały swój smak i były bardziej wartościowe. Chciała zahaczyć też o księgarza, który zbudował ponownie małą maszynę drukującą napędzaną niewielką ilością magii. Pomyślała, że mogłaby wydać dla tubylców przewodnik po roślinach, tak by mogli się w nie zaopatrywać samodzielnie.

— Pani Cleo, pani Cleo... — Cieniutki dziewczęcy głosik dochodził z uliczki po prawej stronie. Pod girlandami z kwiatów stała dziewczynka, może w wieku czternastu lat. Jej jaśniutkie blond włosy z zielonymi pasemkami rozwiewał wietrzyk dochodzący ze wschodu.

— Słucham cię, moja mała — uśmiechnęła się promiennie Cleo do dziewczynki. Mała miała śliczne różowe oczy i zwiewną białą koronkową sukienkę.

Dziewczynka podeszła szybkim krokiem do Cleo i przyłożyła smukłą dłoń do piersi na powitanie.

— Pani Cleo, ponieważ niedługo będę miała szesnaście lat i będę musiała wybrać zawód, chciałabym prosić o pozwolenie na naukę magii i ziołarstwa. Wiem, że tych obu nie powinno się łączyć, ale chciałabym wybrać świadomie swój przyszły zawód. Wydaje mi się, że jestem równie dobra w jednym i w drugim. Chciałabym zacząć od magii, ale w tym celu będę musiała wrócić do Kotaliny do szkoły. Na to zaś potrzebna mi jest pani zgoda. Czy mogłabym prosić, aby mi jej pani udzieliła?

Cleo przyglądała się młodej dziewczynce, która jak na swój wiek była bardzo poukładana, tak jak jej Ametysta w tym wieku. Serce jej się ścisnęło na wspomnienie córki. Tak bardzo za nią tęskniła.

— Powiedz mi, dziecko, jak masz na imię.

— Och, przepraszam, co za nietakt z mojej strony. Mam na imię Cenda. Proszę o wybaczenie, pani Cleo.

— Powiem ci, co musisz zrobić. Po pierwsze, musisz zwrócić się z pismem do rady. Na piśmie wytłumacz nam swój wybór. Jako że nie masz jeszcze szesnastu lat, twoi opiekunowie muszą złożyć na nim podpisy. Wtedy się zastanowimy. Mam nadzieję, że jesteś świadoma, że oba talenty, aby je rozwinąć, będą wymagały dużo pracy. A zanim to nastąpi, będziesz musiała zdać egzaminy na potwierdzenie talentu.

— Tak, pani Cleo, wszystko już sprawdziłam. Dziękuję za pomoc. Na pewno przedstawię radzie moje podanie. Kiedy jest następne posiedzenie, jeśli mogę spytać?

— Jutro, moje dziecko.

— Dziękuję, nie będę już pani zawracała głowy.

Cenda odeszła w stronę girlandy. Mimo że starała się iść elegancko, jak na młodą damę przystało, nie wychodziło jej to najlepiej i co chwilę podskakiwała delikatnie. „Ile to nadziei i szczęścia jest w młodych. Lubię patrzeć na ich entuzjazm i wiarę w sukces” — pomyślała Cleo i uśmiechnęła się do siebie. Podążała dalej w kierunku alei handlowej, gdzie planowała pójść, zanim Cenda ją zatrzymała. Alejka była jak zwykle bardzo ruchliwa. To tu, na straganach i w sklepach, odbywały się wszelkie transakcje. Tu też można było kupić warzywa i owoce, a dla tych kochających modę otworzono trzy butikiki z odzieżą i wymyślnymi sukniami. Niestety, sprzedawcy zapomnieli, że w tym klimacie i przy tej pogodzie moda z Kotaliny zupełnie się nie sprawdzi. Cleo dotarła do księgarza i weszła przez próg do sklepu, w którym panował przyjemny chłód. Od podłogi do sufitu poustawiane były książki z każdej dziedziny. Jak można było sobie wymarzyć, znajdowały się tam księgi o zielarstwie, magii czy nawet o budowie koni. Cleo zawsze podziwiała drukarza, który potrafił wydobyć choćby spod ziemi każdą książkę, o jaką prosiła.

— Witaj, Mark!

— Cleo, co ci dzisiaj potrzeba?

— Słuchaj, mój podręcznik został już wydany i korzystają z niego adepci

magii. Chciałabym, abyś wydał do niego uzupełnienie, a mianowicie, by do książki trafiły również informacje o roślinach z tego wymiaru. Wiem, że nie da się wszystkiego wydrukować od początku, ale może udałoby się zrobić, nie wiem, podręcznik uzupełniający?

— No pewnie, że by się dało. Rozumiem, że będzie on do kupienia, a nie do rozdania. Wiesz, jeśli będziemy go sprzedawać, nawet ty na tym zarobisz.

— No nie wiem, zastanowię się. Ale rozumiem, że jest to możliwe.

— Tak, jak najbardziej. Powiedz mi, ile już zbadałaś tych roślin?

— Chyba niewiele, mam opisanych około pięćdziesięciu. Znam większość ich właściwości, więc powoli można by zacząć to opracowywać na potrzeby podręcznika.

— Fantastycznie. Jesteś niesamowita, Cleo, wiesz, zawsze zazdrościłem cię Karlowi. No ale cóż, widocznie nie było mi dane.

Cleo zarumieniła się. Czasami miała wrażenie, że Mark ją podrywa. Ale to przecież niemożliwe. Mark był od niej przynajmniej o dziesięć lat młodszy. W jego otoczeniu przebywa wiele ładniejszych i młodszych od niej. Bez względu jednak na wszystko było to bardzo miłe.

— Do widzenia, Mark. Jak już opracuję większość tekstu, przyniosę ci go, żebyś mógł go przygotować do druku.

— Pa, Cleo, do zobaczenia niebawem. Będziesz na nocnych tańcach? — zawołał za nią, nim zdążyła na dobre wyjść ze sklepu.

Cleo tylko uśmiechnęła się do siebie i nie odpowiedziała. Musiała jeszcze odwiedzić stoisko z przyprawami i sprzedać to, co nazbierała. Zanim wróciła do domu, zaszła jeszcze obejrzeć swój zielnik na obrzeżach miasta. Wyglądał dobrze, a rośliny i zioła powoli dojrzewały. Jeśli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, za dwa tygodnie powinny być już gotowe do zbioru. Szła spokojnym spacerem do domu, co i rusz podciągając fartuch. Gdy jej opadał, stawiała na nim i mało co się nie przewracała. Gdyby nadal miała pełen kosz ziół, pewnie przewróciłaby się jak długa na niebieskiej drodze. Pierwsi osadnicy pozdrawiali ją, spiesząc do swoich spraw. Wyglądali na zadowolonych. Gdy zbliżała się do domu, zauważyła, że Max chodzi przy wejściu tam i z powrotem. Wyglądał na bardzo niespokojnego.

— Max, czy coś się stało?

— Cleo, bardzo przepraszam, ale muszę wracać. Mam nieodparte wrażenie, że muszę wrócić. Mam nadzieję, że mnie do niczego nie potrzebujesz.

— W sumie nie, ale jutro mamy radę.

— Ale ja nie mam prawa głosu, choć mam za zadanie ochraniać nasz nowy wymiar. Nie muszę brać udziału, chyba że będzie to coś związane z bezpieczeństwem. — Spojrzał na Cleo pytająco.

— Nie, nie tym razem, na szczęście nie. Widzę, że naprawdę ci się śpieszy, bo wierzysz się, jakbyś miał owsiki.

— Jakby co, mamy pierścienie, więc jeśli będę potrzebny lub wydarzy się coś ważnego, na pewno dam znać.

— No cóż, nie będę cię zatrzymywać. Daj tylko, proszę, znać, gdy tam dotrzesz, czy wszystko w porządku. — Uścisnęła Maxa i wyczuła, że jest bardzo spięty, ale nie pytała już o nic. Takich jak on nie można zbyt mocno naciskać, bo poza zniecierpliwieniem i tak się nic nie uzyska.

Max uczynił gest na pożegnanie i odszedł szybkim krokiem. Cleo zaś weszła do domu, czując się nieswojo z powodu zachowania Maxa, jednak i tak nic nie mogła na to poradzić.

Cały salon spowijała woń jej ulubionej zupy. Była to specjalność Karla i nawet ona nie wiedziała, jak się ją przyrządza. Poszła do sypialni i zrzuciła z siebie szarą za dużą sukienkę oraz fartuch. Owinęła się delikatnym beżowym szlafrokiem. Uwielbiała ten materiał. Gdy dotykał jej skóry, był tak aksamitny i przyjemny, że od razu czuła się bezpieczniejsza i szczęśliwsza. Nie zakładała kapci ani skarpet, bo pogoda była piękna i prawie bezwietrzna, a co za tym idzie — nie nawiało do domu piasku. Rozpuściła długie blond włosy przeplatane kosmykami siwizny i uczesała je szczotką z włosia jednorożca. Bardzo ją lubiła, bo dzięki niej włosy zawsze były zdrowe. Mimo że szczotka kosztowała fortunę, była warta swej ceny. Wyszła z sypialni na czas, żeby zjeść z Karlem zupę przy stole w kształcie pięcioramiennej gwiazdy. Brandy jeszcze nie było.

XXII

Dradon odzyskał wreszcie ciało, przynajmniej na tyle, że stał się ponownie widoczny. W pokoju, w którym się znalazł, było bardzo tłoczno. Właściwie nie widział nigdy takiego tłumu. Wszyscy stali jak pod linijkę, nie mogąc uczynić nawet kroku, by nie stanąć komuś na szacie lub palcach. W przeważającej części byli to mężczyźni: niektórzy młodzi, żądni zemsty i walki, inni schorowani i zmęczeni, z nadzieją w oczach, że być może kiedyś wszystko się skończy. Byli też mali chłopcy, którzy zupełnie nie rozumieli tego bezruchu dorosłych i bezwiednie rzucali zaklęcia, które na szczęście zamieniały się w ledwie iskierki. Gdyby ci chłopcy zostali wykryci, trafiliby do pieca. Na przedzie tłumu stały Noemi, Sebi i Katia.

— Dradonie — odezwały się niemal chórem — już czas...

— Na co czas? Dlaczego tu jest taki tłum?

— Oni muszą odejść. Teraz. Dostałyśmy informację, że Mesta coś podejrzewa. Nie możemy ryzykować, za długo nad tym pracowaliśmy.

— Ale jeśli nagle zniknie ponad trzystu, czy ilu ich tu jest, mężczyzn, nie sądzisz, że ktoś się domyśli? W ten sposób pozbawimy resztę szansy na wolność. — Dradon patrzył na nie z niedowierzaniem. Przecież nie mogą tak nagle... z drugiej strony, jeśli się wyda, wszyscy zostaną straceni.

— Co do nagłego zniknięcia, mam pomysł: spowolnię trochę ten proces. Natomiast jeśli poczekamy choć chwilę dłużej, ty, ja i cała reszta możemy nie dożyć jutra.

Dradon był zdezorientowany. To wszystko działo się za szybko, nie było przemyślane. Wiele rzeczy mogło się nie udać, a wtedy czarodziejki dopiero zaczęłyby się znęcać nad pozostałymi.

— Katio, ty nic nie rozumiesz. To nie ty byłaś wykorzystywana, gnębiona, to nie nad tobą się znęcano, nie ciebie gwałcono ani nie ciebie opluwano. Nic nie jest zaplanowane. Jest tyle możliwości, gdzie coś może się nie udać.

Katia nie miała teraz czasu na bycie wyrozumiałą. Wzięła głęboki oddech, jednocześnie związując włosy z tyłu. Odpięła swoją suknię, która osunęła się wzdłuż jej ciała na ziemię. Była gotowa, ubrana w spodnie i lekką koszulę

przewiązaną pasem. Jej dłonie skrzyły się magią.

— Dradonie, to twoja szansa. Idziesz?

Dradon miał mętlik w głowie. Ufał im, ale wiedział też, że działania tak chaotyczne i nagłe niosą za sobą wielkie ryzyko. Mesta też ostatnio za bardzo mu nie dokuczała. Nie wiedział, co ma zrobić. Setki mężczyzn i kilka dziewczynek patrzyło na niego z wyczekiwaniem. Dlaczego na niego? Przecież każdy mógł podjąć własną decyzję. On nie był żadnym liderem, a tym bardziej nie miał takich zapędów. Wszyscy jednak mu się przyglądali. Atmosfera w pomieszczeniu była ciężka. Powietrze stawało się lepkie od spoconych ciał i nieświeżych oddechów.

— Idę — odpowiedział bez przekonania.

W tym samym momencie wszystko zniknęło. Powietrze stało się rześkie. Był nadal w tym samym pomieszczeniu, ale zamiast tłumu mężczyzn stały przed nim Noemi i Sebi.

— Cieszę się, że podjąłeś taką decyzję, Dradonie. Jesteś gotowy.

Dradon zdębiał. Gotowy.. na co? Dlaczego jest tu Sebi? Co się stało z tymi wszystkimi ludźmi?

— Czy to był test, Noemi?

— Tak, owszem. I zdałeś go. Może nie na piątkę z plusem, ale na solidne cztery plus.

— Nie wiem, jak to oceniasz, ale nie ma to teraz żadnego znaczenia. — Dradon pocierał skronie, aby uspokoić głowę pulsującą od natłoku wrażeń. — A co by było, gdybym się nie zgodził?

— Szczerze? — Noemi popatrzyła na niego w taki sposób, jakby chciała mieć pewność, że on naprawdę chce usłyszeć odpowiedź.

— Tak.

— Znalazłbyś się u Mesty w zamku. Nie pamiętałbyś niczego, co było związane ze mną. Nie pamiętałbyś tego wydarzenia. A w krótkim czasie zapadłbyś na świdrówkę i umarłbyś.

— Super — burknął z przekąsem Dradon. — Czy komuś się to już przytrafiło?

— Tak, kilku mężczyzn nie zdało.

— Jesteś nienormalna, wiesz?

— Musimy zachować stuprocentowe bezpieczeństwo. Z nami pójdą ci, którzy są bezwzględnie pewni tego, czego chcą. A teraz idź. Wskazała na drugie czerwone drzwi, które prowadziły do jaskini ze schodami na powierzchnię.

— Ale że co, teraz mam iść? Czyli to test i do tego natychmiastowe wykonanie wyroku?

— Nie gadaj tyle, idą następni. Są już prawie przy drzwiach. Proszę jeszcze, Dradonie, zabierz ze sobą Sebi, na nią też już pora. Przy wyjściu będzie czekać magini, która uwolni cię od łańcuszka. To ułatwi nam bycie niewykrywalnymi.

Dradon spojrzał tylko na Noemi z niedowierzaniem. Wyciągnął dłoń do dziewczynki. Gdy ta chwyciła go za rękę swoimi drobnymi paluszkami, bez słowa obrócił się i udali się w stronę jaskini.

Wewnątrz groty nie było nikogo poza Katią, która zapisywała coś w swoim notatniku. Podniosła wzrok na Dradona, a na jej twarzy zawitał szczerzy, promienny uśmiech.

— Jak się cieszę, że zdałeś. Schody są wysuszone, chyba nie powinniście mieć problemu ze wspinaczką. Każdy z was musi wziąć na plecy ekwipunek. Zaczekaj, zdejmę ci też ten łańcuszek. Niby to takie delikatne, a potrafi wyrządzić tyle szkody. — Rzuciła zaklęcie i łańcuszek opadł na ziemię tak jak u pozostałych. — W tym plecaku każdy ma wszystko, co będzie mu potrzebne do przetrwania, naszym zdaniem, przez najbliższe dwa tygodnie. Włożyliśmy tam też koce, odzież na zmianę, jedzenie, fiolkę z magią i drugą, do jej przechowywania, podręcznik podstaw magii, noże, talerze, nawet środki czystości. Po drodze, na skalnych półkach porozkładane są pojemniki z wodą, jeśli będzie wam się chciało pić, korzystajcie. Nawet jeśli wszystko wypijecie, napełnią się z powrotem same, więc starczy dla kolejnych.

— A ty i Noemi?

— Nieważne, damy sobie radę. — Przeszła z nogi na nogę, niespokojnie odgarniając przy tym z czoła grzywkę.

— Jak to dacie sobie radę? Wy też przecież idziecie, prawda? — Patrzył na nią z wyczekiwaniem, a jego głos zdradził niepokój. — Prawda?!

— Tak, ale nie teraz. Musimy wyprowadzić jak najwięcej chętnych, zadbać o implozję lub inne zadośćuczynienie krzywd, jakie zostały nam, właściwie to wam wyrządzone. Musimy się też upewnić, że to nagłe zniknięcie tylu mężczyzn nie zostanie zauważone i nie zagrazi naszej misji. Przepraszam cię, Dradonie, nie mam czasu teraz na szczegółowe tłumaczenia. Idą następni. Zaopiekuj się Sebi. Obiecuję, że się jeszcze spotkamy.

— Ale...

— Idź już. Naprawdę już czas. Na górze czeka na ciebie spora grupa. Dacie radę.

Dradon chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Sebi po prostu pociągnęła go za rękę na schody. Ledwo co zdążył złapać plecak z ekwipunkiem. Jak na liczbę rzeczy, jaką wymieniła Katia, był zaskakująco lekki. „No tak, to magia. Czasami sam się dziwię, że się czemuś dziwię. Jakbym był czasami niespełna rozumu” — dumiał.

Szli powoli po schodach, które już raz miał okazję pokonywać. Rzeczywiście, jak wspomniała Katia, były one suche, co znacznie ułatwiało wspinaczkę. Niestety, co do stromości i krętości nic się nie zmieniło. Po kilkudziesięciu minutach wspinaczki zabrakło mu tchu. Sebi nie wyglądała na zmęczoną, ale na wszelki wypadek usiedli na występie skalnym, gdzie czekała przygotowana woda. Niełapczywie wypili na spółkę prawie cały dzban. Dradon otrzepał swoje ubranie i podniósł się na nogi. Czuł, jak drżały mu mięśnie. Perspektywa wspinania się przez kolejną godzinę nie była zachwycająca. Zaliczyli z Sebi po drodze kilka przystanków. Zajęło im około dwóch i pół godziny, by dotrzeć do miejsca, w którym wyczuwało się wiatr z powierzchni. Tym razem słychać było odgłosy rozmów. Na twarzy Sebi malowało się już zmęczenie, zresztą żadnemu z nich nie chciało się już nic mówić. Nogi mieli jak z waty i jedyne, o czym marzyli, to żeby wreszcie przestać się wspinać, zjeść coś ciepłego i pójść spać. Dradon pierwszy wychylił głowę na powierzchnię. Nad jego głową świeciły małe światełka. Po wszystkich stronach znajdowały się kule namiotowe, chroniące

przed zmianami pogody. Opalizowały, grając z gwiazdami i wiatrem. Powietrze miało przyjemny, świeży zapach, bez stęchlizny i zaduchu podziemnych grot. W oddali majaczyła granatowa ściana, a pod jego stopami było coś miękkiego — dziwne, ale bardzo miłe uczucie. Musiał przyznać, że był to piękny widok. Wyszedł pierwszy i wyciągnął Sebi, która ledwo co wygramoliła się na powierzchnię. Była zmęczona i chyba lekko wystraszona. Przestrzeń, jaką zobaczyła, onieśmieliła ją. Mocniej chwyciła Dradona za rękę i przysunęła się do niego — dopiero teraz stało się jasne, jak dużo jest tu powietrza, jak ogromna to przestrzeń, że nie ma nad nim i wokół niego mokrych ścian z kamienia, że powietrze ma inny zapach i że opalizujące kule skrzą się magią. Stali tak, chłonąc przytłaczające ich wrażenia, gdy podszedł do nich jeden z rebeliantów. Nie mówiąc nic, zaprowadził ich do jednej z opalizujących baniek. W środku czekały na nich gorący posiłek i posłanie. Było ciepło i bezpiecznie. Ograniczenie przestrzeni ich uspokoiło. Bańka jednak pozwalała tym, którzy chcieli, obserwować otaczającą ich rzeczywistość. Dradon i Sebi położyli się na posłaniach i zanim zdążyli pomyśleć, zasnęli.

XXIII

Dziurawe słońce jakoś nie chciało się wysilać tego dnia. Na zewnątrz panował chłód, ponieważ nie minęło jeszcze nawet pół roku, odkąd mieszkańcy Kotaliny zasiedlili wymiar uratowany przez naznaczoną. Nikt tak naprawdę nie wiedział, jaka pogoda jest normalna, a jaką należy uznać za anomalię. Dlatego na polecenie rady kilku pomniejszych magów zajmowało się zapisywaniem zjawisk pogodowych, temperatur, wilgotności czy ilości opadów. Nikt tak naprawdę nie pamiętał, jak to jest odkrywać pogodę na nowo. Cleo dotknęła swego pierścienia. Minęły już ponad dwadzieścia cztery godziny od czasu spotkania z Brendą. Gdyby nie to, że za chwilę mieli odbyć cotygodniową radę, być może nie musiałaby jej tak ponaglać. Użycie pierścienia okazywało się bardzo pomocne w ważnych sytuacjach, pozwalało bowiem na szybki kontakt z Vikiem, Maxem lub członkiem rady, którym była także Brenda. Niestety, pierścień był zasilany magią krwi i życia. Za każdym razem, gdy zaczynało się go używać, pobierał nieco krwi właściciela i jego energii życiowej. Mówiąc najogólniej, zbyt częste posługiwanie się pierścieniem prowadziło do śmierci. Cleo nie była zachwycona wykorzystaniem sygnetu w sumie do tak błahej sprawy jak rada wymiaru, jednak wiele decyzji musiało być podejmowanych właśnie przez ten zespół. A czekało na nich przynajmniej osiem dekretów i kilkanaście spraw do rozważenia. Poza tym wraz z Karlem postanowili włączyć do rady centaury. Ich wiedza była niezwykle ważnym elementem, który mógł stać się wręcz kluczowy w niektórych obszarach. Cleo podążyła w kierunku zagrody, gdzie w swojej niewidocznej dla oka człowieka osadzie mieszkali centaury. Z oddali widziała Karla, który właśnie przekraczał bramę obejścia.

— Karl! — zawołała. — Zaczekaj! Widziałeś gdzieś Brendę?

— Widziałem. — odpowiedział.

— A wiesz, gdzie teraz jest? Dla niej to będzie pierwsza rada, no i skoro jest jej członkiem, potrzebujemy jej do podejmowania decyzji.

— Wiem, gdzie jest.

— Coś ty taki małomówny, centaur cię w tyłek ugryzł?

— Sama zobacz.

Karl zaprowadził Cleo do domku mieszczącego się na końcu zagrody

centaurów. Był to tak zwany domek gościnny, w którym mogły przebywać osoby mające być z założenia niewidocznymi dla reszty osadników. Bez większych ceregieli otworzył drzwi i wskazał Cleo na łóżko stojące pod ścianą.

Leżała na nim Brenda i w powietrzu rysowała swoimi długimi palcami obrazy.

— Co ona robi? — zapytała Cleo, ale Karl tylko wzruszył ramionami i rzekł:

— Nie wiem, ale to rzeczywiście dziwne.

Cleo podeszła powoli do Brendy, nie wiedząc, czego się spodziewać. Dotknęła jej ramienia delikatnie, żeby jej nie wystraszyć. Brenda nadal rysowała kształty w powietrzu. Jej wzrok był nieobecny, a jej ciało oplatała nieprzyjemna woń koki.

— Brenda? Ty jesteś pijana! — warknęła na nią z oburzeniem Cleo.

— La, la, naaprawdę? Aaa, no może. Aaa co, nie wolno mi? Wiesz, mamuśka, ale wszyscy żyją. — Zaczęła się śmiać w taki sposób, że Cleo przeszły ciarki po plecach.

Brenda miała w pełni wystające kły. Jej nieobecny wzrok i ogromna dawka koki we krwi mogły stanowić mieszankę wybuchową.

— Jak to wszyscy żyją? Co ty bredzisz?

— A co cię to obchodzi? Po co tu przyszedłeś?

Cleo machnęła ręką i odwróciła się do Karla.

— Weź przynieś mi esencję z kuzu. Muszę ją doprowadzić do stanu, w którym da się z nią rozmawiać, bo na razie do niczego się nie nadaje. Jest na prawej górnej półce nad piekarnikiem. Taka mała buteleczka z czerwoną zakrętką.

Karl wyszedł za drzwi. Cleo popatrzyła z politowaniem na Brendę, która nadal leżała, kreśląc coś w powietrzu. Oczy miała przekrwione. Nie dość, że była pijana w sztok, to jeszcze miała ten niepokojący obłęd w spojrzeniu. Cleo wiedziała, że Brenda niejednokrotnie sprawdzała się u Arymana i Vika. Nie mogła

więc pojąc, co się wydarzyło, że doprowadziła się do takiego stanu. Przecież niebieski świat jest dużo mniej stresujący niż służba dla króla ciemności czy Kotaliny. Na pewno nie było to aż tak stresujące. Chyba że? Przez głowę przemknęło jej jedno słowo: „Max”.

Do pokoju wszedł Karl z fiolką, o którą prosiła Cleo.

— Weź ją przytrzymaj i otwórz jej usta.

— I co, ma mnie pogryźć? Co to w ogóle jest i po co jej to dajesz?

— Nie gadaj tyle, Karl, musimy ją oczyścić z nadmiaru koki.

Karl spróbował najpierw porozmawiać z Brendą, ale niestety nie przyniosło to żadnego rezultatu, stanął więc za jej głową, kolanami przytrzymał ręce i rozwarł jej usta. Brenda siłowała się, na ile mogła, ale koka osłabiła jej mięśnie na tyle, że Karl zdołał ją poskromić. Cleo wlała jej połowę zawartości buteleczki do ust. Następnie szybko je zamknęła i zatkała nos, żeby Brenda połknęła. Robiąc to, uświadomiła sobie, że Brenda przecież już i tak nie żyje, więc zatykanie nosa jej nie pomoże, bo i tak nie oddycha. Mimo że było to trochę bez sensu, postanowiła trzymać się przyjętego planu. W końcu Brenda nie miała siły się szamotać i połknęła oczyszczacz.

— Fuj, jakie to paskudne. Co to jest?

— Nieważne, za chwilę ci przejdzie — odparła chłodno Cleo.

Po kilku minutach Brenda wyglądała tak, jakby nigdy nie przedawkowała. Choć jej mina nie zdradzała zadowolenia z tego powodu. Usiadła na łóżku i spuściła nogi na podłogę.

— Auaaa, jak mnie bolą ręce — syknęła.

— Też by mnie bolały, gdybym machał nimi przez tyle godzin — rzucił Karl zniesmaczony.

— Młoda damo, o tym, co się stało, że doprowadziłaś się do tego stanu, porozmawiamy później. A teraz czas do pracy. Mam nadzieję, że to był ostatni raz, gdy zachowałaś się tak nieodpowiedzialnie. — Cleo wypowiadała słowa tak lodowatym tonem, że nie powstydzilaby się tego chłodu nawet królowa lodu.

Brenda nie wydawała się szczególnie speszona tą reprimendą, ale podniosła się z łóżka i udała się z Karlem i Cleo do centaurów do sąsiedniego domu.

Drzwi otworzyła im Illis. Brenda weszła przodem, a zaraz za nią Karl, którego centaurzyca obdarzyła promiennym uśmiechem i trzepotem rzęs. Cleo była ostatnia: zamiast „dzień dobry” przywitał ją wzrok spode łba i chłodne powitanie. Nie miała jednak ochoty ani czasu zajmować się zazdrosną Illis.

Mieszkanie centaurów wyglądało bardzo przytulnie. Na bocznych ścianach widniały obrazy ich przodków i króla Vika. Po bokach okien wisiały perłowe, grube, drapowane zasłony z przewiązującymi je w połowie kokardami. Na wprost wejścia znajdowała się kuchnia, której blat tkwił na tyle wysoko, by centaury mogły swobodnie z niej korzystać. Nie było nigdzie widać miejsca do spania, ale Cleo domyśliła się, że musi mieścić się w odrębnym pokoju. Niestety, nie dostrzegła też krzeseł, co w sumie było dość naturalne, biorąc pod uwagę, że przebywała właśnie w domu centaurów.

— Proszę, siadajcie — odezwał się Tymig. — Zaraz przyniosę wam coś do siedzenia. Jak pewnie zauważyliście, nie posiadamy krzeseł.

Tymig przeszedł chodem czterotaktowym, wydając przy tym charakterystyczny dźwięk kopyt uderzających o sklepienie, do innego pomieszczenia. Przy blacie krzątały się Arisa i Deris, która niedawno do nich dołączyła. Ewidentnie szykowały poczęstunek. Gdzieś z boku stała naburmuszona Iris, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i nerwowo machająca ogonem. Cleo nie zauważyła w pobliżu żadnej muchy, zyskując tym samym pewność, że to ona jest powodem poirytowania centaurzycy.

Tymig wrócił z wielkim gobelinem i ułożył go na środku pokoju.

— *Ib rooj zuam, hloov lub* — powiedział, skupiając swój wzrok na gobelinie.

W tym samym momencie z gobelinu wyrosła przed nimi wygodna kanapa na co najmniej cztery osoby.

— *Invoke lub rooj rau qhua* — wymamrotał pod nosem Tymig.

I znowu zaklęcie zadziało, przed sofą pojawił się bowiem stół,

przystosowany na potrzeby ludzi. Arisa i Deris podeszły ze zdobionymi srebrnymi tacami pełnymi napojów i słodczy. Cleo nie była pewna, czy są to słodczyce nadające się dla ludzi. „Chyba wykazałam się w tej chwili zupełnym brakiem wiedzy. Przecież centaury są też ludźmi” — skarciła siebie w myślach.

— O proszę, kogo ja tu widzę! Czyżby szykowałam się jakaś impreza?

Znajomy głos dochodził gdzieś z boku, jednak ani Karl, ani Cleo nie zauważyli nikogo poza centaurami i znudzoną Brendą. Cleo obróciła głowę w stronę, z której dochodził głos.

— Guido, co ty tu robisz? — spytała lekko zirytowana Cleo.

— Oj, maleńka, naprawdę powinnaś się cieszyć, że odwiedził cię twój ileś-tam-pradziadek — zachichotał.

— Nie nazywaj mnie „maleńka” — odparowała już bardziej podenerwowana Cleo. — Zawsze wybierasz sobie najbardziej nieodpowiednie momenty.

— Naprawdę, Karl nie wiedziałam, że twoja wybranka ma pomieszane pod sufitem. Musisz być bardzo szlachetny, żeby jej nie zostawić. To musi być dla ciebie bardzo trudne — odezwała się Iris. Trudno jednak stwierdzić, czy była to ironia, złośliwość, czy współczucie. W sumie mogły być to te wszystkie emocje naraz.

Karl tylko popatrzył na Iris i nic nie powiedział. Ale wszyscy pozostali patrzyli na Cleo z ogromnym zdziwieniem. Brenda przestała nawet jeszcze bardziej oddychać, niż to możliwe.

— Cleo, dobrze się czujesz? — zapytał Tymid, starając się być bardzo ostrożnym.

Widać było, że wszyscy wyczekują jej reakcji. Cleo przyglądała się im z równą konsternacją. „Dlaczego oni mi się tak przyglądają? Brudna jestem czy co? Powiedziałam coś nie tak?” — zastanawiała się. Zaczęła się przyglądać swojemu strojowi, ale wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Guido zaś śmiał się tak perliście, że gdyby nie ta dziwaczna sytuacja, pewnie jego śmiech byłby zaraźliwy.

— Przestań, Guido, tracę cierpliwość.

Brenda podeszła do Cleo, jednocześnie dziwiąc się, że Karl zupełnie nie reaguje na jej bardzo osobliwe zachowanie.

— Cleo, może teraz ja ci przyniosę jakąś miksturę? Powiedz, którą, bo nie wiem, co się w takich sytuacjach podaje — zapytała z życzliwością w głosie Brenda.

— Czy wyście wszyscy powariowali? Patrzycie na mnie jak na demona, pytacie, czy się dobrze czuję, a ty, Brendo, chcesz mi przynosić mikstury. Co się tutaj dzieje?

To spowodowało zupełne zaskoczenie zgromadzonych. Nie wiedzieli, co mają powiedzieć ani jak się zachować. Jak wytłumaczyć komuś, kto ewidentnie traci zmysły, że rozmawia ze ścianą, a w najlepszym wypadku z obrazem. Co najdziwniejsze, Karl w ogóle nie zwracał na to uwagi.

— Cleo, czy możesz nam powiedzieć, jeśli oczywiście wolno mi spytać, z kim ty rozmawiasz? Kim jest Guido? — zapytała Arisa.

Guido turlał już się na obrazie ze śmiechu. Cleo natomiast zrobiła się purpurowa ze złości. Karl pojął niezręczność sytuacji i zaczął się śmiać sam od siebie, co niestety wywołało jeszcze większe zdziwienie pozostałych.

— Kto by pomyślał, że byłeś królem. Zachowujesz się jak szczeniak — huknęła na niego, aż sama się zdziwiła swoją stanowczością. — A ty przestań rechotać, Karl. Przed tego pra ileś tam dziadka od siedmiu boleści wyszłam na wariatkę.

— Czy mogłabyś nas wtajemniczyć, Cleo, co się dzieje?

— powtórzyła pytanie Arisa.

— Guido jest moim prapra-ileś-tam-pradziadkiem. Ponieważ jest we mnie cząstka jego krwi, mogę z nim rozmawiać i go zobaczyć. Jest duchem, ostatnim królem elfów, dlatego żyje na obrazach. Niespokrewnieni z nim lub bez wystarczających mocy magicznych nie widzą go ani nie słyszą. Nie jestem szalona, tylko zostałam wrobiona przez tego, pożałuj się Boże, króla. — Odwróciła się do obrazu. — Kochany dziadku, czy byłbyś tak łaskawy, skoro już się ubawiłeś moim kosztem, ujawnić swe wredne oblicze tym uroczym centaurom, które teraz myślą,

że temu światu przewodzi wariatka?

— Moje maleństwo, czego nie robi się dla swoich prawnucząt. Dla ciebie spowoduję nawet, aby mnie usłyszały.

— Jego głos był troskliwy i ciepły, jakim tylko dziadek mógłby przemawiać do swojej najukochańszej wnuczki siedzącej na jego kolanach z zapłakaną buzią.

— Och, co za łaskawość z twojej strony. — Cynizm płynął z jej ust jak rwąca rzeka. — Przedstawiam wam ostatniego króla elfów, mojego krewnego. Prawdopodobnie stracił już zmysły od błąkania się po obrazach przez ostatnie setki lat.

Guido ujawnił się wszystkim. Jego szpiczaste uszy przyciągnęły uwagę Tymida. Od lat był zafascynowany tym gatunkiem stworzeń. Pozostali przyglądali się mu z atencją.

— Dzień dobry. Tak jak już wspomniała moja wnuczka — zwrócił swój wzrok ku Cleo — mam na imię Guido i jestem, a właściwie byłem ostatnim królem elfów. Mój ród wyginął, ale, jak widzicie, dzielnie używałem życia i rozproszyłem po świecie swe geny. Co za tym idzie, zdarzają się na tym świecie istoty, które po wielu stuleciach i mezaliansach posiadają część mnie, dlatego też widzą mnie i słyszą. Pozwólcie, że zostanę na obradach. Wrócę jednak do postaci widzialnej tylko dla Cleo. Nie jest szalona, a ja, no cóż, chyba lekko przesadziłem z wkręcaniem jej. Wybaczcie. — Mówiąc to, zaczął blednąć, aż w końcu zniknął.

— Porozmawiamy o tym, dziadku, innym razem. Nie odzywaj się, proszę, jeśli nie będziesz miał nic mądrego do powiedzenia, dobrze? — Cleo nie była w nastroju do kurtuazyjnych konwersacji.

Guido kiwnął głową i zasiadł wygodnie na krześle, które przyniósł sobie z innego obrazu.

— Po pierwsze, Deris, bardzo dziękuję za poczęstunek, to bardzo miłe. Tymidzie, nie wiedziałam, że znasz magię — rzuciła karcąco w jego stronę. — Następnym razem, Karl, jeśli będziesz świadomy, że twoi podopieczni mają jakieś umiejętności, informuj mnie o tym. Dobrze, kochanie? — Zerknęła na Iris, która jeszcze bardziej wycofała się do rogu.

— Temat Tymida zostawimy na inną okazję. Chciałabym najpierw poprosić

nasze gościnne centaury o wyrażenie woli na permanentne zasiadanie w radzie, a co za tym idzie — na ujawnienie waszej obecności mieszkańcom. Oczywiście mogłabym to nakazać, ale uznałam, że spróbuję najpierw w ten sposób. Po drugie, mamy list od młodej mieszkanki wymiaru Ametysty, która kończy niebawem szesnaście lat i wybrała sobie zielarstwo i magię. Prosi o zgodę na wyjazd do Kotaliny i na przejście testów sprawdzających talenty. Kolejny temat to nasze granice, gdzie rezyduje Max. Dodatkowo dochodzą nas wieści, że istnieje tu życie, to znaczy ludzie. Nikt ich jeszcze nie widział, ale mieliśmy już kilka sygnałów. Karl, masz coś do dodania? — zapytała lodowatym tonem.

— Tak, chciałbym was prosić, abyście aktywnie włączyli się w nasz świat. Wasza wiedza jest nieoceniona. Nie ukrywam, że wasza siła również by się przydała. Macie pełną dowolność, w granicach prawa oczywiście, jak przyłączyć się do budowania tego świata.

— Brendo? — Cleo zwróciła się do dość obojętnej członkini rady.

— Tak. Driady mają żądania i również potwierdzają, że wyczuły magię ludzi. Dodatkowo zaczęły rodzić synów. — Jej głos był równie obojętny jak jej zachowanie.

Wszystkie centaury jak na komendę zwróciły się ku Brendzie, nawet Guido ze swojego obrazu gwizdnął z zachwytu. Cleo, jako zielarka, była tym faktem jeszcze bardziej zdumiona, wielokrotnie bowiem starała się pomagać driadom, które chciały począć męskich potomków. I te próby nigdy nie zakończyły się sukcesem.

— Jak widzę, panie i panowie, czeka nas sporo rozmów, pracy i wiele decyzji do podjęcia. Czy macie jeszcze jakieś tematy, które warto by dziś rozważyć?

Nikt się nie odezwał. Cleo rozpoczęła więc zebranie i wszyscy punkt po punkcie zaczęli omawiać nakreślone wcześniej problemy. Nawet Brenda i Iris aktywnie wzięły udział w rozmowie. To zebranie było ważne z kilku powodów, jednak największą niespodzianką okazała się informacja, że Vik przyznał centaurom ich własne ziemie, które będą mogli zasiedlić. Ich gatunek zyskał wolność.

Kiedy opuścili zagrodę centaurów, była już ciemna noc.

XXIV

Cenda nie mogła spać poprzedniej nocy. Cały czas wierciła się w łóżku. Tak jak chciała Cleo, złożyła papiery z podpisami rodziców, a następnego dnia, czyli dziś, miała otrzymać decyzję rady. Słońca dopiero co muskały horyzont. Miała dość wiercenia się z boku na bok, wstała więc z łóżka i podreptała do łazienki. Brak snu był dotkliwy, ale adrenalina okazała się silniejsza. Umyła twarz i uczesała swoje gęste pomarańczowe loki, które po nocy wiercenia wyglądały, jakby strzelił w nie piorun. Nie miała siły się malować, więc tylko pociągnęła swoje malutkie rzęsy pyłkiem z nietoperza. Zawsze go lubiła, bo wydobywał z jej oczu barwę bursztynu. Wychodząc z łazienki, złapała jeszcze leżące na półce kolczyki i wróciła do sypialni. Nie miała siły się stroić. Chciała jak najszybciej wyjść i się przewietrzyć. Wiedziała, że i tak już nie zaśnie. Wciągnęła na swój malutki biust gorset, dzięki któremu nabrała choć trochę kobiecych kształtów. Z szafy wyciągnęła jedwabną spódnicę sięgającą niewiele za połowę uda. W szafie znajdowały się też jej ulubione botki w kolorze nefrytu. Lubiała je, bo miały magiczne sznurówki i nie musiała ich wiązać. Jej mama przywiozła je dla niej na święta z Kotaliny. Gdyby nie te sznurówki, zapewne siedziałyby tu jeszcze przez pół godziny, wiążąc je. „Jeszcze tylko peleryna” — przypomniała sobie. Po cichu wyszła na zewnątrz, starając się zamknąć drzwi tak, by nie obudzić pozostałych mieszkańców domu. Powietrze było przesycone magią, przez co poczucie ekscytacji tylko zostało wzmocnione, a ruchy ograniczone. Po nocy magia była lepka i gęsta, co znacznie utrudniało poruszanie się. Dopiero po kilku godzinach od wschodu słońc poranny wiatr rozrzedzał powietrze. Ulice świeciły jeszcze pustkami, kiedy szła niebieską ścieżką prowadzącą na zachód miasta. Magia była tak ociążała, że nawet niebieski kurz nie chciał się wzbijać w powietrze.

— W sumie jeszcze ani razu nie wyszłam poza miasto. Może to, co zobaczę, pozwoli mi odetchnąć i zająć czymś myśli.

Opuszczenie osady nie zajęło jej zbyt dużo czasu. Zeszła więc ze szlaku i ruszyła w kierunku niebieskiego lasu. Pod jej stopami, przy każdym kroku ugięła się zielonkawa trawa. Gdzieś w pobliżu pasły się małe latające stworzenia, których wielobarwne umaszczenie zapierało dech w piersiach. Jeden z nich podleciał do niej i usiadł jej na dłoni. Przyglądała mu się z bliska, zafascynowana tą istotą. Miał tułów w kształcie łyżki, przez który widać było całe wnętrze. Sam środek był równie zachwycający, gdyż każdy organ tego stworzenia miał inny kolor. Zamiast skrzydeł, co bardzo ją zdziwiło, miał czułki, które potrafiły się rozłożyć jak kielichy i obracać się wokół, wydając przy tym delikatne drgania. Małe żyjątko odleciało, zostawiając Cendę zaurcozoną. Gdy rozejrzała się ponownie, znajdowała

się już niedaleko lasu. Po prawej stronie, gdzieś w oddali, szumiał wodospad. Spacer spełnił swoje zadanie, jej umysł był teraz zajęty chłonięciem nowych doznań, które wciągały ją bez reszty. Stała na skraju lasu, który nie wyglądał zbyt życzliwie. Gęste rosnące drzewa i ich granatowe wręcz liście robiły mało zachęcające wrażenie. Postanowiła jednak nie wchodzić zbyt głęboko do tego lasu. „Tylko tak na brzegu zobaczę, co tam jest” — powiedziała do siebie w myślach. Rozchylając na boki gałęzie drzew, zaczęła wchodzić w zacienione miejsca. Nadal widziała łąkę, z której tu weszła. Tak na wszelki wypadek postanowiła, że nie oddali się na tyle, by zniknęła jej ona z oczu. Zza pleców dobiegł ją szelest kogoś podążającego za nią. Zaczęła się przedzierać z powrotem w kierunku polany, ale nim zdążyła ująć pięć kroków, jak spod ziemi wyrosła przed nią driada.

— No proszę, kogo my tu mamy? Czyli jednak Brenda przysłała posłańca. Szkoda.

— Ja bardzo przepraszam — wykrztusiła zaskoczona Cenda. — Nie wiem, o czym pani mówi.

— Czyli nie przyniosłaś mi decyzji rady?

— Noo... eee... nie... Ja tylko poszłam na spacer, bo nie mogłam spać z nerwów i teraz czekam na decyzję rady. Wie pani, ja złożyłam podanie, no i dziś mam się dowiedzieć co i jak.

— No proszę, czyli wczoraj zebrała się rada. Dobrze wiedzieć. No widzisz, dziecko, więc jesteśmy w tej samej sytuacji. Ja, to znaczy my też czekamy na jej decyzję.

Cenda miała wrażenie, jakby driada mówiła do siebie, mimo że słowa teoretycznie były skierowane do niej.

— Powiedz mi, młode dziewczę, jak masz na imię?

— Cenda, proszę pani. Czy mogę o coś spytać?

— Słucham. — Driada popatrzyła spod przymrużonych powiek na dziewczynę, która prawie dorównywała jej wzrostem.

— Bo ja uczyłam się o waszym gatunku, ale nigdy nie widziałam noo... tak z bliska. Czy pani jest driadą? — W głosie Cendy było słychać zarówno

fascynację, jak i obawę.

Driady były znane ze swojego bezkompromisowego podejścia oraz przemocy, jakiej się dopuszczały. Przynajmniej tak wszystkich uczono w szkołach i tak było napisane w podręcznikach.

— Tak, jestem driadą. Wiesz, nawet mam imię — uśmiechnęła się, choć mało przyjaźnie. — Zwią mnie Anastazja. Czyli rozumiem, że mój gatunek jest wart zobaczenia na żywo. Dobrze, że minęły już czasy pokazów w cyrkach. To było strasznie poniżające.

— Nie, nie, proszę się nie denerwować. Przepraszam, jeśli uraziłam. Ja tak mało w życiu widziałam i teraz wszystko, czego doświadczam, jest dla mnie niezwykle fascynujące.

Driada przyglądała się temu ludzkiemu szczenięciu z zainteresowaniem.

— Czy zdajesz sobie sprawę, Cendo, że masz ogromny talent magiczny? Choć patrząc na niego, mam wrażenie, że to cud, że jeszcze nikogo przypadkiem nie zabiłaś.

— Naprawdę? Widzi pani talenty?

— Nie mów do mnie „pani”, przecież się przedstawiałam. Nie uczyli cię zasad dobrego wychowania?

— Ja... ja przepraszam, Anastazjo. Tak jakoś wyszło. Już się poprawię.

— Uroczą jesteś, wiesz? Nawet mogę ci obiecać, oczywiście jeśli mnie po drodze nie zdenerwujesz, że cię nie zabiję. — Cenda przełknęła ślinę, a ze strachu zaschło jej w ustach. — Tak — kontynuowała driada. — Widzę aury, talenty i inne, mniej przydatne rzeczy. Masz dar magii, może nie tak wielki jak Brenda czy Ametysta, ale masz. Dodatkowo zdaje się, że pojawią się u ciebie cechy, takie jak dyplomacja i empatia. W połączeniu z tą twoją ciekawością świata może się to okazać naprawdę interesującą mieszanką. Więc co cię tu sprowadza? A tak, mówiłaś, że nie mogłaś spać. W takim razie co byś powiedziała na odkrycie czegoś, czego jeszcze nikt nie odkrył.

— Ja? Ale niby jak? Jest coś, czego jeszcze nikt tu nie odkrył?

Driada zaczęła się śmiać.

— Widzę, że na tę twoją dyplomację przyjdzie nam jeszcze poczekać. Tak, ty. Powiedz mi, dziecko, wyczuwasz coś nietypowego?

— To znaczy co? Nie wiem, czego mam szukać.

— No tak, zapomniałam, tyś jeszcze nieszkolona. Spróbuj wyczuć ten świat i nitki mocy, jakie przez niego płyną, mają one swój rytm i kolor. Zazwyczaj są to niestety odcienie niebieskiego. Poszukaj czegoś, co odbiega od tego, co wyczujesz.

Cenda popatrzyła na Anastazję swoimi bursztynowymi oczami. Skupiła się na wykonaniu tego, co poleciła jej driada. Czowała, jak moc oplata ją i płynie dalej powoli i leniwie. Sięgała myślami coraz dalej i dalej. W pewnym momencie poczuła sieć szarej magii. Nie ciemnej, nie złej, lecz szarej, zamkniętej, niewolnionej i pełnej obaw. Otworzyła oczy i znowu przyjrzała się driadzie.

— A powinnam coś wyczuć?

— Ty mi powiedz, dziewczyno. — Driada wpatrywała się w nią z zainteresowaniem. Cenda miała wrażenie, jakby obserwowała nie tylko każdy jej ruch, ale i oddech.

— Gdzieś dalej wyczułam szare nici mocy. Jest ich dużo. Ktokolwiek albo cokolwiek to jest, boi się. A moc nie została uwolniona. Ale nie jest to zła magia. W sumie nawet jestem pewna, że moc należy do kogoś, a nie do czegoś. Przedmioty nie odczuwają strachu.

— Czyli miałam rację w obu przypadkach — stwierdziła driada z zadowoleniem.

— W jakich obu? — przerwała jej dziewczynka.

— W tym, że masz talent, że zaczyna się rozwijać u ciebie empatia i że już są one na powierzchni.

— Kto jest na powierzchni? — Cenda próbowała nadażyć, ale natłok wrażeń skutecznie jej to uniemożliwił. Po raz pierwszy, właśnie tego dnia, widziała i zrobiła tyle nowych rzeczy, że jej emocje po prostu się rozchwiały.

— Nie wiem jeszcze tego, kto jest na powierzchni. Ale to, co opisałaś, jedynie to potwierdza. Mówiąc w skrócie, zyskamy nowych osadników albo wybuchnie wojna, no, ewentualnie jedno i drugie.

— Nic nie rozumiem, Anastazjo, mogłabyś być tak łaskawa i mi to wytłumaczyć?

— Nie — odparła krótko driada, jakby jej zupełnie nie słuchała.

— No proszę, co ja tu widzę, wzięłaś się już za ludzi? Nie poczekałaś nawet na decyzję rady? — Głos Brendy był dźwięczny i nieznoszący sprzeciwu. — Nic ci nie jest? — zwróciła się do Cendy.

— Nie, nic. A powinno?

— Nie wiesz nic o driadach, dzieciaku? Nie uczyli cię w szkole?

— No, uczyli, proszę pani, ale ja tak do końca nie wierzę w to, czego uczą, szczególnie w te wszystkie historyjki. Wie pani, nas uczono też, że wampiry zabijają każdego i nie mogą chodzić w środku dnia. A jednak jest pani w radzie, a teraz jest pełnia dnia.

— To jakieś sprzed wieków masz te książki. Widocznie dostaliśmy jakieś podręczniki z piwnicy. Obiecuję, że zajmiemy się tym przy najbliższej okazji. Nie będę pytała, co tu robisz, po prostu idź do domu.

— No ale pani Brendo, pani zasiada w radzie, no i moje podanie, no i...

— A, to ty jesteś Cenda. To była twoja prośba?

Dziewczyna pokiwała twierdząco głową z nadzieją w oczach.

— Oficjalne pismo jest u ciebie w domu. Czy obiecasz mi, że jeśli powiem ci, jaki był werdykt, pójdziesz do domu?

— Tak, tak, tak, bardzo proszę. To dla mnie bardzo ważne. — Cenda tak mocno zaczęła zaciskać pięści, że aż zbieleły jej dłonie.

Brenda popatrzyła się jej uważnie. Kiedyś też była taką dzierlatką.

— Idź się pakować, dziecko — rzuciła bez zbędnego tonu gratulacyjnego.

— Znaczy, że rada się zgodziła? Mogę jechać się uczyć?

— Tak, a teraz już zmykaj. Muszę pogadać z tą driadą.

— Dziękuję, pani Brendo, naprawdę dziękuję. Ach, Anastazjo, miło mi było cię poznać. Do zobaczenia?

— Do zobaczenia, Cendo. — Driada uśmiechnęła się szczerze oczami.

Młoda pobiegła, odgarniając po drodze gałęzie, które torowały jej drogę, i wyszła na polanę, skąd żwawo ruszyła do domu. Była naprawdę szczęśliwa.

— I co — warknęła Brenda — nudził ci się pokój? Zaczynasz już wabić?

— Ależ skąd. Ja dotrzymuję słowa. Przez chwilę miałam obawy, że tylko ja mam taki zwyczaj. — Więc jak, masz już odpowiedź?

— Tak, mam. Choć nikt z nas nie jest przekonany co do słuszności tej decyzji.

Driada uśmiechnęła się, przeczuwając decyzję rady.

— A więc wyraziliście zgodę, jak mniemam.

— Tak. Są pewne warunki, ale nie sądzę, aby sprawiły wam one jakiś problem.

— A mogę je poznać?

— Jednym z nich jest dostarczanie do Cleo wszelkich roślin i kwiatów nieznanych w Kotalinie, żeby mogła je zbadać i opisać.

— To da się zrobić. Coś jeszcze?

— Taki mały szczegół. — Mówiąc to, Brenda wyglądała na niewiniątko. — Zamierzenie czy niezamierzenie, jeśli choć raz ktokolwiek z was zaburzy porządek lub złamie obowiązujące tu prawo, akt nadania zostanie cofnięty.

Anastazja zmarszczyła czoło. Jej twarz nie wyrażała zadowolenia, driada była zła. Ten warunek, mimo że racjonalny, z punktu widzenia driad był bardzo niebezpieczny. Tak jak w każdej społeczności i u nich znajdowali się tacy, którzy nie uznawali zmian na lepsze ani pokoju. I nadal żyli zamierzchną przeszłością.

— Brendo, czy dostałaś przywilej małych negocjacji od rady?

— Zależy, co masz na myśli. — Branda zupełnie nie miała ochoty na negocjacje. Była w podłym nastroju i chciała po prostu zagryźć driadę, żeby pozbyć się negatywnych emocji.

— Mam propozycję. Jeśli ktokolwiek z naszych złamie wasze prawo, my bezzwłocznie go wam wydamy, a wy osądzicie osobnika po swojemu. Chyba nawet wy nie ręczylibyście za całą swoją społeczność. Wyobrażasz sobie, że moglibyście stracić wszystko przez jeden czy drugi idiotyczny wybryk kogoś z was? Nie wydaje ci się to zbyt rygorystyczne?

— To dobry argument, muszę ci to przyznać. Powiedzmy, że się na to zgodzimy, i co wtedy?

— Jak to co? Będziemy wszyscy żyli długo i szczęśliwie. Nawet zgodzę się na to, aby na naszej granicy powstał, hm, salon masażu, tak chyba wy to nazywacie. W sumie nie wiem dlaczego, bo ma to niewiele wspólnego z masażem.. a może... nieważne. Wtedy będą tam przybywali z własnej, nieprzymuszonej woli tylko wasi mężczyźni, a my nie zaatakujemy żadnego z nich. I to jedynie do czasu, kiedy nasi chłopcy nie zmienią się w płodnych mężczyzn. Czyli circa about dwadzieścia lat. Co ty na to?

— Jeśli chcesz sobie tworzyć jakieś domy rozpusty, rób to po swojej stronie. Mam pewność, że Cleo nie zgodzi się na tego typu rozwiązanie. Naprawdę czasami mam wrażenie, że tylko ja pozostaję tu przy zdrowych zmysłach. Dobrze, w takim razie przygotowujemy dla was dokumenty.

— Fantastycznie, grunt to wola współpracy. — Anastazja, zupełnie niekontrolowanie, zapisała i klasnęła w dłonie.

Brenda wystawiła tylko kły, zupełnie nie dbając o przyjazną atmosferę. Naprawdę nie miała na nią ochoty. Tylko ostatnie krople zdrowego rozsądku i to, że wypila dziś ze dwa kubki smoczej krwi, ratowały driadę od niechybnej śmierci.

— A, zapomniałabym. Brendo? Pamiętasz, jak mówiłam o ludziach, rdzennych mieszkańcach?

— Tak, i co, coś nowego?

— Ta dziewczyna ich wyczuła. Są na powierzchni, tak silne doznania pojawiają się tylko i wyłącznie wtedy, gdy magia jest na tej samej płaszczyźnie co jej odbiorca. Dziewczyna ma dar, dobrze zrobiliście, zgadzając się na jej edukację.

— Możesz nie zbaczać z tematu? Dziewczyna chwilowo jest tu mało istotna.

— Ależ jest bardzo istotna. Jeśli ją poprosisz, zaprowadzi cię do nich. Oczywiście jeśli będziecie potrzebować pomocy, dajcie znać. Chętnie udzielimy wam schronienia pod obserwację, jeśli w pobliżu tego miejsca, gdziekolwiek oni przebywają, będzie las.

— Anastazjo, nie zapędzaj się. Ten las jest wam nadany. Słowo „ten” nie oznacza wszystkich lasów w niebieskiej krainie. Ten las będzie miał granice.

— Eh, a już myślałam, że uda mi się trochę rozszerzyć tę umowę na naszą korzyść. No nieważne, o tym możemy pogadać później.

Brenda spojrzała na driadę, gromiąc ją spojrzeniem. Odwróciła się na pięcie w kierunku polany i zaczęła wracać. Dziś dyplomacja i negocjacje szły jej zdecydowanie gorzej w porównaniu do tych dni, kiedy szły jej fatalnie.

— Dam znać, kiedy umowa będzie gotowa — rzuciła Brenda przez ramię i nie czekając na odpowiedź, wyszła z lasu.

Max wszedł do budynku, który mógł pomieścić przynajmniej setkę gości, a tymczasem mieszkało w nim zaledwie kilka osób, czyli on i magowie. Cisza wręcz dudniła w uszach, które i tak były wyczulone na dźwięk z racji jego tożsamości. Gdy wchodził na górę do swojego pokoju, słyszał, jak każdy krok odbija się echem. „Muszę ich poprosić, aby rzucili jakieś zaklęcie wyciszające, bo inaczej tu oszaleję” — pomyślał. Otworzył drzwi i wszedł do gustownie urządzonego pomieszczenia, w którym można było już wyczuć jego zapach, a to samo w sobie dawało mu poczucie przebywania w domu. Ściągnął brudne od podróży ubrania i rzucił je gdzieś w kąt. „Przyda mi się długa kąpiel” — pomyślał. Do szerokiej wielokanciastej zielonej balii osadzonej na marmurowym cokole nalał wody, która w tej krainie miała wręcz niespotykany w Kotalinie świeży, wiosenny zapach. „To pewnie też twoja sprawka, Ametysto, tylko ty mogłabyś wpaść na coś tak szalonego, żeby woda miała zapach, i to do tego niewyczuwalny dla ludzi” — uśmiechnął się do siebie i zanurzył w przyjemnej, ciepłej wodzie. Po pewnym czasie wyszedł z łazienki i nałożył na siebie czyste ubranie. „Czas coś zjeść” — pomyślał. „Szkoda tylko, że nie ma tu żadnej ofiary, zdecydowanie przydałaby mi się jakaś kobieta”. Zszedł na dół do przestronnej i eleganckiej jadalni, która podobnie jak hotel mogła pomieścić pułk magów.

— Pan Max, jak miło! — doszedł głos gdzieś z rogu.

Max wyteżył zmysł węchu, ponieważ jego oczy nic nie dostrzegły. Nie czuł się zbyt komfortowo, on, wilk, nie powinien był spuścić gardy. Do jego nosa dotarł delikatny, ale łatwo rozpoznawalny zapach małego kobołta.

Stworzenie wyglądało na bardzo wychudzone. Max przyglądał się kobołtowi z litością. Istota była wręcz groteskowa w swoim szkieletowatym wyglądzie, Max miał wrażenie, że najmniejszy powiew wiatru mógłby go złamać. Jednocześnie nosił bardzo pstrokate i żywe kolory. Nie dało się go nie zauważyć. Być może z racji swojego wzrostu musiał pozostawać bardziej widoczny, żeby nikt przypadkiem go nie zdeptał. Oczy tego niewielkiego stworzenia były okrągłe i dobrotliwe, ale gdzieś w głębi tliła się figlarna iskierka.

— O, widzę, że znasz moje imię. Jakbyś mógł mnie oświecić, co ty tutaj robisz i kim właściwie jesteś? — Max był na tyle na siebie zły, że go nie zauważył, że cały wysiłek, który poświęcił na relaks i wypoczynek, zmarnował się w mgnieniu oka.

— Ja, ja bardzo przepraszam. Ja mam się zajmować kuchnią, tak mówili tamci.

— Jacy tamci? — warknął.

— No, ci w sukienkach. Oni mówili, że potrzeba pomocy, a ten dom jest ładny i ja chciałem.

— W sukienkach? — Zdezorientowany Max coraz bardziej czuł się poirytowany. Jego oczy zaczęły się niebezpiecznie zwężać. — Masz na myśli magów?

— Nie wiem, jeden zwał się Jastor, taki wysoki, miał ładny kamyk na palcu, ale nie chciał mi go dać.

Max łypnął okiem na stworka. Musiał koniecznie porozmawiać z tymi szarogęszącymi się magami. Przecież powinien być o wszystkim informowany.

— Dobrze, jak cię zwa?

— Kipling, panie Max — odpowiedział kobołt, spuszczać przy tym wzrok. — Coś podać?

— Tak, jeść. I nie pytaj się mnie, co, bo i tak tego nie masz. Po prostu daj mi cokolwiek.

Kipling pobiegł w stronę kuchni, a Max usiadł wygodnie przy spiralnym stole, który wyglądał, jakby był zrobiony z setek brokatowych cząsteczek. — Co za paskudztwo, co ich wzięło na te błyskotki? — wymamrotał pod nosem.

Jedzenie było smaczne, toteż złość bulgocząca w Maxie nieco złagodniała, choć i tak czekał na powrót Jastora i reszty. Poza tą wpadką, jaką jego zdaniem zaliczyli, mieli również inne tematy do omówienia.

— Maaax, Maaax — rozbrzmiało w jego głowie.

Pierścień zaczął pulsować ostrym światłem, od którego bolały oczy. Położył na nim dwa palce i odezwał się w myślach do Brendy.

— Słucham cię. Wiesz, że korzystanie z tego pierścienia ma swoje

konsekwencje, więc jakbyś mogła się streścić, będę wdzięczny.

— W moim przypadku nie ma żadnych konsekwencji, ja już nie żyję. A ty, no cóż. — W jej głosie słyhać było cynizm. — Pomijając kwestie życia i śmierci, mamy gości. Istoty, które były wyczuwane, są na powierzchni. Jest ich wiele. Musisz je znaleźć i odizolować od naszych mieszkańców, dopóki nie upewnimy w kwestii ich zamiarów. Wiemy też, że się boją, więc mogą być niebezpieczne. Strach ma to do siebie, że wyzwała nieracjonalne zachowania.

— Kto ich wyczuwał? Wiedziałaś o tym wcześniej i mi nic nie powiedziałaś? Jak mam chronić świat Ametysty, skoro nie mówicie mi takich rzeczy?

— Ale teraz ci mówię, więc nie dąsaj się jak dziewczynka, tylko zrób to, o co cię prosi rada. — W tej wypowiedzi Max usłyszał satysfakcję Brendy, że mogła mu wydawać polecenia.

— A gdzie niby rada zaleca mi ich szukać? Granice są bezpieczne. Nie pojawiły się żadne dzwonki alarmowe.

— Wyczuwają ich około pół dnia drogi od wejścia do groty. Pamiętasz, to ta, którą znalazłeś? Są gdzieś w obrębie pół dnia drogi. Tyle wiem. Jak ich znajdziesz, daj nam znać. Ale kontaktuj się ze mną, nie chcemy przecież, żeby Cleo zaniemogła zbyt szybko.

— Dam znać, jak ich znajdę.

Zdjął palce z pierścienia i głos w jego głowie ucichł, a ostre pulsujące światło zniknęło.

— Kipling?!

Mały stworek wyrósł przed nim, zanim Max zdążył zawołać po raz drugi.

— Znajdź tych gamoni w sukienkach. Potrzebuję ich natychmiast. Chyba że wiesz, gdzie są.

— Są, panie Max, za gospodą. Bawią się chyba, bo wokoło nich jest dużo światełek. — Kipling przestępował z nogi na nogę, jakby chciało mu się iść do toalety.

— Nie bawią się, Kipling, to magowie. Oni rzucają zaklęcia. Pracują. Rozumiesz?

Kipling skinął głową, zabrał naczynia ze stołu i podreptał do kuchni.

Max wstał od stołu i skierował się prosto do tylnych drzwi prowadzących za gospodę. W ogrodzie pracowali magowie. Widocznie im się nudziło, bo bawili się w ogrodników. Max przeszedł do rzeczy bez zbędnych wstępów.

— Nie wiem, po co nam Kipling, i miałem z wami o tym porozmawiać, ale w tym czasie wyniknęło coś znacznie poważniejszego. Dlatego później wrócimy do tego tematu.

— Dzień dobry, Max — odezwał się lekko urażony Jastor. Pozostali zaś tylko patrzyli na rozwój sytuacji.

— Nie mam czasu na konwenanse. — Max zbył reprimendę, którą dało się usłyszeć w głowie Jastora. — W naszej krainie chyba pojawili się ludzie. Jest ich sporo, bo wyczuwają ich empaci i driady. Ich drgania mocy pochodzą z rejonu grotty w obszarze do pół dnia drogi. Dodam, że są magami albo mają magię. Dlatego musimy udać się tam niezwłocznie i, jak się domyślacie, wasza pomoc okaże się tu niezbędną. Nie wiemy, kto to ani ile ma mocy i czy był szkolony. Przekazano mi również, że są spowici strachem.

Archer i Beker, którzy do tej pory patrzyli na Maxa raczej obojętnie, wyprostowali się, a na ich twarzach pojawił się uśmiech. Byli młodzi i ewidentnie znudzeni ogrodnictwem i budowaniem gospody. Informacja o innych bytach, ludziach czy też magach sama w sobie była dla nich ekscytująca i zapowiadała, że nie będą się nudzili w najbliższym czasie.

XXVI

Dradon obudził się pierwszy. Rozejrzył się wokoło i ze zdziwieniem stwierdził, że to nie był sen. On naprawdę był na powierzchni. Przez bańkę przedzierało się światło. Gdzieś w rogu na posłaniu spała jeszcze Sebi, a obok niej Noemi i Katia. „Na szczęście im też udało się wydostać” — pomyślał.

Wyszedł na zewnątrz. Poranne powietrze było rześkie i tak świeże, że poczuł zawroty głowy od nadmiaru tlenu. Na niebie świeciło coś, co przypominało ciastko z dziurką. Widział to czasami na obrazach Mesty. Ona zwała to słońcem. Dokoła, jak okiem sięgnąć, było widać morze baniek mieszkalnych. Gdzieniedzie krzątali się już ludzie. Wszyscy lekko oszołomieni rzeczywistym światem. Nigdzie nie było widać demonów ani niebieskich piasków. Dradon z zapartym tchem przyglądał się wszystkiemu, co go otaczało. Pamiętał, że wczoraj gdy stanął na powierzchni, poczuł pod stopami coś miękkiego. Spojrzył więc w dół i zobaczył zielone kosmyki układające się w dywan. Z historii, jakie opowiadała mu Mesta w przyływie dobrego nastroju, wiedział, że to coś, na czym stał, nazywa się trawą. W oddali widać było niebieską ścianę, ale w świetle dnia dało się dostrzec liście i pnie. Przestrzeń była trudna do zniesienia. Brak bliskości ścian i małych pokoi powodował w nim pewien niepokój. Miał jednak świadomość, że to jedyna szansa na wolność. Nawet nie zauważył, gdy obok niego stanęły Katia i Sebi.

— Jak spałeś? — spytała, ziewając, Katia.

— Jak dziecko. Nie wiem jak ty, ale ja czuję niepokój.

— Ja też, ale tego chcieliśmy. Chcieliśmy być wolni. To miejsce jest naszą szansą, nie możemy o tym zapomnieć.

Sebi stała bez ruchu, chłonąc każdy najmniejszy szczegół. Jej rude włosy po nocy pozostawały w nieładzie, a lekki wiaterek podrywał je lekko w górę. Dopiero w tym świetle widać było, jaka jest młodziutka. Dradon jednak nie zapominał, że ma ogromną moc i jest córką jednej z trzech wiedźm, które rządziły podziemiem.

— Katio, masz jakiś plan? — zapytał beznamiętnym głosem.

— Mam ogólny zarys. Po pierwsze, nie możemy tu zostać, bo znajdujemy się zbyt blisko wyjścia. Jeśli, a na pewno tak się stanie, Mesta zorientuje się, że z jej królestwa zniknęło kilkuset mężczyzn i kobiet, wścieknie się i jest spora szansa, że znajdzie to wyjście. Jak się zapewne domyślasz, zaczną nas ścigać. Musimy się

stąd oddalić i zatrzeć ślady. Nie mogę zablokować wyjścia, bo chcemy uratować więcej z nas. Wiesz, tam, na dole, zostali jeszcze inni, którzy będą czekali na kolejny dogodny moment, aby wyprowadzić resztę. Tymczasem musimy obudzić pozostałych. Noemi zabrała kilkunastu nieszkolonych magów i uczy ich podstawowych zaklęć, żeby pomogli nam w zacieraniu śladów. Żadna z nas nie ogarnęłaby takiego zadania samodzielnie.

— Ciociu, a czy tu wszędzie jest tak ładnie? I dlaczego cioci Mesty nie ma tu z nami? Jej też by się na pewno spodobało.

— Kochanie, na pewno by się jej spodobało, ale wiesz, ona ma obowiązki w królestwie na dole — odparła spokojnym tonem Katia.

— Ale ciociu, dlaczego uczycie służących magii? Ciocia Mesta mówiła, że takich jak oni nie można uczyć, bo są za głupi, żeby korzystać z tego daru. Wiesz przecież, że to zabronione. — Sebi była wyraźnie zirytowana nagłą zmianą reguł i praw, do jakich przywykła i które wpajano jej od małego.

— Kochanie, czasami trzeba złamać zasady. Obiecuję, że jak już znajdziemy miejsce na osiedlenie się, wszystko ci wytłumaczę.

Sebi naburmuszyła się, krzyżując drobne rączki na piersi.

— Mogę iść do mamy? — mruknęła pod nosem, nie patrząc ani na Dradona, ani na Katię.

— Możesz, kochanie, jest tam. — Wskazał palcem w kierunku niebieskiej ściany.

— Dradonie? — Katia zwróciła się do niego, gdy Sebi z miną naburmuszonej pięciolatki odeszła we wskazanym kierunku. — Pomożesz mi wszystkich zebrać?

— Ale przecież tych baniek są setki. Mamy chodzić od bańki do bańki?

— Nie — uśmiechnęła się z pobłażaniem Katia. — Jeśli pozwolisz, pobiorę od ciebie moc. Dzięki temu moje zaklęcie się wzmocni i na wszystkich bańkach pojawi się informacja, gdzie się zbieramy i o której. Musimy ruszać niebawem, bo zapasów wody starczy nam na dwa dni. Do tego czasu musimy znaleźć jakieś źródło i miejsce, w którym będziemy mogli się zatrzymać.

— Skąd wiesz, że mam moc? — zapytał niepewnie Dradon.

— Błagam cię, przecież to widać, szczególnie tutaj, gdy przestałeś się pilnować. Cały błyszczysz. Chcesz zobaczyć?

Dradon skinął głową. Był podekscytowany tym, że on mógłby emanować magią. Katia wyciągnęła z kieszeni małe lusterko i podała Dradonowi. Gdy spojrział w nie, zobaczył, że wokół jego głowy skrzy się coś na kształt chmury. Gdy tak się sobie przyglądał, skojarzył jeden z obrazów wiszących u Mesty, na którym mężczyźni i kobiety byli otoczeni taką właśnie chmurą iskierek błyszczących w świetle. Teraz dopiero zrozumiał, że obraz ten przedstawiał ich historię, gdy i kobiety, i mężczyźni mogli korzystać z magii.

— Napatrzyłeś się już? — Katia wyglądała na bardzo rozbawioną. — Mogę skorzystać z twojej magii?

— Możesz. Wiesz, po raz pierwszy ktoś pyta mnie, czy może coś ze mną zrobić. Ba, po raz pierwszy pyta mnie o to czarownica.

— Zawsze musi być ten pierwszy raz. Domyślam się, że sprawiło ci to przyjemność. — Dradon tylko kiwnął głową, niepewny jeszcze, jak się z tym czuje. — Podaj mi, proszę, dłonie.

Katia wzięła go za ręce i wciągnęła spokojne powietrze. Wokoło zaczął się niekontrolowany przez nikogo ruch powietrza. Nie był to wiatr, raczej wyraźnie wyczuwalne drgania. Dradon przymknął powieki i skupił się na nieznanym mu dotąd uczuciu. Jego ciało zdawało się dzielić na delikatne nitki. Niektóre z nich były ciepłe, inne wręcz gorące, tętniące życiem. Powoli kosmyki mocy zaczynały płynąć do jego rąk i tam łączyły się z delikatnymi kosmykami mocy Katii.

— *Faib lub hwj chim ntawm kev tso cai los ntawm nws tus tswv.*

Dradon słuchał słów, nie będąc do końca świadomym, z drugiej strony zaś czuł, jak zaklęcie nabiera mocy i odpływa w dal, realizując polecenie czarownicy. Nadia puściła jego dłonie, a on nagle poczuł się słabszy.

— Dziękuję, Dradonie. Widzimy się za pół godziny na placu. — Nie czekając na odpowiedź, ruszyła w kierunku granatowej ściany.

Dradon nie mógł się jeszcze odnaleźć na powierzchni, ale w głębi duszy był przekonany, że tu znajdował się lepszy świat. Nikt z nich nie wiedział, co ich czeka, lecz wokół można było wyczuć nadzieję. Strach i tyrania, jaką oferowało królestwo Mesty, stały się przyczyną ich planu. Nikt z nich nie chciał tam wracać. Strach przed śmiercią, która spotkałaby ich za spisek, stanowił dodatkową motywację do tego, by cała operacja się udała. Idąc po miękkim podłożu, Dradon spacerował wśród baniek ochronnych. Wokoło chodziły dzieci i dorośli, głównie mężczyźni, ale kobiety też były obecne, niektóre w ciąży, noszące w swych łonach chłopców. Niektóre jeszcze młode i niedojrzałe. Kobiet było znacząco mniej, jednak należała im się wdzięczność, bo to głównie dzięki nim on i inni mężczyźni wyzwolili się z koszmaru, jakie fundowało im królestwo Mesty. Tu i ówdzie zaczęto składać bariery ochronne. „Fascynujące, że składają się do wielkości dłoni” — pomyślał Dradon.

Magia była wszędzie i jej jedyne zadanie stanowiło wspieranie i pomaganie. Nie było w niej krzty agresji czy nienawiści.

Wszyscy zebrali się już na placu, który dzięki złożeniu baniek był teraz znacznie większy. Noemi wraz z wybranymi mężczyznami również wrócili i ustawili się w szereg. Poruszanie w ciąży sprawiało jej coraz więcej problemów. Sam fakt, że niebawem miała rodzić, stanowił problem. Na twarzach mężczyzn widać było zachwyty płynący z oczu, tych którzy po raz pierwszy mieli świadomie i bez konsekwencji użyć swojego daru.

— Moi drodzy rebelianci, a właściwie: nowy narodzie. — Noemi stała pośrodku okręgu, jaki utworzył się z zebranych. Jej głos był wzmocniony magią, tak aby wszyscy mogli ją usłyszeć. Ciepły i kojący, a zarazem pewny i budujący poczucie bezpieczeństwa. — Pracowaliśmy nad tym przez lata. Teraz jesteście pierwszymi po wielu stuleciach, którzy doświadczyli, jak wygląda świat. Nie wiemy, jak się zmienił przez te setki lat, ale mamy teraz pewność, że nas oszukiwano. Na powierzchni można żyć, oddychać, a jak okiem sięgnąć, nie widać demonów. Jesteśmy wolni i teraz możemy stworzyć swój świat, w którym kobiety i mężczyźni będą mogli świadomie i bez konsekwencji posługiwać się magią dla dobra innych. W naszym świecie nie będzie przemocy. Nie będzie gwałtów ani poniżenia. Nie wiemy, co nas czeka na powierzchni, ale jestem pewna, że będzie to dużo lepszy los niż to, czego doświadczyliśmy przez setki lat, gnieźdząc się pod ziemią jak demony. Nie mamy map ani wiedzy, dysponujemy tylko nadzieją. Jednak ona ma siłę i dzięki niej staniemy się lepsi. Pamiętajmy naszą przeszłość, żeby nie popełnić tych samych błędów. Być może żyją tu inni. Pamiętajcie, że z ich perspektywy możemy stanowić zagrożenie. Zrozumcie to i szukajcie porozumienia.

Być może Mesta będzie nas ścigać, ale my jesteśmy silni i będziemy walczyć o lepszą przyszłość swoją i naszych dzieci. A teraz ruszajmy. Mamy przed sobą zadanie do wykonania. Szukajmy wody i miejsca, w którym moglibyśmy się osiedlić. Moi uczniowie, adepci magii, mężczyźni po raz pierwszy legalnie użyją swojej magii, by pomóc nam wszystkim. Pamiętajcie, razem jesteśmy silni.

— *Cov neeg uas xav mus saib yuav tsis pom tej yog tias koj tsis xav yuav pom.* — Ponad trzydzieści osób jednocześnie chwyciło się za ręce i zaczęło wypowiadać zaklęcie.

Twarze tych, którzy po raz pierwszy mogli uwolnić to, co w nich drzemało, stanowiły niesamowity widok, promieniały magią i szczęściem. Wokół wszystkich zebranych pojawiła się bańka. Dzięki niej stali się niewidoczni, a każdy pozostawiony ślad znikał. Grupki uchodźców ustawiły się w rzędach. Każdy podekscytowany nowym życiem, jakie ich czekało gdzieś na tym lądzie. Strach znikał, ustępując miejsca nadziei. Ruszyli pewnym, żwawym krokiem w nieznaną i lepszą przyszłość, jaka ich zdaniem czekała na nich na tym świecie.

XXVII

Cleo właśnie szykowała obiad i obierała meferie na zupę. Lubiała gotowanie, które zawsze ją odprężało. Brenda weszła do domu Cleo jak do siebie, nie zwracając uwagi na dobre wychowanie.

— Cleo? Cleo? — zawołała od progu.

— Tu, w kuchni — odpowiedziała Cleo, jednocześnie wycierając nóż z obierków o spódnicę. — Coś się stało? Wpadłaś tu, jakby cię driady goniły.

— Gonić mnie nie gonią, ale dogadałam się z nimi. Wygląda na to, choć nie chcę chwalić dnia przez zachodem słońca, to znaczy wydaje mi się, że rzeczywiście są zdeterminowane, by podpisać rozejm.

— To fantastycznie, będziemy mieli jeden problem z głowy. Swoją drogą za jakiś czas będę chciała je zbadać. Fakt, że zaczęły się rozmnażać, jest dla mnie naprawdę fascynujący. To może wiele zmienić w naukach zielarstwa. Nie wiem, mam wrażenie, że to sprawka Ametysty. Ta ziemia jest naprawdę niezwykła. Sadzę, że czeka nas tu wiele niespodzianek. — Cleo mówiła do siebie, patrząc gdzieś w przestrzeń ponad głową Brendy. Chyba zdała sobie z tego sprawę, bo przeniosła wzrok na wampirzycę. — Ale wracając do rzeczy, czegoś ode mnie, rozumiem, potrzebujesz?

— Tak, potrzebuję umowy na piśmie, z twoim podpisem i podpisami reszty członków rady.

— No to przygotuj, dziecko. Ja teraz gotuję — uśmiechnęła się przekornie Cleo. Wiedziała, że Brenda nie znosi, jak się ją nazywa dzieckiem, co w sumie było logiczne. Brenda miała ponad sto pięćdziesiąt lat, a co za tym idzie, była prawie o wiek starsza od Cleo.

Wampirzycy wysunęły się kły, a wzrok skupił się na Cleo. Reakcja była tak nagła, że Cleo aż podskoczyła. Sama Brenda chyba nie zdawała sobie z tego sprawy, bo widząc zaskoczenie na twarzy Cleo, zawstydzila się swoim zachowaniem. Wiedziała, że Cleo tylko żartuje. „Jestem zupełnie rozstrojona po tej historii z Maxem i Ametystą” — mówiła do siebie w duchu. „Muszę coś ze sobą zrobić, bo za chwilę rzeczywiście komuś przegryzę tętnicę. Chyba przydałby mi się urlop. Tata na pewno się ucieszy. Nie, to nie jest dobry pomysł, on jest teraz z tą lafiryndą. Nawet nie pamiętam, jak ma na imię. Muszę coś wymyślić, bo czuję, jak

się we mnie gotuje, a nie mam ochoty na urządzenie rzezi niewiniątek i wybicie wszystkich mieszkańców niebieskiego wymiaru”.

— Widzę, że jesteś bardzo drażliwa. Zachowujesz się dziś co najmniej jak nastolatka z burzą hormonów po tym, jak wyrósł jej pryszcz.

— Przepraszam, Cleo. — Spuściła wzrok i ściszyła głos. — Ostatnio rzeczywiście jestem podminowana. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

— Nie rozumiem, ale przyjmuję przeprosiny. Może masz ochotę porozmawiać?

— Nie sędzę — burknęła znowu.

— No dobrze, przygotuj ten dokument. Poproś też centaury o pomoc. Tymid jest dość biegły w traktatach. Na pewno ci pomoże.

— Dobrze, Cleo. Jeszcze raz przepraszam. Chyba muszę jednak wziąć sobie kilka dni wolnego.

— Tylko nie jedź do Maxa. Nie sędzę, żeby ci to poprawiło humor. Wydaje mi się wręcz, że możesz wtedy stracić panowanie nad swoimi żądzami i swoją naturą.

Brenda wytrzeszczyła oczy, a szczęka jej opadła, odsłaniając lekko wystające kły. Patrzyła tak na Cleo przez dobrą minutę. „Dlaczego ona coś takiego powiedziała?” — myślała w duchu. „Czy ona wie? Ale skąd niby miałyby wiedzieć? Max na pewno jej nie powiedział, byłby kretynem. Powiedzieć matce, że zdradzał jej córkę.

— Widzę, że cię zaskoczyłam — uśmiechnęła się Cleo, przyglądając się Brendzie smutnymi oczami.

— Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy. Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

— Dziecko — powiedziała spokojnie — przecież to jest widoczne na pierwszy rzut oka, a szczególnie dla mnie, że jesteś w nim zakochana. I coś między wami było. Gdy się pojawiłaś, on zaczął się zachowywać, jakby chciał coś ukryć. Byłaś z nim, prawda?

— Eee, noo. Skąd ci to przyszło do głowy?! — Brenda szła w zaparte.

— Ależ ty jesteś uparta, jakbyś była centaurem, a nie wampirem. Umówmy się, że ja będę w takim razie udawała, że nic nie wiem i niczego nie zauważyłam. Zresztą twoja reakcja jest tak oczywista, że właściwie nie trzeba mi nic więcej. Przykro mi tylko, że cię zranił. Mam nadzieję, że moja córka nie dowiedziała się o tym, gdy żyła. Serce by jej pękło. Była taka nieufna. — Mówiąc to, Cleo patrzyła bardzo wymownie na Brendę.

Brenda znieruchomiała ze zdziwienia. „Ta kobieta ma dar, umie łączyć fakty jak nikt inny” — pomyślała Brenda. „Będę musiała o tym pamiętać”.

— Cleo, wróć za dwie godziny, jak napiszę ten traktat. A, jeszcze jedno: Cenda podobno ma kilka darów, tak twierdzą driady. Ma empatię, magię i zielarstwo. Może być naprawdę wartościowa, gdy ją wykształcimy. Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że w wymiarze Ametysty można łączyć zielarstwo i magię, i że nie kolidują one ze sobą.

— Być może, Brendo. Moja córka bardzo mądrze potrafiła wykorzystywać swój talent. Może to też sprawiła.

Brenda wyszła z kuchni. Przyśpieszyła kroku, przechodząc przez korytarz i wyszła na zewnątrz. Była zdezorientowana. Jej gorset zaczął ją uwierać praktycznie wszędzie, a to dodatkowo ją rozdrażniło. Poszła w kierunku zagrody centaurów, a tam akurat Tymid rozmawiał z Deris w pobliżu wejścia. Iris nie było nigdzie widać, co Brenda przyjęła z ulgą. Ta centaurzyca naprawdę działała jej na nerwy.

— Tymid — przywitała się skinięciem głowy.

— O, Brendo, jak mi... — przyjrzał się jej uważniej — no dobra, chyba nie będzie miło. Wyglądasz, jakby ci pół rodziny wybili, a ty miałabyś plan wendety.

— Dobrze to ująłeś. Właśnie taki mam nastrój. Możemy przejść do rzeczy?

Tymid popatrzył na Deris znaczącym wzrokiem, a ta bez zbędnych pytań poszła w kierunku gospody. Przez ramię tylko jeszcze rzuciła do Brendy:

— Witaj, Brendo, jakby co, zaraz będzie potrawka z meferii i krwi smoczej

z dodatkiem mięsa smoczego. Gdybyś miała ochotę, zapraszam.

— Była jakaś dostawa meferii, o której nic nie wiem? Cleo też dzisiaj robi zupę z meferii?

— Nie mówiła ci? U nas meferie rosną trzy razy szybciej niż w Kotalinie. Ziemia, która została obsiana na próbę, gdy się tu sprowadziliśmy, wydała plony w takich ilościach, że nie jesteśmy w stanie tego przejeść, nawet jakbyśmy chcieli. Dodatkowo ich cykl wzrostu jest jakby oparty na wiatrach. Do zbiorów były gotowe po dwóch miesiącach zamiast po roku.

— Nie mówiła mi, ale to zapewne nam się przyda. Ty pewnie nie wiesz, że mamy gości w naszym wymiarze albo może nie gości. Rdzenni mieszkańcy się ujawnili. Właściwie zostali wyczuci przez empatów, no i dogadaliśmy się z driadami.

— No proszę, dzień intrygujących informacji. Pozwolisz, że cię dopytam o tę kwestię potem. Rozumiem, że teraz masz coś innego do mnie i nie przysłaś się tu dzielić nowościami z życia wymiaru.

— Nie, nie przysłałam. Musimy napisać traktat dla driad. Pomożesz mi? Ja się chyba dzisiaj nie nadaję do tak dyplomatycznych, a zarazem racjonalnych zadań.

— Nie ma problemu. Wejdz, proszę. Czuję, że obiad gotowy. Najpierw zjemy, a później zajmiemy się pisaniem. Ułóż sobie w głowie, co uzgodniłyście, a potem to spiszemy. Zależy mi, abyśmy zrobili to raz, a dobrze.

— Niech ci będzie, Tymidzie. Mam nadzieję, że Illis nie ma nigdzie w pobliżu. Dzisiaj nie jestem zbyt tolerancyjna, mam muchy w nozdrzach.

— Nie, poszła do miasta. Wróci wieczorem.

Brenda weszła do zagrody, zamykając magicznie bramę. Może obiad i spokój Tymida pomogą jej dojść do siebie.

XXVIII

Przy bursztynowym stole siedzieli Max, Archer i Beker. Młodzi magowie wierzili się niespokojnie w małych, choć, zdaniem Maxa, wygodnych fotelach.

Dopiero co skończyli gildię i była to ich pierwsza misja. Od razu rzuciło się w oczy, że nie potrafili ukryć podekscytowania, co w dyplomacji stanowiło poważny błąd. Na szczęście Max nie dbał o to w tej chwili, ale obiecał sobie, że zanim wyruszą, udzieli im kilku lekcji, jak się zachować, gdy spotkają tych, których wyczuli empaci i driady.

— Moi nieopierzeni magowie — zaczął złośliwie Max. — Jak wiecie, niebawem będziemy mieli przyjemność, przynajmniej taką mam nadzieję, poznać tych, których magia została odkryta. Wiemy, że znajdują się na północ od granicy wyznaczonej przeze mnie i Brendę. Oznacza to, że przebywają na terenie, który nie został jeszcze spenetrowany. Wiemy też, że mają magię. Nie wiemy natomiast, ilu ich jest ani czy są szkoleni. Mówiąc w skrócie, nie wiemy nic poza tym, że tam są.

— To kiedy ruszamy?! — wyrwał się podekscytowany Archer.

„Niewiarygodne, że nadają tak wysokie kamienie nieokrzesanym, z nadmiarem testosteronu dzieciakom. W niesprzyjających okolicznościach bez nadzorowania takich napaleńców mogłoby to doprowadzić co najmniej do lokalnej katastrofy” — rozmyślał Max.

— Wyluzuj, młody. Najpierw musimy się przygotować. Znacie zaklęcie tłumaczące inne dialekty i języki?

— A po co? — zapytał Beker.

— Naprawdę? Naprawdę zadajesz mi to pytanie czy też się ze mną drocysz? — zapytał szczerze zdziwiony tym pytaniem Max. — Pozwól, że wyjawię ci po co, tak na wszelki wypadek, jakbyś rzeczywiście zadał to pytanie. Otóż, mój drogi, skoro nie wiemy, kim są, to też nie wiemy, czy mówią w naszym języku. Nie wiemy, czy są szkolonymi magami, więc nie wiemy również, czy i oni używają zaklęć tłumacza.

— No tak, masz rację. To było głupie pytanie. Jakoś nie pomyślałem. Wiesz, bo to takie niesamowite. Będziemy pierwszymi, którzy spotkają te istoty. To będzie wielkie odkrycie. A jeśli są potężniejsi od nas? — Beker zawahał się, zadając to ostatnie pytanie.

Max zmarszczył brwi i zrozumiał, że on właściwie też nie wie, co się stanie, jeśli tamci okażą się potężniejszymi. Poza tym jest ich tylko trzech. Patrząc z innej strony, jeśli mają być dyplomatami i zadbać o pokojowe rozmowy, to przecież nie

mogą iść z armią magów, bo wtedy szanse, że uda im się dogadać, będą nikłe.

Kipling podszedł do stołu i postawił suszone meferie oraz dzban koki.

— Kipling, weź daj mi jakiś sok, nie mam ochoty na kokę — rzucił Beker za odchodzącym kobołem.

— Halo, skup się, Beker — warknął Max, zły na siebie, że sam o tym wcześniej nie pomyślał. — Na razie nie przygotowujemy im komitetu powitalnego. Musimy dowiedzieć się o nich więcej. A co najważniejsze, musimy znać dokładną ich lokalizację. Może uda nam się odgadnąć ich plany. Potrzebujemy też empaty, żeby z nami poszedł. Dzięki temu być może uda nam się zaplanować najbardziej odpowiedni sposób, nazwijmy to, „na pierwszą randkę”.

— Dobra, już dobra — zachnął się Beker.

Archer nie odzywał się zbyt często, mimo że cały czas zachowywał się, jakby miał w tyłku owsiki. Starał się stwarzać pozory opanowania, ale nawet dla zupełnego laika jasne było, że to tylko nieudolna próba. Max wstał od stołu, dopijając przy tym ostatni łyk koki. Beker jednak nie zdążył nawet zamoczyć ust, bo Kipling przepadł gdzieś w poszukiwaniu soku, o który prosił.

— Nie traćmy czasu w takim razie, mam pewien plan działania, na razie bardzo ogólny. Zanim pójdziemy, musicie mi sprowadzić empatkę. Który z was się tym zajmie?

Magowie popatrzyli po sobie, a ich twarze nie zdradzały żadnego zaangażowania, nie pozostał nawet cień entuzjazmu, który przed chwilą był prawie nie do opanowania.

— No, nie widzę lasu rąk. Archerze, zostałeś wybrany na ochotnika. Masz trzy godziny. Skontaktuj się z Brendą albo z Cleo, one ci kogoś wyznaczą. No już, ruszaj.

Archer wymamrotał coś pod nosem i rozpląnął się w powietrzu. Tymczasem Beker z Maxem postanowili przejrzeć nietypowe zaklęcia, które ewentualnie by się im przydały. Między innymi zaklęcie tłumacza. Niby każdy mag się go uczył, ale właściwie od stuleci nie używano go, gdyż nie było takiej potrzeby. Spisali to, co trzeba było, na stronie iluzji, tak na wszelki wypadek, gdyby coś im wyparowało z głowy. Beker poszedł się przebrać w coś bardziej

maskującego. Na wszelki wypadek postanowili nie używać magii ani zaklęć maskujących, żeby nie przyciągać ewentualnej uwagi. Max miał zamiar zmienić się w wilka, żeby wykorzystać też swój węch i słuch, dzięki któremu mogli zredukować liczbę zaklęć potrzebnych do wytropienia tych istot. Pozostawali prawie w gotowości do drogi, gdy pojawił się Archer wraz z dziewczyną. Była słusznej postury i na pewno niełatwa do ukrycia czy zamaskowania. Jej wzrost był imponujący. „Ciekawe, jakie miała korzenie, że tak wyrosła” — pomyślał Max.

— Rozumiem, że delegowała cię Cleo lub Brenda, abyś nam pomogła, tak?

— Nooo prawie tak — odparła dziewczyna.

— Co znaczy prawie tak? — zapytał ze zdumieniem Max.

— Noo boo w osadzie poza mną nie ma innego empaty. Znaczący jest, ale ja chyba mam największy dar, tak twierdzą driady. No i zgłosiłam się na ochotnika.

— Pytałeś kogoś z rady, czy ona może nam pomóc, Archerze? — Max zmierzył go karcącym wzrokiem.

— No, hm, nie, nie mogłem ich znaleźć, a było mało czasu no i tak wyszło, ale ma dar empatii rzeczywiście dość silny, sprawdziłem.

Max patrzył na tych dwoje spod przymrużonych powiek. Nie był zadowolony z tej sytuacji, ale czas naglił i nie mógł sobie pozwolić na zwłokę.

— Żeby było jasne. Nie podoba mi się ta sytuacja, ale nie mam już czasu. Chwilowo nic nam nie zagraża, więc nie będę się uciekał do wykorzystania pierścienia. Jak masz na imię, empatko?

— Cenda, proszę pana.

— To jest Archer, jego już znasz, to Beker, a ja mam na imię Max. Nie ma potrzeby sobie panować, bo to tylko wydłuża komunikaty. Pamiętaj, dziewczyno, że jestem inkubem, i ja tu rządę zgodnie z wolą Vika. Wszystkie moje polecenia mają być wykonywane bez dyskusji.

— Jesteś inkubem? — Zadając to pytanie, wzięła głęboki wdech i prawie zapomniała z wrażenia o wypuszczeniu powietrza. — Takim prawdziwym inkubem? — Oczywiście jej rozbłysły, gdy przypomniała sobie, co czytała o

możliwościach inkubów.

— Tak, najprawdziwszym, ale to bez znaczenia. Kiedy skończymy nasze zadanie, może znajdę czas, aby odpowiedzieć ci na pytania, które niewątpliwie cisną się ci na usta. Idziemy.

XXIX

Zupa z meferii okazała się bardzo smaczna. Na tej ziemi wszystko miało bardziej wyrazisty smak. Cleo była przekonana, że to dzięki jej córce. Miała wręcz pewność, że czeka ją jeszcze wiele niespodzianek w niebieskim wymiarze. Siedziała razem z Karlem na obitej w zielone kwiaty sofie i popijali herbatę z ziół, które niedawno odkryła. Smak był zachwycający, nie do końca możliwy do określenia, ale już po pierwszym kubku, który wypila kilka dni wcześniej, wiedziała, że będzie to jej ulubiona herbata. Wyciągnęła nogi na stoliku z niebieskiego drewna, z którego wcześniej zdjęła obrus, i położyła głowę na ramieniu Karla. Wiedziała, że te w miarę spokojne dni mogą zaraz bezpowrotnie przeminąć, gdyż odkryci magowie na pewno natrafiają na ich osadę. „A co, jeśli z ich perspektywy najechaliśmy ich wymiar? Skoro oni byli tu wcześniej, mogą tak uważać. A jeśli są agresywni albo nie znajdziemy nici porozumienia, czy będziemy musieli powrócić do Kotaliny? — rozważała. Nie знаła odpowiedzi na żadne z tych pytań. Miała nadzieję, że uda im się jakoś znaleźć rozwiązanie tej sytuacji. Lubiła ten wymiar, na każdym kroku czuła cząstkę swojej córki. Karl chyba przysnął, bo oddychał spokojnie i miarowo. „Na szczęście nie chrapie” — pomyślała Cleo. Zza jej pleców dobiegł znany jej bardzo dobrze głos.

— Cleo? Cleo?

— Cześć, dziadziusiu. Znowu chcesz ze mnie robić wariatkę? Tym razem się nie uda, bo jestem tu sama z Karlem.

— I dobrze praprapraprawnuczko. Tak swoją drogą kiedyś muszę policzyć, ile razy pra jesteś. Słuchaj, kontaktowałeś się ostatnio z Vikiem? — Guido usiadł w fotelu, na którym zasiadał jej brat, gdy był malowany. Znowu zresztą zniknął, robił tak zawsze, gdy pojawiał się Guido. Dziś król elfów był ubrany w różową szatę. Z tymi swoimi czarnymi długimi włosami i szpiczastymi uszami wyglądał dość groteskowo.

— Nie, a czemu pytasz? Poza tym czy ty musisz się zawsze pojawiać tak znikąd? I to w najmniej odpowiednich momentach? — spytała zirytowana.

— No tu mnie zaskoczyłaś, Cleo. Nie uważasz, że fakt odnalezienia istnień w tym wymiarze może być czymś, co by go zainteresowało? Biorąc pod uwagę, że tworzy tu swoją kolonię... To naprawdę bardzo nierozsądne, że sama o tym nie pomyślałaś.

— O, do wszystkich demonów. Masz rację. Nie wiem, jakoś tak się zaplątałam w nasze sprawy i w to, co dzieje się w naszym wymiarze, że wyleciało mi to z głowy. Nawet kilka razy chciałam, znaczy miałam taki zamiar skontaktować się z nim, ale potem to całe zamieszanie i jakoś mi umknęło.

— No to do dzieła, dziecko. Ja wiem, ale on jeszcze nie i lepiej, żeby się dowiedział od ciebie. W przeciwnym razie może stracić do ciebie zaufanie, a tego byś nie chciała, bo jesteście na cenzurowanym. Pamiętasz? Karl i ty żyjecie tylko dlatego, że waszą córką była Ametysta.

— Z kim rozmawiasz, Cleo? — zapytał na wpół przez sen Karl.

— Śpij, kochanie, to Guido — szepnęła Cleo.

— Coś się stało?

— Nie, nie śpij spokojnie. — Delikatnie pocałowała go w usta i pogłaskała po głowie.

Nie trzeba mu było powtarzać dwa razy, Karl zasnął jak dziecko.

— No więc? — Guido wrócił do tematu, wyraźnie ją ponaglając. — Kiedy się do niego odezwiesz?

— Dziadku, co ty taki w gorącej wodzie kąpany? Coś się wali? Pali? A może to taka cecha elfów? — Chciała choć trochę mu dogryźć. — Wiem, że to ważne, zaraz to zrobię.

— Wołałbym teraz — powiedział stanowczym i nieznoszącym sprzeciwu tonem Guido. Ewidentnie coś wiedział, tylko chyba nie za bardzo chciał się podzielić konkretami.

— Już się z nim kontaktuję. Już! — Cleo skapitulowała nie miała siły dyskutować dziś z Guidem, szczególnie że jeszcze chwilę temu była w błogim nastroju. Dziś nie miała bojowego nastawienia, zresztą praktycznie zawsze, gdy Guido się pojawiał, irytował ją.

Dotknęła swego pierścienia i wywołała Vika.

— Zaczekaj chwilę, Cleo, muszę znaleźć inne miejsce, tu nie za bardzo

mogę z tobą rozmawiać — usłyszała w swojej głowie. — No już, dawno cię nie słyszałem. Skoro używasz pierścienia, to musi być coś ważnego. Coś się stało?

— Na razie nic się nie stało, Wasza Wysokość. Odkryliśmy w tym wymiarze innych magów. Wiemy, że są, wiem też, że się boją. Max i twoi wysłannicy zaczęli ich szukać. Postaramy się, aby efekty rozmów, gdy już ich znajdziemy, były pokojowe i z korzyścią dla wszystkich.

— Od kiedy o tym wiecie? Dlaczego wcześniej mnie nie poinformowałaś?
— Vik był zły, co dało się usłyszeć w jego głosie, który teraz wypełniał całą jej głowę.

— Od niedawna, Viku. Najpierw to były przeczucia i podejrzenia, nie widziałam powodu, by zawracać ci tym głowę. No ale ostatnio wyczuły ich driady i nasza nowo odkryta empatka. Stąd uznałam, że informacja jest na tyle potwierdzona, by cię o tym poinformować. Jest jeszcze kilka innych elementów, o których warto, abyś wiedział. Są oczywiście mniej istotne.

Vik przerwał jej:

— Skoro są mniej istotne, nie marnuj na to swojego życia i krwi, aby mnie poinformować. Pamiętaj, że pierścień odbiera ci je za każdym razem, gdy go używasz. Te mniej istotne spisz i prześlij je do mnie. Co do tych istot na razie nie będę się wtrącał. Na wszelki wypadek wyślę ci kilkoro magów, jeśli tamci okazaliby się agresywni.

— Oczywiście, Wasza Wysokość, choć mam nadzieję, że nie będzie potrzeby korzystania z ich darów.

Cleo rozłączyła się. Te połączenia przyprawiały ją o zawroty głowy i czuła się osłabioną, i tak już niemłodą kobietą. Miała do siebie pretensje, że doprowadziła do konieczności użycia pierścienia. Gdyby nie była taka roztrzepana, mogłaby na bieżąco przekazywać wiadomości Vikowi. „No ale trudno, nie będę płakać nad rozlaną koką” — pomyślała.

— Dobrze zrobiłaś, Cleo — odezwał się Guido. — A teraz coś ci powiem, więc słuchaj uważnie. Ci, których spotkacie, to ludzie, w przeważającej części magowie bez żadnych szkoleń czy szkoły. Dobrze, że czujecie ich strach, bo tam, gdzie żyli, przeszli piekło. Oni nie są niebezpieczni, lecz raczej nieufni. Musicie zdobyć ich zaufanie. Podpowiem ci, że powinni z nimi rozmawiać mężczyźni.

Mimo że jesteś głową rady, nie polecam, abyś to ty reprezentowała waszą osadę i Vika. A już na pewno nie Brenda. Nie będę ci teraz tłumaczył dlaczego, sama dowiesz się tego w swoim czasie. Podejdźcie do nich z otwartym umysłem i życzliwością, a wszystko będzie dobrze.

— Czy to już wszystko? No dobrze, masz moje słowo — westchnęła w sumie z ulgą Cleo.

— Ale to nie wszystko, moje dziecko. Za nimi przyjdą ci, których należy się bać. Rozumiesz? Z nimi będziesz musiała rozprawić się bezkompromisowo, ale uważaj na swoje decyzje, bo jeśli źle wybierzesz, przyczynisz się do wojny między wymiarami. Ufam jednak twojemu osądowi i wiem, że właściwe osoby poniosą karę.

— Zaraz, ale co mam niby zrobić? Jak to bezkompromisowo? Mam wydać na kogoś wyrok? Na kogo?

— Władza też ma swoje ciemne strony. Ty niebawem będziesz miała okazję ich zasmakować. Współczuję ci, wnuczko, bo to ogromne brzemię odebrać komuś życie. Niestety, jeśli odbierzesz je nie temu, komu się to należy, konsekwencją będzie śmierć wielu tysięcy.

— Skąd to wszystko wiesz? I skoro jesteś taki mądry, to nie możesz mi po prostu powiedzieć, co i jak mam zrobić? Ja nie chcę na nikogo wydawać wyroku. Jestem zielarką, a nie morderczynią. Leczę, nie zabijam.

— Ot i cały paradoks w związku z tym, co cię czeka. Uleczysz setki osób, jak nie tysiące, jeśli wybierzesz mądrze i ostatecznie.

— Musisz mówić tymi zagadkami? Skoro tyle wiesz, po prostu powiedz mi krok po kroku, co mam zrobić. Tak na pewno byłoby łatwiej.

— Kochana Cleo, bardzo bym chciał, ale wtedy ingerowałbym w przyszłość, a tego mi zrobić nie wolno. I tak naginam już zasady, mówiąc ci to, co mówię. Nie oczekuję, że zrozumiesz, ale mam nadzieję, że mnie dobrze wysłuchałaś. Zaufaj mi. — Po tych słowach zniknął i na jego miejscu znowu pojawił się jej brat.

Cleo była rozdygotana. To, co mówił Guido, było właśnie tym, czego najbardziej się obawiała, przyjmując to stanowisko. Miała nadzieję, że taki dzień

nigdy nie nadejdzie.

— I co ja mam teraz zrobić? Zabić, aby uratować? Tak nie można. Muszę w takim razie poprosić Vika o zwiększenie liczby magów, skoro ten, kto przyjdzie za nimi, jest niebezpieczny. Ale jak ja to wytłumaczę? Nie mogę przecież powiedzieć, że Guido mnie ostrzegł.

W jej głowie myśli pędziły jak wiatry. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że chodzi po pokoju w tę i z powrotem, wypowiadając je na głos. Jej dłonie były spocone, skóra ją swędziała. Zaczęła się drapać do tego stopnia, że z jej głowy zaczęły ściekać strużki krwi.

— Cleo? Cleo?! — Karl próbował wyrwać ją z tego stanu. — Co się dzieje, mów do mnie, Cleo?!

Wyrwana z zamętu myśli spojrzała przerażonym wzrokiem na swojego męża. Nie wiedziała, ile usłyszał i co widział. Poczowała, jak coś cieknie jej po twarzy. Dotknęła dłonią swego policzka — był cały we krwi.

— Zaczekaj, kochanie, zaraz ci coś przyniosę. Zaczekaj! Karl pobiegł do kuchni po liście lecznicze, których Cleo zawsze używała jako okładów. Zaczął ją opatrywać. Z jej oczu popłynęły łzy, które zaczęły się mieszać z krwią płynącą po jej twarzy. Widok było straszny. Cleo usiadła na swojej ulubionej kanapie, a Karl opatrywał jej rany, mówiąc do niej kojącym szeptem. Ostatnie, co zapamiętała, to jego spokojny niski głos.

— Jestem przy tobie, kochanie, jestem.

Słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Dradon wraz z innymi byli już zmęczeni trwającą od samego rana wędrówką. Miał wrażenie, że jego nogi zamieniają się w ciężkie skały. Na niebie pojawiły się niebieskie chmury, przykrywając tym samym ostatnie promienie słońca. Dzisiejszy dzień był dla Dradona równie niesamowity jak pierwszy, gdy postawił swoje stopy na miękkim podłożu. Wszystko to, co widział na obrazach Mesty i czego uczyła go matka, było teraz w zasięgu jego ręki. Widział niebo i słońce jako okrąg. Obserwował barwne owady przelatujące tu i ówdzie nad trawą, po której stapał. Dotykał dłońmi wypływającego znikąd wodospadu. Widział też pagórki i piasek, który w niektórych miejscach parzył. Nigdzie jak okiem sięgnąć nie było szarości ani wilgoci, które towarzyszyły mu przez całe życie. Powietrze, którym oddychał, pachniało świeżością. Czasami nawet miał wrażenie, że czuje jego smak. Gdy stanęli przy wodospadzie, by napełnić pojemniki z wodą i przez chwilę odpocząć, poczuł przypływ radości. Katia i inne kobiety roznosiły potelie — jego ulubione danie z dzieciństwa. Dzieci bawiły się w wodzie, robiąc tylko niewiele mniej hałasu niż spadająca woda. Gdy już się najedli i napili, zobaczył, jak łuny magii unoszą się nad nimi. Najwidoczniej woda wzmagала magiczne możliwości. Prawie wokół wszystkich skrzyły się iskierki magii. Po raz pierwszy mogli się skrzyć, czuć to, co do tej pory było zarezerwowane wyłącznie dla kobiet. Nikt z nich nie miał pojęcia, jak z tego korzystać. Wiedzieli tylko, że dawało im to poczucie szczęścia i wolności. Jakby zwrócono im tożsamość. Katia i inne kobiety obiecały, że nauczą ich kontrolowania daru i pomogą nauczyć się zaklęć. Pierwsza szkoła w historii królestwa dla mężczyzn, to samo w sobie było niesamowite. Wieczór praktycznie przeszedł już w noc. Nikt nie wiedział, ile tak naprawdę przeszli, ale każdy krok pozwalał im oddalić się od miejsca, w którym przeszłość miała barwę koszmaru i śmierci. Zaczęli wyjmować z kieszeni złożone balony. Po ułożeniu ich na ziemi mogli po raz drugi w swoim życiu wypowiedzieć zaklęcie.

— *Cia teeb tsim peb lub tsev.*

Na ich oczach magia zadziałała i polana usiała się jasnymi bańkami, które służyły im jako schronienie. Należało przyznać, że były one dużo wygodniejsze niż ich grotty, w których spędzili swoje życie, a temperatura pozwalała na komfortowy sen. Równocześnie rozkładały się materace i w porównaniu do półek skalnych stanowiły wręcz łoża bogów i wybranych.

Dradon zdawał sobie sprawę, że ich marzenia o wolności mogą zostać zniweczone. Mesta zapewne już się zorientowała, że coś jest nie w porządku albo

niedługo się zorientuje. Poza tym przecież mogło się okazać, że tu, na powierzchni, są inni ludzie. Albo istoty. Co, jeśli wpadną na siebie, a oni będą bezbronni? Przecież kilka magiń ich nie obroni. Co, jeśli będą agresywni i nie pozwolą im zostać lub, co gorsza, wydadzą ich Meście? Wszystko wydawało się wielką niewiadomą. Ale za te chwile wolności on był w stanie oddać wiele, a właściwie wszystko, nawet swoje życie. Po raz pierwszy wiedział, że to, co robi, jest tym, czego naprawdę chce. Nikt go do niczego nie zmuszał. Miał wybór i wolę, nikt go nie gwałcił, nikt nim nie pomiatał. Mógł iść spać, jeśli miał na to ochotę, lub otwarcie rozmawiać na przykład z Katią.

Jego rozmyślenia przerwała Noemi.

— Dradonie, jak się czujesz? — zapytała z troską w głosie.

— A jak mam się czuć? — odpowiedział zdziwiony. — Czuję się inaczej, ale dobrze. Czemu pytasz?

— Wiesz, niektórzy, u których ujawniła się magia, zaczynają chorować, a niektórzy zdradzają objawy szaleństwa. Dodatkowo kilkoro ma problem z przestrzenią. Jakies napady paniki, wymioty. Chciałam więc sprawdzić, jak ty sobie radzisz.

— Dużo jest takich osób? — spytał z niepokojem Dradon.

Noemi zasępiła się.

— Przynajmniej połowa ma jakieś objawy. Nie mam pomysłu, jak im pomóc.

— Ja mam, ale musisz mi obiecać, że zrobisz to za ich zgodą. Dobrze? — Dradon za nic w świecie nie chciał nawet pomyśleć, że znowu ktoś by podjął decyzję za niego lub za któregośkolwiek z rebeliantów.

Do balonu weszła Katia.

— Dradonie, rozumiem, że już wiesz, co się dzieje. Mam nadzieję, że Katia wprowadziła cię w sytuację.

— Tak, owszem, wiem. Mam pomysł, ale tak jak mówiłem, Noemi i ty musicie mi obiecać, że zrobicie to, co powiem, tylko i włącznie za ich zgodą.

— A jeśli będą niebezpieczni? Jeśli będą chcieli zrobić sobie albo, co gorsza, komuś krzywdę? — spytała z prawdziwą obawą w głosie Noemi.

— Wtedy podejmiemy wspólnie decyzję. Ja jako ich reprezentant i wy, jako nasze wybawicielki — powiedział Dradon pewniejszym tonem, niż mógł przypuszczać, że potrafi. — Najpierw zajmiemy się trudniejszymi przypadkami, czyli tymi, którzy nie dają sobie rady ze swoją magią. Czy jest jakieś zaklęcie pozwalające w wolnym tempie i pod kontrolą, w odpowiednich dawkach wyzwalać magię u osoby, która ją posiada?

— Tak i nie — odezwała się Katia.

— To znaczy?

— Tak, można to zrobić i ograniczyć uwalnianie się magii. Jednak może to mieć konsekwencje, gdy taka blokada jest założona na dłużej. Może się okazać, że taki mag straci większość swojej mocy. Ale jeśli pozwolimy się jej uwalniać w tak niekontrolowany sposób, może się okazać, że oni po prostu umrą.

— Czyli jeśli to zrobimy, uratujemy im życie? Dobrze rozumiem? I czy to odczucie które ja też mam, czyli bycia wreszcie sobą, nie zginie?

— Nie wiem, Dradonie. To nie jest coś, co robimy na co dzień — mówiła spokojnie Katia. — Czy uratujemy im życie? Jestem prawie pewna, nie, właściwie jestem pewna, że tak. Czy odzyskają moc? Nie wiem. Biorąc pod uwagę, że twoja i innych moc była tłamszona od urodzenia, pominiemy tu, w jakich celach, ale mimo to się odrodziła, istnieje chyba szansa, że ją odzyskają. Ale tego nie mogę ci obiecać.

— OK, w takim razie musimy spróbować. Dwa dni wolności to zdecydowanie za mało. Czy mogę jakoś pomóc? — Dradon po raz kolejny zdziwił się, jak łatwo przyszło mu podjęcie decyzji.

— Niestety nie, ale możesz z nimi porozmawiać. Jeśli się zgodzą, my wykonamy twoje polecenia — stwierdziła Katia.

— Wy wykonacie moje polecenia? Ale ja nie mogę. — Dradonowi aż zakręciło się w głowie od tego, co właśnie się wydarzyło. Kobiety twierdziły, że wykonają jego polecenia.

— Możesz, Dradonie. Jesteś tacy jak oni. Prędzej posłuchają ciebie niż nas.
— Była bardzo inteligentną kobietą.

— Noemi, jeszcze mamy kwestię tych, co źle reagują na otwartą przestrzeń. Czy można magicznie choćby ograniczyć im pole, po jakim się poruszają? No wiesz przykładowo te nasze bańki, żeby, no nie wiem, jak to wytłumaczyć, żeby były takim pudełkiem, które ich otoczy, i żeby nie widzieli wszystkiego tylko na odległość na przykład sześciu kroków. Potem, jeśli to pomoże, możemy zwiększać przestrzeń. Jak myślisz, dobry pomysł?

Słuchając go, Katia pokiwała głową z uznaniem.

— Zawsze wiedziałam, że to nieprawda, że mężczyźni są głupszy od kobiet.

Poklepała go po plecach, łamiąc tym samym kolejny zwyczaj obowiązujący w podziemiu. Kobiety nie mogły w taki sposób spoufalać się ze służącymi.

— Dzięki, Katio. — Dradon uśmiechnął się, lekko zawstydzony. Tak oficjalne wypowiedanie tego rodzaju opinii w królestwie Mesty mogło się skończyć i często kończyło się dla magiń usunięciem magii, a nawet wejściem wraz z chłopcami do fabryki, co równało się śmierci. — W takim razie idę z nimi porozmawiać. Ale wy musicie mi pokazać, kto jest chory. Tak chyba będzie najszybciej. Najpierw zajmijmy się tymi, co nie dają sobie rady z mocą. Potem zajmijmy się następnymi, którzy cierpią na lęk przestrzeni.

XXXI

Max wraz z grupą nieopierzonych pomocników przedzierał się przez niebieski las. Było ciemno, mimo że szli tak naprawdę skrajem. Wiedział od Brendy, że driady użyczyły lasu, by mogli podejść niezauważeni. Po jego łapach przemknęło coś śliskiego. Miał tylko nadzieję, że to coś ominie pozostałych. Jego grupa zwiadowcza składała się z ogromnej ilości testosteronu i młodzieńczego entuzjazmu. W połączeniu z dziwnymi ślizgającymi się stworami mogło to spowodować niekontrolowany wybuch emocji. To zaś z kolei mogłoby zdradzić ich obecność. Do nozdrzy Maxa dotarła woń strachu i zmęczenia. Jego złote oczy wypatrzyły dużą ilość światła w odległości kilku kilometrów. Były na tyle jasne, że ludzie widzieli poświatę na horyzoncie. Max zmienił postać.

— Odwróć się, Cendo — wycedził. — Archer, podaj mi ubranie.

Cenda zarumieniła się i odwróciła głowę. Archer zasłonił Maxa, gdy ten się ubierał. Najbardziej nie lubił zakładać butów. Bez względu na ich rozmiar zawsze były ciasne. „Nigdy się do nich nie przyzwyczaję” — pomyślał.

— Widzicie tę poświatę? — zapytał już ubrany.

— Tak. To oni? — Oczy Bekera zaczęły błyszczeć z podekscytowania.

— Ojej — pisnęła Cenda.

— Przestańcie — warknął zirytowany Max. — Zachowujecie się jak szczeniaki. Jeśli nie potraficie powstrzymać swoich emocji, możecie od razu wracać do gospody. To jest zbyt poważna sprawa, żebym musiał się przejmować jeszcze wami. Albo się opanujecie, albo wypad mi stąd.

Cenda i Beker spuścili głowy. Wiedzieli, że to nie miejsce na puszczenie emocji. Archer przestępował tylko z nogi na nogę, ale nie pisnął ani słowem.

— Szukasz miejsca, gdzie by się załatwić, a może do kibla ci się chce? — warknął wciąż zdenerwowany Max. — Przestań tak przebierać nogami, bo przekopiesz nas do innego wymiaru. Słuchajcie, gdybym miał wybór, nie byłoby was tu ze mną. Ale jest, jak jest. Muszę mieć pewność, właściwie chciałbym mieć pewność, że mogę na was liczyć. Od teraz schowajcie swoje emocje głęboko i starajcie się zachowywać cicho i, co pewnie będzie dla was najtrudniejsze, racjonalnie. Żadnych pisków, tupania czy innych tego typu akcji. Jasne?

Cała trójka z poważnymi już minami kiwnęła głowami. Archer kiwnął tak zamasyście, że kaptur opadł mu na twarz. Szybko jednak go poprawił i stanął prawie na baczność. Dopiero teraz Max zauważył, jak nieodpowiednio byli ubrani. Szerokie szaty zupełnie nie pomagały w bezszelestnym przemieszczaniu się po lesie.

— Beker, weźcie coś zróbcie z tymi ubraniami. Wszyscy mają być za chwilę w spodniach, ubrani pod kolor lasu. Możesz to dla mnie zrobić?

— *Khaub ncaws zoo li tawv.*

Max otaksował swoich towarzyszy. Wyglądali dużo lepiej. Wyjątkiem była Cenda. Obcisła wiązana góra i wąskie spodnie nie dodały jej urody. Wyglądała jak zbyt mocno ściśnięta szynka z indrysa. „Biedna dziewczyna” — pomyślał. „Musiałbym wypić dużo koki, żeby przyjść do niej w marzeniach sennych”.

— Plan jest taki. Zbliżymy się jeszcze do tamtego miejsca — wskazał palcem poświatę — i postaramy się odczytać ich nastroje i myśli. To zadanie dla ciebie, Cendo. Wy natomiast, moi magowie, będziecie dbali o to, aby nikt nas nie usłyszał ani nie zobaczył. Idealnie by było, gdybyśmy nie byli wyczuwalni.

Nikt nie odezwał się słowem. Max ruszył przed siebie, odgarniając co i rusz jakieś stojące im na drodze konary. Wszyscy zachowywali się nadzwyczaj cicho. Nawet Max był zdziwiony, że potrafili się tak zebrać w sobie. Powietrze było świeże jak po deszczu w Kotalinie. Ziemia na szczęście nie zdążyła wyschnąć, co zdecydowanie ułatwiało bezdźwięczne poruszanie się. Światła w oddali powoli zaczęły nabierać kształtów. Maxowi od razu skojarzyły się z dziesiątkami jędrnych piersi fae. Szli w miarę równym tempem, na niebie nie było widać nawet jednej gwiazdy. Z oddali do wrażliwych uszu Maxa zaczęły docierać dźwięki. Max miał nieodparte wrażenie, że nie były to spokojne rozmowy.

— Cendo, co czujesz?

— Strasznie dużo tam emocji. Jest radość, wrażenie wolności, strach, ból, nieufność, kręci mi się w głowie.

— To usiądź, dziewczyno. Jeszcze mi tego brakuje, żebyś tu zemdlała. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale ciężko byłoby nam ciebie nieść bez użycia magii.

Cenda osunęła się na ziemię. Była blada jak papier. Po jej twarzy spływały krople potu.

— Nigdy nie czułam tak silnych emocji w takiej ilości. Co się tam się dzieje?

— No ładnie, ale z was geniusze. Chcecie ją zabić? Przecież ona, poza darem, nie ma nawet grama szkolenia. Wszystko uderza w nią z taką siłą, że może ją zabić.

Max, Archer i Beker odwrócili się gwałtownie. Nie słyszeli nikogo w pobliżu do momentu, gdy nie zabrzmiał głos. Za nimi, podparta pod boki, stała driada. Miała długie zielone włosy i błyszczące ogromne srebrne oczy. Jej ciało pokrywały delikatne niebieskie plamki, pełniące funkcję kamuflażu.

— A ty skąd się tu wzięłaś? — spytał z udawanym spokojem Max.

— I kto by pomyślał? Widzę, że brakuje ci podzielności uwagi. Szłam za wami od trzech godzin. Królowa kazała mi na was uważać, cokolwiek by to nie znaczyło. Oznacza to też, że nie mogę zrobić wam krzywdy, tak że wyluzuj, kolego.

— Po pierwsze, nie jestem twoim kolegą. Po drugie, nie musisz się nami opiekować, a po trzecie, jeśli chcesz się do czegoś przydać, pomóż jej.

— Niby jak mam jej pomóc? Do tego potrzebne są szkolenia, kontrolowanie swojego daru. Ona tego nie ma. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale ona dowiedziała się o swoim darze kilka dni temu. Zupełnie nie rozumiem, kto podjął decyzję o zabranii jej. — Driada przechyliła kokieteryjnie głowę i popatrzyła swoimi srebrnymi oczami wprost w oczy Maxa.

Max przykląkł przy Cendzie, która powoli dochodziła do siebie. Jej twarz nabierała kolorów, ale po jej wyglądzie był prawie pewien, że nie nadaje się do dalszej drogi. Nie mógł też użyć magii, bo istniała szansa, że tamci go wyczują, a wtedy nici z wywiadu.

— Zostań tu z nią, jeśli możesz — zwrócił się Max do driady. — Musimy iść, a ona się nie nadaje.

— Dobrze, że to zauważyłeś, geniuszu — odszczeknęła driada. — Zostanę

z nią, jest bardzo zdolna i szkoda by było ją stracić, zanim rozwinię i okiełzna swój dar.

Max nie miał ochoty na dyskusję z driadą, która go zaskoczyła. Był zły na siebie, że pozwolił się podejść. Nie zachował należytej ostrożności. To nadszarpnęło jego autorytet u tych młodych magów. Machnął zirytowany na Archera i Bekera, żeby szli za nim. Driada usiadła obok półprzytomnej Cendy, przyglądając się, jak Max i cała reszta suną w kierunku obozowiska. Po półgodzinie drogi przez chaszczę dotarli w pobliże wielkich jasnych baniek. Byli na tyle blisko, że dostrzegali sylwetki ludzi krzątających się w obrębie obozowiska. Słyszeli też rozmowy. Tak jak przypuszczał Max, posługiwali się zupełnie innym językiem. Pozornie panował tam ład i spokój, ale Max miał w pamięci, co wyczuła Cenda. Skinął głową w kierunku Bekera, który miał przy sobie zaklęcie tłumacza.

— *Lus kom to taub cov kev sib sau ntawm tus kheej* — wyszeptał Beker.

Nic się jednak nie zmieniło. Czy to możliwe, aby zaklęcie nie zadziało? Max spojrzał ponownie na Bekera, ale ten ze zdziwioną miną wzruszył tylko ramionami. Max spojrzał na Archera, który próbował bezgłośnie dawać mu znaki. Nagle odezwał się pierścień Maxa. To była Cleo.

— Max! Max!

Max dotknął swojego pierścienia.

— Cleo, coś się stało, jesteśmy w pobliżu obozowiska. Jest ich tu sporo.

— Muszę ci coś powiedzieć. Był u mnie Guido.

— Kto?

— Nieważne. Ci ludzie mają za sobą jakieś straszne przeżycia, ale nie są niebezpieczni. Ci, których się boją, są za to bardzo groźni. Podobno będą szli za nimi. Masz ochronić tych ludzi.

— Fajnie! Nie wiem, kim jest ten Guido, ale też nie za bardzo sobie wyobrażam, jak dwóch magów i ja mielibyśmy dać sobie radę z tymi, co za nimi idą.

— Nie wiem, czy już idą, czy nie, ale będą szli, tak mówił. A, i jeszcze

jedno: oni są magami, ale nie kont...

— Cleo? Cleo? Jesteś tam?

Miał pustkę w głowie. Połączenie z Cleo zostało przerwane. To nie był dobry znak. Może powinien wrócić i zająć się nią? Jeśli jej się coś stało, jeśli jest sama... Pierścień odbiera cząstkę życia przy każdym połączeniu. Max był bardzo zdenerwowany.

— Brendo! — zawołał w myślach, dotykając swojego pierścienia.

— Czego chcesz? — usłyszał syknięcie w swojej głowie.

— Cleo, idź do Cleo, coś jej się stało. Nagle przerwało połączenie.

Brenda nie odpowiedziała, ale wiedział, że była już w drodze do Cleo. W takich sytuacjach była niezawodna. Max osunął się na ziemię. Było mu słabo. Miał wrażenie, że wszystko w środku mu się przewraca i za chwilę zwymiotuje. Archer i Beker pobiegli do niego. Widzieli, jak dotykał pierścienia, więc domyślili się, że z kimś rozmawiał.

— Max? — szepnął Archer. — Dojdiesz do siebie? Max popatrzył tylko na magów i kiwnął głową. Nie wiedział, ile czasu mu to zajmie, czuł się w każdym razie fatalnie.

— Chcę spróbować jeszcze raz z zaklęciem, ale wspólnie. Max nie miał chwilowo siły na dyskusję, więc machnął futrzaną łapą na magów. Czasami, gdy opadał z sił, jego ciało potrafiło mu płątać figle i zmienić się częściowo w wilka. Archer i Beker przyłożyli dłonie do siebie i wypowiedzieli jeszcze raz zaklęcie:

— *Lus kom to taub cov kev sib sau ntawm tus kheej.* Czuć było jego zwiększoną moc. Wszyscy nasłuchiwali głosów z obozu, ale one pozostały dalej tak samo niezrozumiałe jak przedtem. Już w pełni ludzkiej postaci, powoli, opierając się o drzewa, podniósł się, a jego łapa znowu przybrała kształt ludzkiej dłoni. Zupełnie nie wiedział, ile czasu minęło. Martwił się też o Cleo, bo jak dotąd nie miał od Brendy żadnych wiadomości. Minęło chyba sporo czasu od rozmowy przez pierścień, skoro w obozowisku powoli cichło.

XXXII

Brenda momentalnie wytrzeźwiała. Zerwała się z fotela, w którym od dawna zalegała w stanie upojenia. Był on dla niej lekarstwem na złość i agresję wzbierające w niej od dłuższego już czasu. Wybiegła i zaczęła biec co sił w nogach. Nie zauważyła nawet, że była na wpół rozebrana. Nie miała też na nogach butów, ale to w tym momencie nie miało żadnego znaczenia. Musiała ocalić Cleo. Musiała dotrzeć do niej jak najszybciej. Biegła, mijając kolejne domy i nie zastanawiając się nawet, gdzie zmierza.

„Cleo, muszę jej pomóc”. Nagle dotarło do niej, że nie ma bladego pojęcia, gdzie jej szukać, i zupełnie nie wie, gdzie biec z pomocą. „A jeśli jej nie znajdę na czas?” Była przerażona. Lubiła Cleo, w końcu to nie jej wina, że miała taką córkę. „Gdzie jesteś, Cleo?!” Jej myśli rozpadały się na kawałeczki. Nienawidziła tej bezradności. Miała tylko jeden element układanki i nijak nie mogła go nigdzie wpasować. „Stań i zastanów się. Nie biegaj jak Max za ogonem. Masz przecież rozum i nie kierujesz się jedynie samczym instynktem. Użyj głowy, Brendo. Myśl, gdzie ona może być!” Brenda chodziła twardym krokiem wokoło fontanny. „Niech to szlag. Nie powinnam więcej pić, zaczynam się zachowywać jak jakiś stuletni wampir. Dobrze. Po kolei. Nie mogę użyć pierścienia, bo jeśli coś jej się stało, to i tak nie zadziała. A poza tym nie chcę wykorzystywać jej życia, jeśli oczywiście Cleo nadal żyje. Gdzie ona bywa zazwyczaj o tej porze? A właśnie, jaka jest teraz pora?” Brenda zerknęła na świecącą nad nią krwistoczerwoną kulę — było koło północy. „Czyli jestem idiotką. Dlaczego nie sprawdziłam najpierw u niej w domu? Przecież byłam tuż obok”.

Brenda zerwała się do biegu. W dosłownie kilka minut znalazła się przy drzwiach Cleo. Nie czekając na zaproszenie, wparowała do środka i zrobiła przy tym tyle hałasu, że umarłego by zbudziło. W domu panował półmrok. Gdzieś w kącie tlił się biały magiczny ogień. Rozejrzała się, wykorzystując przy tym swój doskonały wzrok. Za kanapą widać było czerwoną poświatę. Ktoś tam leżał. Dobięła do ciała — na ziemi leżała Cleo. Jej ziemista cera prawie zlała się z otoczeniem. Bezwładne ciało Cleo wyglądało dość makabrycznie, nawet jak na gust Brendy. Dłonie były powykręcane w nienaturalny sposób, każdy palec wygięty w inną stronę, stopy zaś skierowane ku plecóm. Mimo to żyła. Dlatego Brenda widziała czerwoną poświatę. Cleo była słaba, umierała. Z jej oczu płynęły strużki krwi, a z uszu sączył się żółty płyn.

— Co ja mam zrobić? Nie umiem leczyć. Nawet nie wiem, co się z nią stało. Kaaaaarl! — wrzasnęła.

Odpowiedziała jej tylko cisza. „Vik! Muszę skontaktować się z Vikiem. Pierścień nie powinien mieć takich skutków. To nie jest normalne” — myślała. Dotknęła swojego pierścienia i krzyknęła w głowie:

— Viku!

— Brenda?! Czemu się tak drzesz? Chcesz, żeby mi pękła głowa? Coś się stało?

— Viku! Cleo! Viku! Cleo!

— Przestań się drzeć, opanuj się. Co się stało z Cleo?

— Leży powykęcana. Z oczu płynie jej krew! Z uszu coś wycieka. Max mnie wezwał, bo ich połączenie zostało przerwane. Viku, co ja mam robić?

— Nie wiem, co masz robić. Gdzie jest Karl? Jego zakon się na tym zna.

— Nie ma go. Znaczący nie wiem, czy nie ma, ale nie odpowiedział, kiedy go wołałam. Viku, ona umiera — mówiła tak szybko, że słowa się zlewały i trudno było ją zrozumieć.

— Zaczekaj chwilę, zaraz wrócę. I przestań panikować, to w niczym nie pomoże.

Po dosłownie chwili Vik znowu pojawił się w jej głowie. Nie był sam.

— Jest ze mną brat Skylar z zakonu Futura.

— Brendo, jestem Skylar...

— Dobra, wiem, kim jesteś, zakonniku, będziemy się przedstawiać później. Jak mam ją uratować. Co jej jest?

— Posłuchaj. Takie skutki uboczne...

— Skutki uboczne?! Ty to nazywasz skutkami ubocznymi?! — Brenda krzyczała tak głośno, że echo odbijało się nawet w jej głowie.

— Brendo! — huknął Vik. — Zamknij się na chwilę. Opanuj się. Słuchaj!

Brenda wzięła głęboki wdech, zacisnęła usta i nic już nie powiedziała.

— To, co widzisz, to efekt zmieszania czarów. Kiedy ona komunikowała się z Maxem, na tej samej fali pojawiła się inna magia. Najprawdopodobniej nie było to zaklęcie miłości — kontynuował brat Skylar.

— Możesz bez tej ironii? — syknęła Brenda, nie mogąc się powstrzymać. Irytowało ją, nie, wkurzało, że on miał jeszcze nastrój do żartów, kiedy Cleo umierała.

— Przepraszam. Żeby nie przedłużać. Ktoś włada potężną magią, musimy ją stamtąd zabrać, jeśli istnieje cień szansy na uratowanie Cleo.

— Cleo? Cleo? — Brenda odwróciła się w stronę ściany, ale nikogo tam nie było.

— Kto tam jest? — spytała ostrym głosem.

— Ty mnie słyszysz? Och, nie, Cleo. Dlaczego...

— Kto tam jest, Brendo, z kim ty rozmawiasz? — spytał podenerwowany Vik, jako że czas uciekał. — To Karl?

— Nie, nie wiem, z kim rozmawiam, nikogo nie widzę — odpowiedziała w głowie Brenda. — Kim jesteś, pokaż się — zażądała.

— Spójrz na obraz. — Głos był zrezygnowany i smutny.

— Jeśli mnie słyszysz, to znaczy, że stało się najgorsze. Cleo nie żyje.

— Zabiłeś ją! Gdzie jesteś, pokaż się! — Brenda omiatała wzrokiem raz po raz miejsce, z którego dochodził głos. Nic jednak nie widziała.

— Nie, nie zabiłem jej, ale wiem, kto to zrobił. Opowiadałem jej o niej. Jej trzeba się bać, jest znacznie bardziej potężna, niż myślałem.

— Brendo, co się dzieje?! — Vik był mocno podenerwowany.

— Odpowiedz, kim jesteś, bo zaraz rozerwę cię na strzępy. I kim jest ta „ona”! — Brenda była tak sfrustrowana, przerażona i zła, że nie zauważyła, iż ciało Cleo przestało emitować czerwoną poświatę.

— Mam na imię Guido! Jestem prapra-ileś-tam-pradziadkiem Cleo. Słyszysz mnie dlatego, że ostatnia istota z mojego rodu nosząca moje geny umarła. Dlatego możesz ze mną rozmawiać. Zapytaj Vika. On to potwierdzi.

— Mówiła kiedyś o tobie, ale myślałam, że jej odbija — odpowiedziała. — Viku, jest tu niejaki Guido. Podobno się znacie.

— Tak, Brendo. Przykro mi. Skoro go słyszysz, to znaczy, że nie możemy nic zrobić dla Cleo. Powiedz mu, że ma się u mnie stawić za kilka minut.

Brenda nic nie powiedziała. Wypełnił ją smutek, a zaraz potem zaczęła narastać w niej wściekłość.

— Brendo — odezwał się Guido — zaczekaj tu, wrócę i opowiem ci wszystko, co powiedziałem Cleo. Przekaż Maxowi, żeby miał się na baczności, bo zbliża się ogromne niebezpieczeństwo. — Mówiąc to, zniknął z obrazu.

Brenda patrzyła na zszarzałe ciało Cleo, które było powyginane w tak nienaturalny sposób. Miała tylko nadzieję, że nie czuła bólu. Cleo nie zasługiwała na cierpienie. Co oni teraz bez niej zrobią? I co zrobi Karl, gdzie on jest?!

Z zewnątrz dobiegły kroki zbliżające się ku otwartym drzwiom.

— Cleo? Cleo? Jesteś tam, kochanie? Wszystko w porządku?

Brenda siedziała obok martwego ciała. Zielone włosy miała potargane, a smutek i pustka ziały z jej oczu. Karl stanął jak wryty, patrząc na swoją jedyną miłość i to stworzenie, które czuło, mimo że nie powinno czuć. Powoli podszedł do Cleo, odsuwając Brendę. Delikatnie ujął ją za zmasakrowaną dłoń i zaczął głaskać. Odgarnął jej z czoła włosy i wyprostował jej pomięte ubranie. Rękawem swojej koszuli starł krew z jej twarzy, cicho szepcząc jej imię, jakby śpiewał kołysankę do snu. Podniósł ją delikatnie i ułożył na swoich kolanach, głaszcząc ją po głowie i szarej, bez życia twarzy. Zaczął płakać.

XXXIII

Mestę spowijał złowrogi spokój. Siedziała na swym tronie wyprostowana jak struna. Jej spokojny i miarowy oddech zwiastował problemy. Mesta wpadała w taki stan, gdy ostatnimi siłami próbowała się powstrzymać przed niekontrolowanym wybuchem magii.

— Znalazłaś ich? — wycodziła przez zęby.

Jej siostra nie odpowiedziała. Stała, patrząc w milczeniu na Mestę. Ponad czterystu mężczyzn wyparowało. Nigdzie w królestwie nie było po nich ani śladu. Kilka godzin wcześniej Mesta rzuciła zaklęcie, ale i ono zostało jakby wchłonięte. Nie wróciło, nie odbiło się ani nikogo nie znalazło.

— Chcesz mi powiedzieć, że czterystu służących zniknęło bez śladu? A może w takim razie powiesz mi, gdzie jest nasza siostra Noemi. Ona też gdzieś przepadła. Chyba nie tak trudno znaleźć kobietę w ciąży?

Amelia tylko stała nieruchomo. Za nią kłębiły się dziesiątki, jeśli nie setki czarodziejek wezwanych przez Mestę. Wszystkie wyprężone, jakby połknęły kije lub ktoś by rzucił na nie zaklęcie bezruchu. Cisza, która panowała w komnacie, była tak ciężka, że można by zawiesić demona. Oddech Mesty pozostawał nadal miarowy, a to nie wróżyło nic dobrego.

Królowa wstała i zaczęła przechadzać się w stylu imperialistycznym pomiędzy kobietami. Gdy mijała poszczególne maginie, te, sparaliżowane strachem, przestawały nawet oddychać. Jej krótkie włosy nadawały jej jeszcze bardziej surowy wygląd. Szkarłatne oczy lśniły furią i kipiały złością. Usta ścisnęła tak, że wargi zsiniły, a dłonie rytmicznie zaciskały się w pięści. Krok po kroku spoglądała z bliska w oczy czarownicom, które nie miały odwagi odwzajemnić jej spojrzenia.

Amelia wzięła głęboki wdech i odezwała się głosem niezdradzającym cienia strachu.

— Mesto, a co, jeśli oni wyszli na powierzchnię?

— Na powierzchni nic nie ma od dziesiątek lat, pamiętasz?

— Tak, ale ostatnio nie ma też demonów. Może tam coś się zmieniło. A

jeśli tam można żyć? Mogłybyśmy wyjść na powierzchnię, zobaczyć słońce, prawdziwą trawę, lasy.

— A, jak macie ochotę, moje kochane siostrzyczki, tam wyjść, to proszę was bardzo. Powiedzcie mi tylko, jak zamierzacie kontrolować nasze królestwo, jeśli okaże się, że tam można oddychać i żyć? Jak macie zamiar mieć nad nimi kontrolę? I co, jeśli są tam inni już mieszkający ludzie albo stworzenia? Co, jeśli oni mają inne zwyczaje od nas? Jesteście gotowe na wojnę?

Maginie popatrzyły po sobie, nie mając gotowych odpowiedzi na pytania, które padły przed chwilą. Zdecydowanie nie miały ochoty na wojnę i zupełnie im się nie uśmiechała utrata służby czy przyjmowanie innych zwyczajów. Pomijając fakt, że żyły pod ziemią, były zadowolone ze swojego życia. Amelia podeszła do siostry i bez zbędnych czułości położyła jej dłoń na ramieniu. Oba naszyjniki zabłysnęły ostrym światłem.

— Znajdziemy ich. Wiesz, w którym miejscu mogę wydostać się na powierzchnię? Skoro nie zapadli się pod ziemię, istnieje spora szansa, że są nad ziemią.

— Chodźcie, pójdziemy wszystkie. Wiem, gdzie możemy znaleźć takie miejsce.

W skupieniu, otoczone szelestem poruszających się szat sunęły przez wyłobione w skałach drogi. Kurz osiadły po nocy wzbijał się w powietrze, gdy maginie maszerowały przez osadę. Niektórzy mężczyźni wychylali głowy zza drzwi, by zobaczyć przemarsz władzy. Nie mieli też ochoty rzucać się w oczy, żeby królowej nie przyszło nic do głowy. Wszyscy bowiem wiedzieli, że potrafiła być bardzo kreatywna w swoim okrucieństwie. Ich życie nic dla niej nie znaczyło, czego dowód od lat stanowiły obozy śmierci dla chłopców. Ich osada była bardzo rozległa. Miasto, jakby przeczuwając nastroje władczyń, opóźniało swoje poranne rytuały. Amelia stanęła przed drzwiami, które z pozoru niczym się nie wyróżniały.

— Noemi często tu przychodziła, może tu znajdziemy jakieś informacje.

Pewna siebie, nakreśliła znaki. Stała w oczekiwaniu na zaproszenie, jednak ani drzwi się nie otworzyły, ani też z wewnątrz nie dobiegł jej uszu żaden dźwięk. Tym razem zastukała, używając tylko wzmocnienia magicznego. Znowu odpowiedziała jej cisza. Mesta machnęła tylko ręką na Amelię, aby ta podeszła.

— Skoro tu nikogo nie ma, to znaczy, że się niczego nie dowiemy. Co dalej? Masz jakieś jeszcze tropy?

— P-p-pani?! — dobiegł szept spośród tłumu. Nie był to głos kobiety, lecz kolejnego nic niewartego sługi. No, może skoro odważył się przemówić, będzie jednak coś wart.

— Podejź tu — rozkazała Mesta. — Mów, co wiesz! Albo nie, nic nie mów, sama zobaczę.

Mężczyzna ukląkł przed królową. Niejednokrotnie słyszał o okrucieństwie Mesty. Miał jednak cichą nadzieję, że skoro posiada informacje, których szuka, okaże się dla niego łaskawa. Mesta podeszła spokojnie do umorusanego, wychudzonego, nic niewartego człowieka i z lekkim obrzydzeniem położyła mu dłonie na skroniach. Jej amulet rozbłysnął zielonym światłem, ona zaś zamknęła oczy i wniknęła do umysłu klęczącego. Przewinęła wspomnienia tego, jak jedna z czarodziejek korzystała z jego usług. Z perspektywy osoby obserwującej wydało jej się to bardzo niesmaczne. „Niewiarygodne, że biologia zaprogramowała nas na zbliżenia z tymi istotami” — pomyślała. Szukała dalej. Po kilku minutach natrafiła na coś, co wzbudziło jej zainteresowanie. Mężczyzna stał obok Noemi i rozmawiali na temat ruchu oporu. „Ruch oporu! Pięknie! Moja siostra mnie zdradziła” — powiedziała do siebie w myślach. Rozmowa toczyła się w pobliżu drzwi, przy których się obecnie znajdowali.

— *Musisz ich zebrać i sprawdzić, zanim do nas dołączą. Pamiętaj, jeśli to się wyda, wszyscy zginiemy i przez wiele kolejnych lat nie będzie szansy na wolność.*

— *Wiem, zrobię, co każeś. A kiedy przyjdzie moja kolej? Czy mogę do was dołączyć?*

— *Tak, trzy noce po naszym wyjściu zbierzesz resztę i pójdziecie do wyjścia. Ten znak pozwoli wam się wydostać przez skały do przejścia.*

Obraz urwał się, zanim Mesta była w stanie dostrzec ów znak. Stwierdziła, że nie ma teraz czasu na złość, musi odzyskać swoich poddanych. Co do Noemi, zastanowi się później, co z nią zrobić.

— Jak wyglądał ten znak? Słucham.

— O tak, Wasza Wysokość!

Mężczyzna nakreślił coś w rodzaju litery „K” ze strzałką pchającą ją od tyłu. Ani Mesta, ani on nie spodziewali się, że znak zadziała natychmiast. Poczuli przeszywający ból, jakby ich rozrywało od środka. Krew przyśpieszyła, rozgrzewając ciało. Żyły płonęły. Oczy zaszyły mgłą. Następnie wszystko ucichło. Cały zastęp kobiet i on jeden leżeli na niebieskiej trawie, łapiąc ostatkiem sił hausty powietrza.

— Wstawać! — wrzasnęła w głowach magiń Mesta.

Z ziemi zaczęła podnosić się niewielka garstka kobiet. Reszta leżała nieruchomo z na wpół zwięglonymi ciałami.

— Cóżeś zrobił! Dlaczego nie powiedziałeś, że to zaklęcie zabija?! — cedziła przez zęby do półprzytomnego służącego.

— Nie... nie wiedziałem, Wasza Wysokość — wyjąkał zdyszany.

— *Tuag* — rzuciła zaklęcie.

Mężczyzna rozpadł się na małe kawałki, a następnie jego ciało zamieniło się w mgłę i wyparowało.

— Nasza siostra jest cwańsza, niż myślałam. Wiedziała, że go znajdziemy, a on wiedział, że zginie. Wymazała to wspomnienie. No nie spodziewałam się tego po niej, ale jesteśmy do siebie podobne.

Mesta spojrzała na czarownice. Z czterystu zostało ich niewiele ponad dziesięć. Mało, ale będzie musiało wystarczyć. Ciekawe, dlaczego akurat te przeżyły.

— Drogie panie! Czas zacząć poszukiwania. Jak widać gołym okiem, światło powróciło na powierzchnię. To, co teraz widzicie, nazywa się nocą. Być może pozostały jakieś demony, dlatego miejcie się na baczności. Mamy jeden cel: odnaleźć buntowników. Jeśli natraficie na moją siostrę, chcę ją dostać żywą. Z przyjemnością sama z nią porozmawiam. Co do reszty, możecie się zachować wobec nich wedle własnego uznania. Idziemy.

Poza trawami i czystym powietrzem wokoło nie było nic. Stąpały powoli po

mchu i co i rusz wystających ostrych kawałkach skał. Szły po dachu swojego domu. Ilość tlenu była przytłaczająca i niektóre z pozostałych czarownic musiały użyć zaklęć, by zmienić skład wdychanego powietrza na taki, którym oddychały od setek lat. Co chwila któraś miała ciarki, gdy smagał ją lekki wiaterek. Panowała ciemność, choć jasne punkty nad nimi — zwane w książkach gwiazdami — świeciły delikatnym światłem. Nigdzie nie było widać śladu życia.

— Aaa! — wrzasnęła jedna z magiń, podskakując równocześnie jak oparzona.

Wszystkie stanęły w pozycjach bojowych.

— Co się stało?! — krzyknęła Mesta.

— Coś mi chodzi po nodze. Ja, ja nie wiem, co to jest.

— Amelio, daj tu światło i zobacz, co to. Jeśli demon, nie powinno być problemu, o ile jest mały.

Amelia zapaliła kulę światła i podeszła do sparaliżowanej strachem magini. Uniosła nieco jej szatę. Na nodze wystraszonej kobiety dostrzegła stworzenie. Miało osiem włochatych kończyn odchodzących od szkarłatnej głowy. Chyba głowy. Amelia nigdy nawet w książkach nie widziała czegoś takiego. Miało dwanaście punktów rozglądających się na wszystkie strony. Prawdopodobnie były to oczy. Od spodu wystawały zaś cztery zaostrome żółtawe zęby. Niestety, po nodze magini ściekały strużki krwi. Amelia podniosła się z kolan i zgasiła światło.

— Nie wiem, co to jest Mesto. Wygląda obleśnie. Ma kosmate nogi i ugryzło ją.

— Aaaa!

— Aaaua!

— Ać!

Kolejne trzy podskoczyły ze strachu. Musiały wejść w jakieś stado tych istot. Mesta z przykrością ponownie rzuciła zaklęcie na pogryzione maginie.

— *Tuag!*

— Dlaczego je zabiłaś? — Amelia nie mogła uwierzyć w to, czego właśnie była świadkiem.

— Bo nie wiemy, co je ugryzło? Bo nie wiemy, co zrobi z maginiami jad tego czegoś? Poza tym strachliwe maginie, które piszczą na widok jakichś ośmionożnych stworzeń, nie są mi tu do niczego potrzebne. Lepsza nasza ósemka, która wie, co robi, niż ryzyko, że te ich zachowania ujawnią się na polu bitwy.

Amelia pokręciła głową, ale się nie odezwała. Mesta była najsilniejszą z sióstr i przeciwstawianie się jej nie miało większego sensu, szczególnie w pojedynkę.

XXXIV

W obozowisku wszyscy spali. Namioty emanowały teraz tylko lekko ćmiącym światłem. Noemi podeszła do namiotu Dradona i odgarnęła delikatnie zasłonę, a następnie zajrzała do środka. Dradon leżał przy samych drzwiach na prawym boku. Nie spał. Jego oczy wbite w jeden punkt wyglądały na martwe, choć jego klatka piersiowa poruszała się miarowo.

— Dradonie — szepnęła.

Jego oczy oderwały się od punktu, w który się wpatrywał. Jego spojrzenie było mało skoncentrowane, jakby za mgłą.

— Coś się stało? — zapytał ledwo co przytomnym głosem.

— Nie, ale chodź ze mną, muszę o czymś z tobą porozmawiać.

Dradon powoli dźwignął się z posłania i odrzucił przeźroczystą tkaninę, którą był przykryty. Był to jeden z lepszych wynalazków podziemnego królestwa. Magia krążyła w nitkach tkaniny, ogrzewając ciało odpoczywającego. Była taka cienka i lekka, że gdy podróżowali, można było ją złożyć do rozmiaru nie większego niż sakiewka na zioła. Noemi odeszła od namiotu i oddaliła się w kierunku polany rozciągającej się jeszcze daleko za obozowiskiem. Dradon narzucił na siebie pelerynę, bo po odkryciu się przeszedł go dreszcz. Było chłodno, a do tego powiew wiatru schładzał jeszcze bardziej powietrze, niosąc ze sobą krople rosy. Noemi weszła do namiotu i usiadła przy ścianie. Jednym ruchem dłoni przyciemniła i wygłuszyła go. Dradon wszedł za nią i usiadł naprzeciwko, patrząc na swą wybawicielkę. Między nimi od dawna iskrzyło, a napięcie ignorowane przez nich od tak długiego czasu zaczynało niebezpiecznie zbliżać się do granicy eksplozji.

Noemi wyciągnęła dłoń w kierunku Dradona. Wraz z tym gestem jej peleryna osunęła się na ziemię, odsłaniając jej ciało. Musiał podjąć decyzję. Właściwie nie musiał, chciał podjąć decyzję. Po raz pierwszy w życiu mógł dokonać wyboru, czy zbliżyć się do kobiety. Mógł odmówić. To uczucie dawało niewspółmierne do sytuacji poczucie władzy i panowania nad swoim życiem. Czy chciał? Czy też po prostu zachłysnął się faktem, że może sam zadecydować. Noemi milczała. Nie drgnęła. Jej ciało, tak delikatne w resztkach światła przemykającego przez namiot, wydawało się wręcz idealne. Jej piersi, jędrne, okrągłe, po których płynęła strużka potu, przyciągały jego wzrok jak magnes. Powoli wyciągnął rękę w

jej kierunku. Chciał wiedzieć, co się czuje, gdy akt stanowi jego własny wybór. Czy jest wtedy inaczej? Czy wtedy coś poczuje? Przybliżył się do Noemi siedzącej nadal nieruchomo na ziemi i wpatrującej się w niego. Nie było tam błagania ani prośby czy też nakazu. Czekala na jego decyzję. Kobieta magini czekała. Sama myśl była tak podniecająca, że miał wrażenie, iż eksploduje. Milczenie zagęszczało atmosferę. Oddech Noemi, miarowy i głęboki, działał na Dradona hipnotyzująco. Jej ciało poruszało się rytmicznie. Piersi falowały wraz z oddechem. Delikatnie oblizala wargi, wpatrując się w niego wzrokiem zdradzającym nadzieję. Jej nogi powoli rozsunały się na boki. Nie było w tym nic wulgarnego. To wręcz eleganckie zaproszenie do zbliżenia zmąciło wszelkie racjonalne analizy, które Dradon snuł jeszcze przed chwilą. Zbliżył się jeszcze bardziej i pozwolił jej zsunąć swoją pelerynę i szatę, tym samym obnażając się w pełni świadomie przed kobietą, którą skrycie pożądał od lat. Ich oddechy zrównały się w rytmie. Był zagubiony, wszystkie zbliżenia pamiętał jako przymus. Nigdy nie miał okazji wybrać, jak ani gdzie, ani tym bardziej z kim. Noemi odgarnęła z twarzy jego włosy, zahaczając smukłymi palcami o jego usta. Jej dłoń powoli zsuwała się po jego klatce piersiowej w dół, do krocza. Nie dotknęła jednak jego męskości. Dradon wiedział, że czeka na jego zgodę, nie musiał się spieszyć. Położył ją na plecach, rozsuwając jej nogi. Przyglądał się jej ciału, które emanowało zarem. Jej oddech nie był już taki miarowy. Wziął delikatnie jej dłonie i zaczął je przesuwac po ciele. Chciał, aby to ona pokazała mu, jak pieści swoje ciało. On chciał delektować się widokiem jej prężących się mięśni. Noemi sunęła po piersiach, obejmując je i lekko pociągając. Jej głowa, teraz odchylona, wyginała ciało w łuk. Jej dłonie powędrowały w kierunku ud. Zaczęła je pieścić, nie dochodząc jednak do miejsca, które coraz bardziej kusiło Dradona. Podniosła się i oparła na łokciach. W jej oczach zagościła dzikość, a usta stały się bardziej wydatne. Oparła się na rękach i uklękła. Dotknęła językiem jego torsu. Drażniła go i zaczepiała. Nie było w tym nic subtelnego, tylko czysta erotyka. Dradon energicznym ruchem szarpnął ją za włosy, odchylając jej głowę. Jej szyja, długa i smukła, tętniła życiem. Przysunął ją do swych ust i zaczął smakować namiętnie każdy skrawek, aż dotarł do ust. Gdy jego wargi i język spotkały się z jej ustami, kontrola prysła. Odwrócił ją i bez żadnych zahamowań wszedł w nią, rozkoszując się każdym ruchem. Nie musiał się już pilnować. Żadnemu z nich nie zajęło zbyt dużo czasu, by zasmakować spełnienia. Po kilku minutach było po wszystkim, lecz powietrze wibrowały, a feromony szalały. Noemi przytuliła się do Dradona i szepnęła mu do ucha:

— Dziękuję.

Zza kuli dobiegł szelest trawy. Być może ktoś z obozowiczów postanowił się przejść. W sumie zaczynało już świtać. Na wszelki wypadek Noemi lekko

rozjaśniła ściany namiotu. Dzięki temu widziała, co dzieje się na zewnątrz, choć inni nie widzieli, co się dzieje w środku. Ku jej zaskoczeniu nie byli to mieszkańcy obozu. Trzech mężczyzn prześlizgiwało się między bańkami.

— Dradonie — szepnęła — spójrz.

Dradon podniósł głowę i zastygł, widząc obcych krążących po ich obozie. W sumie spodziewali się, że w tym wymiarze nie będą jedynymi, ale nie czuli się jeszcze gotowi na spotkanie z nieznanymi. Noemi podniosła się z ziemi, niedbale zarzucając na siebie ubranie.

— Zaczekaj, Noemi. Nie możesz tak wyjść do nich. Jesteś przecież naszym przywódcą. Ubierz się porządnie. Wyjdę z tobą, jeśli chcesz.

Noemi poprawiła ubranie, a tymczasem Dradon również nałożył na siebie odpowiedni strój. Choć nie był tak do końca odpowiedni, bo wszystkie lepsze ubrania miał w swoim namiocie i jak większość raczej nie sypiał w wyjściowych strojach. Popatrzył na przygotowaną już Noemi, wziął ją za rękę i wyszli na zewnątrz.

Trzej mężczyźni zatrzymali się przed nimi. Raczej nie wyglądali na zbyt zaskoczonych. Zresztą trudno być zaskoczonym, że w obozowisku znajdują się ludzie. Cała piątka mierzyła się wzrokiem. Intruzi spojrzeli po sobie i oddali im ukłon. Noemi uznała, że to dobry znak i również się ukłoniła. Dradon zaś stał i przyglądał się nieufnie całej tej sytuacji.

— No dobra, powitanie mamy za sobą. Masz jakieś pomysły co dalej, Max?
— zapytał Archer.

No właściwie to nie miał. Trzeba było spróbować się dogadać, ale jak, skoro nie mówili tym samym językiem, a zaklęcia tłumaczenia nie działały.

— Archerze, ja będę mówił, a ty będziesz pokazywał, dobrze?

— Co pokazywał? Mam używać języka migowego? Nie znam.

— Nie migowego. Chcę, żebyś pokazywał obrazy, takie ruchome, jak na filmie, tego, co będę mówił.

Noemi i Dradon przyglądali się przybyszom. Nie rozumieli ich języka, ale

nie wyglądali na agresywnych. Jeden z nich, w habitcie, podniósł ręce i stworzył owalny kształt.

— On ma magię?! I ją kontroluje! — zachłysnął się ze zdziwienia Dradon.

Noemi nie była taka radosna z tego powodu. To dobrze, że mężczyźni kontrolują magię, ale skoro ją ma, nie wiadomo, do czego ją użyje poza bańkami. Musi być ostrożna, żeby chronić swoich ludzi. Noemi z uwagą przyglądała się przesuwającym się obrazom na kształcie. Jeden z nich widocznie nie miał magii, bo tylko mówił. To, co zobaczyła, można było uznać za powitanie. Uniosła ręce i również stworzyła kształt. Pozwoliła Dradonowi mówić. Oni również się przywitani. Ta forma komunikacji sprawdzała się na początek — ale co dalej? Przecież nie mogą rozmawiać non stop w ten sposób. To mogłoby prowadzić do wielu nieporozumień w przypadku dyskusowania na bardziej zawile tematy. Pozostawia też zbyt duże pole do interpretacji. Dradon mówił pięknie, a ona przekładała jego słowa tak barwnie, że widoczne było w oczach tamtych uznanie. W końcu magowie opuścili ręce i znowu nastąpiła cisza. Dradon podszedł do tego, który mówił, i wyciągnął rękę na powitanie. Tamten zaś odwzajemnił gest i chyba przedstawił się imieniem Max. Następnie pokazał dłonią na resztę — ci dwaj w habitach nosili imiona Archer i Beker. Noemi również postanowiła się przedstawić. Widząc mężczyzn władających świadomie i otwarcie magią, Dradon najwyraźniej pogubił się w etykiecie. W sumie czego można było oczekiwać od kogoś, kto całe życie był niewolnikiem. Gestem dłoni zaprosiła ich do namiotu, by spróbować porozmawiać w bardziej komfortowych warunkach.

Max z magami weszli do środka. Konstrukcja tego pomieszczenia była im nieznana, ale zrobiła na nich wrażenie. Ściany wyglądały z jednej strony na solidne, z drugiej zaś lekkie jak piórko. Wyraźnie krążyła w nich magia, co pozwalało sądzić, iż te namioty mogą mieć wiele przydatnych funkcji. Noemi rzuciła zaklęcie i na środku pojawił się stolik oraz pufy. Ku ogromnemu zdziwieniu Maxa i magów zaklęcie było w tym samym języku, którego oni używali do uprawiania magii. Noemi chyba nie zauważyła ich zdziwienia, kontynuowała bowiem przygotowanie pomieszczenia na dłuższą rozmowę. W namiocie pojawiły się owoce i napoje oraz delikatne światło, które dodatkowo dawało łagodne ciepło.

— Archerze, skoro oni używają tego samego języka magii co my, myślisz, że jest szansa, byśmy znaleźli wspólny język?

Archer pogładził swoją twarz z lekkim już zarostem.

— Sądzę, że tak. Spróbujemy ponownie zaklęcia tłumaczenia, ale tym razem wypowiemy je wszyscy razem. Choć nie za bardzo wiem, jak mam ich do tego nakłonić. Może najpierw pokażemy im, że mamy wspólny język magii.

— *Phooj ywg paj.*

Noemi zrobiła ogromne oczy, widząc, że ten Archer używa tego samego języka magii. Kwiaty, które dla niej wyczarował, były przepiękne i stanowiły kolejny sygnał, że ich zamiary są pokojowe.

— Dradonie, oni znają nasz język magii — powiedziała zdziwiona Noemi do towarzysza.

— No, właśnie widzę. Ale nie możemy się z nimi dogadać, mówią w jakimś innym języku. Znasz jakieś zaklęcie tłumaczenia albo coś? Dobrze by było z nimi porozmawiać. Może nam pomogą.

— No dobrze, spróbujemy wypowiedzieć je razem, może zadziała.

Noemi wzięła Dradona za rękę i wypowiedziała zaklęcie. Na twarzy Maxa i magów pojawiły się szerokie uśmiechy, jednak nadal nie zrozumiała tego, co wykrzyknęli, choć domyślała się, że to okrzyk radości.

Max wyciągnął rękę w kierunku Noemi. Odruchowo je cofnęła. Czy może im tak od razu zaufać? Mają magię. Może źle oceniła ich zamiary? Max ponownie wyciągnął dłonie, tym razem mniej spontanicznie. Archer i Beker trzymali się za rękę. Beker wyciągnął jedną dłoń w kierunku Dradona. Ten powstrzymał swą niepewność, wyciągnął rękę i podał ją Bekerowi. Teraz wszyscy siedzieli w kole i trzymali się za rękę.

Max zaintonował zaklęcie tłumaczenia.

— *Lus kom to taub cov kev sib sau ntawm tus kheej.* — Powoli i wyraźnie wszyscy symultanicznie wypowiadali kolejno słowa. Magia iskrzyła wokół nich.

— Noemi, rozumiesz mnie? — zapytał Max.

— Tak — uśmiechnęła się do niego życzliwie.

— Czy wszyscy się rozumiemy? — Max skierował pytanie do ogółu, by się

upewnić, że zaklęcie zadziało bez wyjątku.

— Tak.

Max i Noemi odetchnęli z ulgą.

XXXV

Cenda wraz z driadą dotarły do obozowiska. Max i magowie zapewne już tam byli, jednak ona miała nieodparte wrażenie, że za chwilę wydarzy się coś złego. Jej skóra cierpła, a każdy dotyk sprawiał jej ból. Nie wiedziała, jak ma zinterpretować to uczucie poza tym, że jest złe. Była już blisko kul, gdy jak spod ziemi wyrosła przed nią Brenda.

— Mała, czemu tak biegasz na widoku? Nie wiesz, że ci magowie mogą być niebezpieczni?

— Guido mówił, że nie są — odpowiedziała lekko wystraszona Cenda, która nie lubiła być zaskakiwana w taki sposób.

— Nie strasz dziecka, Brendo — skarciła ją driada.

— Ty tu nie podskakuj. Myślisz, że jak dostałyście lasy, to teraz ktoś cię będzie słuchał? Cleo nie żyje, zabiło ją jakieś zaklęcie, muszę natychmiast porozmawiać z Maxem.

— Cleo? Pani Cleo? — Cenda zaczęła płakać.

— Nie becz. Powiesz mi wreszcie, gdzie jest Max? — Brenda nie miała nawet grama cierpliwości do rozmemłanych pańienek, jaką była Cenda.

— Jest w tamtym namiocie.

Niewiele myśląc, Brenda ruszyła w kierunku wskazanym przez dziewczynę. Musiała natychmiast się z nim spotkać. Jej osobiste urazy nie miały tu nic do rzeczy. To była dużo ważniejsza sprawa i na tę chwilę postanowiła przełknąć swoją dumę. Wparowała do namiotu w takim tempie, że nie zauważyła pogodnych nastrojów całej piątki. Na podłodze bowiem siedziała jakaś kobieta i mężczyzna oraz Max w towarzystwie Archera i Bekera. Jej wtargnięcie momentalnie zrujnowało dobry nastrój wszystkich zebranych.

— Schowaj kły, Brendo. To nie miejsce na twoje humory. — Ostatnio Brenda miała problem z kontrolowaniem emocji. Jej kły były tego najlepszym dowodem. — Może się przedstawisz, skoro już tu jesteś?

— Nie mam czasu na etykietę. Max, muszę z tobą porozmawiać.

Zachowywała się tak, jakby nikogo poza nią i Maxem nie było w pomieszczeniu.

— Przepraszam na chwilę. — Max uklonił się Noemi i Dradonowi. — To nie potrwa długo. Zapewniam, że w moim towarzystwie jest dla was niegroźna.

— Ty to sobie możesz zapewniać. Idziesz?

Max wyszedł na zewnątrz.

— Co cię, Brenda, ugryzło? Chcesz tych ludzi wystraszyć?

— W dupie mam tych ludzi. A co do gryzienia, to módl się, żebym to ja ciebie nie ugryzła. Cleo nie żyje.

Max przeczuwał, że tak może się zdarzyć, ale miał cichą nadzieję, że do tego nie dojdzie.

— Strasznie mi przykro. Ale czego w takim razie ode mnie oczekujesz? Teraz, jak widzisz, wykonuję polecenie Cleo i Vika. Można by powiedzieć, że jej ostatnią wolę.

— Ktoś ją zabił zaklęciem. Musisz się dowiedzieć, kto to był, i ją pomścić.

— Rozumiem twoją złość. Mam nawet podejrzenia, kto to mógł być. Ale na razie musimy się zająć ochroną tych ludzi. Uwierz mi, nasze smutne historie są niczym w porównaniu z piekłem, w jakim oni żyli przez setki lat. Trzymaj więc swoje kły na wodzy i przestań tu latać, jakby ci ktoś kulek w tyłek wsadził. — Max był tego dnia bardzo bezpośredni i nie przebierał w słowach. Brendzie od razu przyszły na myśl wspomnienia. Takiego go lubiła. — Wracam do namiotu. Możesz iść ze mną albo latać dookoła jak furiatka. Idziesz?

Brenda miała przeczucie, że jednak powinna być w tym namiocie, dlatego bez słowa podążyła za Maxem. Gdy weszli do środka, powiało chłodem. Obecność Brendy nie sprzyjała budowaniu dobrych relacji.

— Bardzo przepraszam za moje zachowanie. W naszej osadzie doszło do tragedii. Mam na imię Brenda i mam nadzieję, że wybaczycie mi moje niestosowne zachowanie.

„A jednak potrafi się zachować” — pomyślał z zaskoczeniem i uznaniem Max.

— Przykro nam — odpowiedział mężczyzna. — Mam na imię Dradon, a to jest Noemi.

— Miło mi. Nie wiem, co przerwałam, ale chętnie przyłączę się do ofiarowanej pomocy, jeśli będę potrafiła.

Max ponownie był zaskoczony. Mimo że wiedział, iż kiedyś była posłańcem Arymana, nigdy nie podejrzewał jej o takie dobre maniere.

— Pozwól, że cię wprowadzę, Brendo — odezwał się Archer. — Zaczynamy dziś szkolić ich mężczyzn z podstaw magii i elementów obrony. Dzielimy nieszkolonych magów na grupy. Im więcej nauczycieli, tym lepiej. Dzięki temu poświęcimy im więcej uwagi. Tu jest lista, swoisty plan lekcji na dzisiaj. Skoro jesteś i deklarujesz chęć pomocy, oznacza to, że każdy będzie miał nie więcej niż dwudziestu uczniów.

— Przepraszam, że przerwę, ale tu jest znacznie więcej osób, a nas, z tego, co widzę, tylko czworo.

— Nie do końca. W ich świecie kobiety były szkolone w magii, natomiast mężczyznom odbierano ją lub blokowano. Wszystkie czarodziejki tu obecne również będą uczyły. Każdy dostanie wykaz zaklęć, jakich ma nauczyć dziś nieświadomych magów.

Max podał jej pergamin, na którym wyszczególniono zaklęcia. Brendę zaskoczyło, że przeważająca ich część dotyczyła ataku i obrony. Kto uczy nowo poznanych obcych takiej mocy? Szczególnie że ona i Max z magami stanowili zerową przeciwwagę, jeśli sprawy wymknęłyby się spod kontroli.

— Jeśli mogę zasugerować, Archerze, to brakuje tu praktycznych zaklęć oraz leczniczych.

— Tak, wiem, mała grupa dzieci jest uczona leczniczej magii. One nie będą walczyć. Natomiast reszta jest nam potrzebna do walki. Vik już tu zmierza, aby nam pomóc. Ta, która na nich poluje, jest dla nas i dla nich śmiertelnym zagrożeniem. Dlatego Guido ostrzegł Cleo. I dlatego ona nie żyje. Mam nadzieję,

że nie dotrze tu w najbliższych dniach. Każdy dzień zwiększa nasze szanse na wygraną. Wy tłumaczę ci wszystko, ale nie teraz. Musimy zabrać się za edukację, zanim sami zrobią sobie krzywdę.

Nie zwracając już uwagi na Brendę, wszyscy wyszli z namiotu. Na polanie stali już podzieleni na grupy mężczyźni, gdzieś z boku była też grupka dzieci, wszyscy gotowi, aby bronić się za wszelką cenę. Noemi przydzieliła każdej grupie maginię, a następnie wszyscy rozeszli się w różnych kierunkach na tyle daleko od siebie, aby przypadkiem nie trafić kogoś rykoszetem.

Cenda przez cały ten czas siedziała obok driady. Natłok emocji, które wyczuwała w tym miejscu, był tak ogromny, że nie była w stanie się ruszyć. Półprzytomna patrzyła przez zamglone oczy na rozchodzące się grupy. Czowała wielkie zmęczenie. Driada usiadła obok, przytrzymując jej chyboczącą się głowę. Cenda nie powinna tu przebywać. To nie miejsce dla niej, szczególnie że była zupełnie nieopierzona w swoim fachu. Driada nie miała siły jej odciągnąć nigdzie na bok, więc okryła ją całunem z liści, żeby była mniej widoczna mimo swoich monstrualnych rozmiarów. Nim się zorientowała, Cenda zemdląła. „To w sumie dobrze” — pomyślała driada. „W tym stanie nie czuje ani nie cierpi. Niech śpi”.

XXXVI

Mesta wraz z pozostałą garstką magiń brnęła przez to mało przychylnie, wietrzne miejsce. Przebywając tu, na powierzchni, zyskiwała coraz większą pewność, że nie mogą tu żyć. Idąc po niebieskiej trawie, co i rusz zawiewana wiatrem, układała w głowie plan, w jaki sposób zniechęcić innych do wychodzenia na powierzchnię. Pomysł z obecnością demonów był już spalony, dlatego należało szybko wymyślić inną historię, która skutecznie zniechęci pozostałych śmiałków. Ciastko z dziurką ukazywało się powoli na horyzoncie. Musiała przyznać, że na żywo wyglądało znacznie ładniej niż na obrazach, na które przez lata patrzyła w grotach. Przestrzeń, jaka się przed nią rozciągała, budziła w niej uczucie niepokoju. Tu nie mogłaby utrzymać swojego królestwa w ryzach. Jej siostra ją zdradziła. Ta ciąża zupełnie odebrała jej rozum. Co z tego, że miała urodzić syna? Każdemu zdążają się niedociągnięcia. Przecież to nie jej wina. A ta zamiast pogodzić się z tym, że nie jest doskonała, postanowiła wzniecić bunt. Co za idiotka. Na niebie nie pozostał już nawet ślad po nocy. Wszystkie maginie szły w milczeniu, jednocześnie przyglądając się otaczającemu je światu z dobrze skrywanym zachwytem. Jak okiem sięgnąć, nie było widać śladu, by ktokolwiek przechodził tędy w ostatnim czasie.

— Odpocznijmy, szanowne panie. Sądzę, że już niebawem natrafimy na naszych rebeliantów. Zjedzmy coś.

Wszystkie czarownice przyjęły propozycję królowej z ogromną ulgą. Maszerowały tak już kilkanaście godzin. Mimo wzmocnienia organizmu magią coraz mocniej odczuwały zmęczenie. Mesta wyczarowała kulisty miękki przedmiot i usiadła jako pierwsza, rozsiadając się wygodnie na tym, co sama stworzyła. Przywołała do siebie mięso ze smoka oraz kuleczki z jednorożca. Mimo że nie potrafiła się zrelaksować, postanowiła chociaż sprawić sobie przyjemność kulinarną. Pozostałe czarownice również przywołały stoły i wygodne leżanki. Nie było widać po nich ekscytacji ani podenerwowania. Nie było słychać też głosów rozmów ani knucia. Wszystkie milczały. Mało która tak naprawdę się ruszała. Gdy powrócą do grot, będzie musiała zadbać o ich tężyznę fizyczną. Jak widać, są zupełnie pozbawione kondycji. Mesta przysnęła. Wydawało się, że tylko na chwilę, ale gdy otworzyła oczy, panowała ciemność na tyle głęboka, że wzbudziło to jej niepokój. Nie widziała ani gwiazd, ani księżyca, a żaden powiew wiatru nie drażnił jej ciała. Ten spokój był bardzo nienaturalny. Pozostałe maginie nadal spały.

— Wstawać! — ryknęła. — Ile można spać! Musimy się zbierać, bo nigdy ich nie znajdziemy.

Kobiety podniosły się gwałtownie i stanęły na baczność, wyrwane ze snu. Rzuciły zaklęcia, aby posprzątać i zabrać ze sobą swoje rzeczy. To jednak nie zadziało. Ponownie wypowiedziały słowa, ale nadal nic. Jakby ktoś wysłał z tego miejsca magię. Mesta rozejrzała się nerwowo, próbując swoich zaklęć, jednak bez skutku. Ruszyła więc w kierunku odległej linii ziemi stykającej się z niebem. Po kilku krokach uświadomiła sobie, że cały czas porusza się w tym samym miejscu. Tkwiły w pułapce. Zdezorientowana, zaczęła pokrzykiwać niezrozumiale na resztę magiń. Biegała wkoło, próbując oddalić się od punktu, w którym się znajdowała, jednak na próżno, bez względu na to, jak szybko, czy jak wolno i w jakim kierunku nie zmieniałyby położenia. Spojrzała w górę, gdzie pojaśniało niebo. W małym otworze ujrzała oczy — śmiały się i miały wyraz pełnej satysfakcji.

— A kuku — rozległ się pełen przekory i triumfu głos. — I co teraz, cwaniaro? Jak się czujesz bez magii?

— Wypuść nas stąd natychmiast! Natychmiast! Słyszysz?! Bo pożałujesz, kimkolwiek jesteś!

— Ojoj, no popatrz, popatrz. Jaka nerwowa ta królowa, prawda? I jaka głupiutka. Myśli, że się jej boimy.

— Kim jesteś? — zawołała Mesta już trochę łagodniej, rozumiejąc, że faktycznie nie znajduje się w najlepszym położeniu i taktyka zastraszenia raczej się tu nie sprawdzi.

Głos nie odpowiedział, w zamian zaś wokoło zrobiło się jasno. Mesta i maginie były otoczone wielkim balonem, który teraz wydawał się przeźroczysty. Za jego granicami świeciło słońce. Wokół stały setki mężczyzn i kobiet, rebeliantów, których ścigała. Przyglądali się jej obojętnie. Na przedzie stała jej siostra i Dradon w towarzystwie wilka, dwóch magów, kobiety z zielonymi włosami i mało przyjemnym wyrazem twarzy oraz wielkiego mężczyzny. Jego postura budziła szacunek. To musiał być ktoś ważny. Z jego prawej strony leżał wielki mięsisty ogon. On sam, mimo że bardzo wysoki, miał krótkie krzywe nogi.

— Mesta, jak mniemam — odezwała się kobieta. — Powinnam powiedzieć, że miło cię poznać, ale to by było kłamstwo, a przecież nie chcemy zaczynać naszej znajomości od kłamstwa, prawda? — Mówiąc to, uśmiechnęła się i tym samym obnażyła swoje kły.

— Wampirzyca, no proszę, a myślałam, że już wyginęłyście — stwierdziła z pewną nonszalancją Mesta.

— Trafił swój na swego — szepnął Vik do Maxa.

— Domyślam się, że mnie, a właściwie nas nie wypuscicie. Więc co zamierzacie z nami zrobić?

— Jaka ty domyślna, naprawdę... — Mówiąc to, Brenda zaczęła przyglądać się kokieteryjnie swoim dłoniom. — Co do jednego masz rację: ciebie nie wypuscimy, a co do reszty — pięć twoich magiń jest wolnych. Widzisz, tak się zaciętrzewiłaś w nienawiści i samouwielbieniu, że nie zauważyłaś, iż niektóre z twych magiń nie popierają twoich decyzji ani się z tobą nie zgadzają. Byłaś na tyle ślepa, że umknęło ci, iż nawet obie twoje siostry nie popierają twych rządów.

— Bredzisz, wampirzyco. Co ty możesz wiedzieć o życiu?! Żądzą tobą jacyś mężczyźni, a ty ich słuchasz. Gdybyś była ze mną, poznałabyś dopiero swój prawdziwy potencjał.

— Mesto, naprawdę dziękuję ci, że we mnie wierzysz. Co do życia, hm, jakby to powiedzieć, mam prawie dwieście lat i coś na jego temat wiem — uśmiechnęła się, ponownie odsłaniając kły. — Co do mężczyzn, tak, rządzą, ale widzisz, tu działa to inaczej, bo ja nie muszę ich słuchać i mogę sama wybierać swojego władcę. Dodam, że na twoje nieszczęście nasi królowie są całkiem inteligentni, co czasami bywa wkurzające, bo są mężczyznami.

— Więc przyłącz się do mnie.

— Masz tupet, Mesto — odezwał się wreszcie Vik. — Jesteś zamknięta w klatce i nadal próbujesz zdobywać popleczników. Nie wiem, czy powinienem cię podziwiać za odwagę, czy wyśmiać za głupotę. Gdy byłyście uśpione, przejrzelśmy wasze umysły. To prawda, że bez waszej zgody, za co serdecznie przepraszam. Wiemy, jakich czynów się dopuściłyście, jakie zbrodnie popełniłyście, wiemy o gwałtach i morderstwach. Natomiast ci mili ludzie sami oddali nam swoje wspomnienia. Z tej całej wiedzy stworzył się jeden obraz. Jesteś winna okrucieństwa, morderstw, gwałtów, wyzysku i wielu innych czynów. Dlatego, aby nie przedłużać sprawy, przybyłem, aby cię osądzić w obecności tych ludzi. Oskarżona jesteś ty oraz ta, która stoi po twojej prawej stronie. Przyznam się, że ze zdziwieniem przyjąłem fakt, że jej umysł jest jeszcze bardziej zdegradowany od twojego.

Mesta spojrzała na maginię z buzią aniołka, pięknymi niebieskimi oczami, będącą wzrostu może jedenastoletniej dziewczynki.

— Miło było służyć ci, pani. — Kobieta skinęła głową.

Mesta uświadomiła sobie, że nawet nie знаła jej imienia, choć teraz nie miało to większego znaczenia. Ona na ich miejscu od razu wykonałaby karę śmierci.

— Wy — Vik wskazał na pięć magiń stojących za Mestą — możecie opuścić klatkę.

— Amelio?! Wracaj tu natychmiast — powiedziała stanowczym, rozkazującym tonem Mesta.

— Przykro mi, ja już tak nie chcę.

Odwróciła się od siostry i opuściła bańkę.

— A więc bez przedłużania, bo mam wiele spraw na głowie. Odbieram ci magię i skazuję cię na życie pod nadzorem zakonu Futura. Nigdy nie odzyskasz władzy. Zostaniesz pozbawiona możliwości posiadania dzieci. Twoja służebna magini również podąży za tobą, ale nigdy więcej się nie spotkacie. Do końca swych dni będziecie służyć innym. Odbieram wam mowę i zdolność komunikacji. To, co wam pozostawię, to uczucia. Będziecie kochały i cierpiały, jednak nigdy nie zaznacie spełnienia.

Mesta nie wierzyła własnym uszom. Już chciała coś powiedzieć, gdy słowa ugrzęzły jej w gardle. Czuła, jak wyrok staje się rzeczywistością. Nie widziała już otaczającego ją kręgu, a w podbrzuszu czuła przeszywający ból, jakby ktoś wyrwał jej kobiecość bez znieczulenia. Wokoło panowała ciemność. Zimne kamienne ściany. Krzyczała, lecz nikt jej nie słyszał. Nawet ona nie słyszała swojego krzyku.

Podczas gdy król wydawał wyrok na Mestę, Cenda leżała nieprzytomna na kolanach driady. Mimo że nie była obecna w świecie Ametysty, czuła przeszywający ją na wskroś ból. Czuła śmierć i nienawiść. Nie wiedziała, czy się wybudziła, czy był to nadal sen. Ktoś w oddali krzyczał jej imię. Coraz trudniej było jej oddychać, gdy wtem coś wyrwało ją z letargu.

— Proszę pani, proszę pani. Wszystko w porządku? Chyba pani zemdląła. Zawołać lekarza?

Cenda rozejrzała się dookoła. Wszystko spowite było białym puchem, który topił się, gdy go dotykała. Człowiek stojący przed nią był ubrany w dziwne odzienie, którego wcześniej u nikogo nie widziała. Było jej zimno. Skupiła się, aby ogrzać się magią, ale nic się nie wydarzyło, nigdzie w pobliżu jej nie znalazła. „Gdzie ja jestem? To jest Kotalina? Nie, to niemożliwe, tam jest magia. Co to za miejsce? Gdzie ja jestem?” Cenda znowu zemdląła.

